

AUTOSTOPEM PRZEZ GALAKTYKĘ

NIE TYLKO DLA FANÓW MONTY PYTHONA...



Douglas Adams

Douglas Adams

Autostopem przez galaktykę

Tłumaczenie: A. Banaszak

Wydanie polskie: 1996

*Dla Jonny Brock i Clare Gorst,
wszystkich innych Arlingtonian za herbatę,
sympatię i sofę.*

Daleko, daleko, na nie objętych mapami peryferiach niemodnego krańca Zachodniego Ramienia Spiralnego Galaktyki, znajduje się małe, niepozorne, żółte słońce. W odległości jakichś dziewięćdziesięciu dwóch milionów mil okrąża je kompletnie nic nie znacząca, maleńka, zielonobłękitna planeta, na której pochodzące od małpy formy życia są tak niewiarygodnie prymitywne, że wciąż jeszcze uważają zegarki elektroniczne za całkiem sprytny pomysł.

Planeta ta ma — a raczej miała — pewien problem polegający na tym, że większość mieszkających na niej ludzi była przez większość czasu nieszczęśliwa. Proponowano wiele rozwiązań tego problemu, lecz prawie każde z nich opierało się głównie na ruchach małych, zielonych papierków, co jest dosyć dziwne, bo w końcu to nie małe, zielone papierki były nieszczęśliwe.

I tak problem pozostał; mnóstwo ludzi było wrednych, ale większość przygnębionych. Nawet ci z zegarkami elektronicznymi. Wielu żywiło coraz mocniejsze przekonanie, że wszyscy popełnili wielki błąd, schodząc z drzew. Niektórzy twierdzili, że nawet drzewa były złym posunięciem i że nigdy nie należało opuszczać w ogóle oceanów.

I oto nagle pewnego czwartku prawie dwa tysiące lat po tym, jak pewien człowiek został przybity gwoździem do drzewa za to, że mówił, jak to byłoby świetnie być dla odmiany miłymi dla siebie nawzajem, pewna dziewczyna siedząca samotnie w małej kawiarni w Hickmansworth nagle zrozumiała, co przez cały czas szło źle i wiedziała już, jak można sprawić, aby świat stał się dobrym i szczęśliwym miejscem. Tym razem wszystko by się zgadzało, wszystko by zadziało i nikt nie zostałby do niczego przybity.

Jednakże, niestety, zanim zdążyła dotrzeć do telefonu i powiedzieć o tym komukolwiek, zdarzyła się kompletnie idiotyczna katastrofa i idea została stracona na zawsze.

Nie jest to historia tej dziewczyny. Ale jest to historia owej kompletnie idiotycznej katastrofy i niektórych jej konsekwencji. Jest to również historia pewnej książki: przewodnika

„Autostopem przez Galaktykę”. Nie była to jednak ziemska książka; nigdy nie wydano jej na Ziemi i do czasu owej strasznej katastrofy nie słyszał o niej żaden Ziemianin. Niemniej jednak jest to książka ze wszech miar godna uwagi.

W rzeczywistości była ona prawdopodobnie najbardziej godna uwagi ze wszystkich książek, jakie kiedykolwiek wydały wielkie korporacje wydawnicze w Ursa Minor — o których także nigdy nie słyszał żaden Ziemianin. Jest to nie tylko ze wszech miar godna uwagi książka, ale również wielki bestseller — bardziej popularny niż „Gwiezdny poradnik domowy”, lepiej sprzedający się niż „Następne pięćdziesiąt trzy rzeczy, jakie możecie robić w zerowej grawitacji” i bardziej kontrowersyjny niż słynna trylogia filozoficzna Odon Colluphida: „Gdzie Bóg popełnił błąd?”, „Kilka innych największych błędów Boga” i „Kim jest właściwie ten cały Bóg?”

W wielu bardziej zrelaksowanych cywilizacjach Zewnętrznej Wschodniej Krawędzi Galaktyki przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” zastąpił już wielką „Encyklopedię Galactica” jako standardowa skarbnica wszelakiej wiedzy i mądrości. Bo chociaż zawiera on wiele przeoczeń i fragmentów apokryficznych lub co najmniej zawrotnie nieścisłych, ma jednak przewagę nad starszymi i bardziej prozaicznymi dziełami pod dwoma ważnymi względami: po pierwsze, jest trochę tańszy; po drugie, ma na okładce napis „Bez paniki”, wydrukowany dużymi, sympatycznymi literami.

Lecz historia owego okropnego i głupiego czwartku, historia jego niezwykłych następstw oraz tego, jak konsekwencje te są nierozzerwalnie związane z ową ze wszech miar godną uwagi książką, zaczyna się bardzo prosto. Zaczyna się od domu.

ROZDZIAŁ 1

Dom stał na niewielkim wzniesieniu, na samym skraju wsi. Był to samotny budynek górujący ponad szerokim pasem ziem uprawnych West Country. Nie było w nim nic szczególnego. Około trzydziestoletni, zbudowany z cegły, kwadratowy i przysadzisty. Od frontu miał cztery okna, których rozmiary i proporcje były raczej niezbyt przyjemne dla oka.

Jedyną osobą, dla której dom ten mimo wszystko miał w sobie coś szczególnego, był Artur Dent, ale tylko dlatego, iż przypadkiem był jego właścicielem. Mieszkał w nim od trzech lat, odkąd wyprowadził się z Londynu, który źle wpływał na stan jego nerwów.

Artur Dent również miał około trzydziestki, był wysoki, ciemnowłosy i nigdy nie czuł się naprawdę swobodnie. Najbardziej denerwowało go to, że ludzie zawsze pytali, dlaczego jest taki zdenerwowany. Pracował w miejscowej rozgłośni radiowej i ciągle powtarzał swoim znajomym, że jest to znacznie bardziej interesujące niż mogłoby im się wydawać. I rzeczywiście tak było. Większość jego znajomych pracowała w reklamie.

Całą noc ze środy na czwartek lał deszcz i droga zmieniła się w jedno wielkie bajoro. Teraz słońce czysto i jasno świeciło na dom Artura Denta, świeciło — jak się miało okazać — po raz ostatni.

Do Artura nie dotarło jeszcze całkowicie, że miejscowa rada zamierzała zburzyć jego dom i zbudować w tym miejscu autostradę.

W czwartek o ósmej rano Artur nie czuł się zbyt dobrze. Obudził się z wysiłkiem, stał i niemrawo przespacerował się po pokoju. Otworzył okno, zobaczył buldożer i powłókł się do łazienki.

— Pasta na szczotkę... dobrze. A teraz umyć zęby.

Lusterko do golenia wycelowane w sufit przez chwilę pokazywało odbicie drugiego buldożera za oknem łazienki. Potem — gdy ustawił je właściwie, zarost Artura. Zgolił go,

oplukał twarz, wytarł i poczłapał do kuchni, żeby znaleźć coś do zjedzenia. Czajnik, gwizdek, lodówka, mleko, kawa. Ziewnął. Słowo „buldożer” błdziło po jego głowie, szukając jakiegoś skojarzenia. Maszyna za oknem kuchni należała do całkiem sporych.

Gapił się na nią.

Żółty, pomyślał i powlókł się z powrotem do sypialni.

Przechodząc obok łazienki przystanął. Wypił szklankę wody, a po chwili jeszcze jedną. Zaczął podejrzewać, że ma kaca. Dlaczego ma kaca? Czyżby poprzedniego dnia pił?

Przypuszczał, że pewnie tak. W lusterku mignął mu jakiś obraz.

Żółty, pomyślał znowu i ruszył do sypialni. Stanął i zastanawiał się. Pub, pomyślał.

O cholera, Pub!

Przypomnił sobie niejasno, że był zły. Zły z powodu czegoś, co wydawało mu się ważne. Mówił o tym innym ludziom. Przypuszczał nawet, że dosyć drobiazgowo. Jedyne wyraźne wspomnienie z tego wieczoru to dziwny wyraz ich twarzy. Coś na temat nowej autostrady — o czym właśnie się dowiedział, a co było w planach od miesięcy, tylko że nikt jakoś o tym nie mówił. Idiotyczne. Wypił łyk wody.

Samo się jakoś załatwi, doszedł do wniosku. Komu potrzebna jest autostrada? Rada nie ma nic do gadania. Samo się załatwi.

Niemniej jednak przyprawiło go to o potwornego kaca. Spojrzał na siebie w lusterku szafy. Wystawił język.

Żółty, pomyślał. Słowo „żółty” błdziło po jego głowie, szukając jakiegoś skojarzenia.

Piętnaście sekund później był na zewnątrz i leżał przed dużym, żółtym buldożerem, który posuwał się w jego stronę po ogrodowej ścieżce.

Pan L. Prosser był, jak to mówią, tylko człowiekiem. Innymi słowy, był opartą na węglu dwunożną formą życia pochodzącą od małpy. Dokładniej — miał około czterdziestki, był gruby, wredny i pracował dla miejscowej rady. Chociaż może to wydawać się osobliwe, był także w linii prostej męskim potomkiem Dżyngischana, z czego nie zdawał sobie sprawy. Niemniej jednak pośrednie pokolenia i wymieszanie ras tak poprzestawiały jego geny, że nie posiadał żadnych dostrzegalnych cech mongoloidalnych.

Jedyną pozostałością po wielkich przodkach była u pana L. Prossera jego wyraźna otyłość oraz słabość do małych, futrzanych kapelusików. Nie było w nim nic z wielkiego wojownika; w gruncie rzeczy był małym, nerwowym i zaniepokojonym człowieczkiem.

Tego dnia był szczególnie zaniepokojony, ponieważ wyraźnie coś było nie w porządku z jego zadaniem polegającym na dopilnowaniu, aby dom Artura Denta został usunięty z drogi przed zachodem słońca.

— Niech pan da spokój, panie Dent — powiedział. — Przecież pan wie, że z nami pan nie wygra. Nie będzie pan leżał przed buldożerem bez końca.

Spróbował zmusić swoje oczy do miotania błyskawic, ale nic z tego nie wyszło. Artur ułożył się w błocie i chlapnął na niego.

— To taka gra — powiedział. — Zobaczmy, kto pierwszy zardzewieje.

— Sądzę, że musi się pan z tym pogodzić — podjął pan Prosser, chwytając swój futrzany kapelusik i obracając go na głowie. — Ta autostrada ma być zbudowana i będzie zbudowana!

— Pierwsze słyszę — odparł Artur. — Dlaczego ma być zbudowana?

Prosser pogroził mu palcem raz i drugi.

— Co chce pan przez to powiedzieć, dlaczego ma być zbudowana? — zapytał. — To autostrada, a autostrady trzeba budować.

Autostrady to takie urządzenia, które pozwalają ludziom przemieszczać się bardzo szybko z punktu A do punktu B, podczas gdy inni ludzie przemieszczają się bardzo szybko z punktu B

do punktu A. Natomiast ludzie mieszkający w punkcie C, który jest dokładnie pośrodku, mają skłonność do zastanawiania się: co takiego wspaniałego jest w punkcie A, że tylu ludzi z punktu B chce się tam jak najprędzej dostać i co jest takiego wspaniałego w punkcie B, że tylu ludzi z punktu A chce się jak najszybciej dostać do punktu B? Ci z punktu C chcieliby, żeby ludzie zdecydowali się raz na zawsze, gdzie, do cholery, chcą być.

Pan Prosser tymczasem chciał być w punkcie D. Punkt D nie leżał w żadnym szczególnym miejscu. Był to po prostu jakikolwiek dogodny punkt leżący bardzo daleko od punktów A, B i C. Miałby tam ładny domek z toporami nad drzwiami i spędzałby dowolną ilość czasu w punkcie E, który byłby najbliższym pubem. Jego żona chciała oczywiście pnące róże, ale on wolał topory. Nie wiedział dlaczego; po prostu je lubił.

Prosser poczuł na twarzy palące wypieki pod wpływem szyderczych uśmieszków operatorów buldożerów. Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, ale na obu było mu równie niewygodnie. Najwyraźniej ktoś tu był przerażająco niekompetentny i pan Prosser pokładał w Bogu nadzieję, że to nie on.

— Wie pan, w odpowiednim czasie miał pan pełne prawo odwołać się od tej decyzji — odezwał się.

— W odpowiednim czasie?! — wrzasnął Artur. W odpowiednim czasie?! Po raz pierwszy dowiedziałem się o tym wczoraj, kiedy do mojego domu przyszedł robotnik!

Zapytałem go, czy przyszedł umyć okna, a on odpowiedział, że nie, że przyszedł zburzyć mój dom. Oczywiście nie powiedział mi tego od razu. O nie! Najpierw przetarł parę okien i zażądał piąta. Dopiero wtedy mi o tym powiedział.

— Ależ panie Dent, plany były do wglądu w miejscowym biurze planowania przez ostatnie dziewięć miesięcy.

— O tak, wczoraj po południu, jak tylko się o tym dowiedziałem, natychmiast poszedłem je obejrzeć. Nie zadał pan sobie szczególnie wiele trudu, żeby zwrócić na nie czyjąś uwagę, prawda? Na przykład żeby komuś o nich powiedzieć.

— Ależ plany były na wystawie...

— Na wystawie? Aby je znaleźć, musiałem ostatecznie zejść do piwnicy!

— To właśnie dział wystaw. — Z latarką!

— Cóż, pewnie zabrakło prądu. — Schodów też.

— Ale w końcu znalazł pan te plany, prawda?

— O tak! — warknął Artur. — W końcu je znalazłem. Były na wystawie, na dnie zamkniętej na klucz szafy, którą wepchnięto do nieczynnej ubikacji z napisem na drzwiach: Uwaga, zły lampart!

Nad ich głowami przepłynęła chmura. Rzuciła cień na Artura Denta leżącego w zimnym błocie i podpierającego się łokciem. Chmura rzuciła cień na dom Artura Denta.

Pan Prosser zmarszczył na ten widok brwi.

— Nie powiem, żeby to był szczególnie ładny dom — zauważył.

— Trudno. Tak się składa, że mnie się podoba.

— Autostrada też się panu spodoba.

— Niech się pan zamknie — powiedział Artur Dent. — Niech się pan zamknie i zabiera stąd! I weźmie ze sobą tę cholerną autostradę. Nie ma pan prawa podnieść na mnie palca i dobrze pan o tym wie!

Usta Prossera otworzyły się i zamknęły kilka razy, podczas gdy jego umysł wypełniony był przez chwilę niewytłumaczalną, aczkolwiek niezwykle pociągającą wizją domu Artura Denta ogarniętego przez płomienie, a samego Artura wybiegającego z krzykiem z płonącej ruiny, z co najmniej trzema solidnymi włóczniami sterczącymi w plecach. Pana Prossera często nawiedzały

podobne wizje, wprawiając go w takich chwilach w silne zdenerwowanie. Również teraz jękał się przez moment, zanim wreszcie doszedł do siebie.

— Panie Dent — powiedział — czy wie pan, jakiego uszczerbku doznałby ten buldożer, gdybym na przykład wpadł na pomysł, aby pozwolić mu przejechać po panu?

— Jakiego?

— Dokładnie żadnego — poinformował go pan Prosser, zastanawiając się, skąd się wzięło w jego głowie tysiąc włochatych, wrzeszczących na niego jeźdźców.

Dziwnym zbiegiem okoliczności stwierdzenie „dokładnie żadnego” doskonale określało przekonanie Artura Denta, że jeden z jego najbliższych przyjaciół nie urodził się, jak twierdził, w Guildford, ale na małej planecie w okolicach Betelgeuzy. Arturowi coś takiego nigdy w życiu nie przyszłoby do głowy.

Jego przyjaciel przybył na Ziemię jakieś piętnaście lat temu i włożył wiele wysiłku w to, aby wtopić się w ziemskie społeczeństwo, z pewnym — trzeba mu to przyznać — sukcesem. Na przykład spędził owe piętnaście lat, udając bezrobotnego aktora, co było wystarczająco wiarygodne. Jednak przez swoją niedbałość popełnił pewien błąd.

Ponieważ chciał zaoszczędzić na badaniach przygotowawczych, w świetle informacji, które zebrał, uznał że nazwisko „Ford Prefect” będzie wystarczająco pospolite i nie będzie się zbytnio rzucało w oczy.

Ford nie był wysoki, a rysy jego twarzy, choć uderzające, nie były specjalnie przystojne. Miał sztywne, rudawe włosy, na skroniach zaczesane do tyłu. Skóra na jego nosie wydawała się trochę napięta. Było w nim coś dziwnego, chociaż trudno było określić co. Może to, że jego oczy nie mrugały wystarczająco często, a komuś kto rozmawiał z nim przez dłuższy czas, oczy zaczynały mimowolnie łzawić... Może to, że uśmiechał się zbyt szeroko i wywierał na ludziach obezwładniające wrażenie, że szykuje się, aby skoczyć im do gardła.

Większość jego znajomych na Ziemi uważała go za osobnika ekscentrycznego — niesforne go pijacka o pewnych osobliwych nawykach. Miał na przykład w zwyczaju pojawiać się bez zaproszenia na przyjęciach uniwersyteckich, gdzie upijał się, a potem wyśmiewał z każdego napotkanego tam astrofizyka tak długo, aż go wyrzucano. Czasami nachodził go dziwny, oderwany nastrój. Wpatrywał się wtedy w niebo jak zahipnotyzowany, aż wreszcie ktoś go pytał, po co to robi. Czuł się w takich momentach jak przyłapany na czymś niewłaściwym, jednak po chwili rozluźniał się i uśmiechał szeroko: — Szukam po prostu latających talerzy — odpowiadał żartem, a wszyscy wybuchali śmiechem i pytali, jakich. — Zielonych — mówił z szyderczym wyrazem twarzy i wybuchał dzikim śmiechem. Potem pędził nagle do najbliższego baru i wypijał niesamowite ilości alkoholu.

Wieczory tego rodzaju zwykle kończyły się źle. Zalany w trupa Ford zaciągał w kąt jakąś dziewczynę i tłumaczył jej bełkotliwie, że tak naprawdę kolor latających talerzy nie ma aż tak wielkiego znaczenia. Zaś późną nocą, zataczając się po ulicach w kompletnym zamroczeniu, pytał mijających go policjantów, czy nie znają drogi do Betelgeuzy.

Policjanci zwykle odpowiadali coś w rodzaju: — Czy nie uważa pan, że powinien już pan iść do domu, sir?

— Właśnie próbuję, chłopcze, właśnie próbuję — stwierdzał Ford nieodmiennie przy takich okazjach. Lecz tak naprawdę, gdy wpatrywał się nocą w niebo, szukał jakiegokolwiek latającego talerza. Mówił, że zielonego, ponieważ zielony był tradycyjnym kolorem kombinezonów kosmicznych agentów handlowych Betelgeuzy.

Ford Prefect czekał z desperacją, aż pojawi się wreszcie jakikolwiek latający talerz — piętnaście lat to zbyt długi czas na utknięcie gdziekolwiek, a szczególnie w miejscu tak niesamowicie nudnym jak Ziemia. Pragnął, żeby szybko pojawił się jakiś latający talerz,

ponieważ wiedział, jak je zatrzymywać i zabierać się na ich pokład. Wiedział też, jak można zobaczyć cuda wszechświata za mniej niż trzydzieści altairiańskich dolarów dziennie.

W rzeczywistości Ford Prefect pracował jako wędrowny badacz dla owego ze wszech miar godnego uwagi przewodnika „Autostopem przez Galaktykę”.

Istoty ludzkie mają wielką zdolność adaptacji, toteż zanim nadszedł czas lunchu, życie w okolicy domu Artura Denta popadło w ustaloną rutynę. Każdy grał swoją rolę.

Rola Artura polegała na leżeniu i chlupotaniu w błocie, i domaganiu się od czasu do czasu spotkania z prawnikiem, z matką lub z dobrą książką. Do roli pana Prossera należało sporadyczne apelowanie do Artura nowymi pogadankami z cyklu: „Dla dobra publicznego”, „Marsz postępu” czy też „Wie pan, mój dom też pewnego dnia został zburzony, ale nigdy do tego nie wracam”, jak i rozmaitymi pochlebstwami i pogroźkami.

Natomiast rolą operatorów było siedzenie, picie kawy i zastanawianie się, czy dałoby się za pomocą przepisów związkowych skorzystać finansowo na całej tej sytuacji.

Ziemia poruszała się powoli swoim dziennym kursem. Słońce zaczynało wysuszać błoto, w którym leżał Artur. Znowu przesunął się po nim cień.

— Cześć Artur — powiedział cień.

Artur spojrzał w górę i mrużąc oczy od słońca, ze zdumieniem zobaczył nad sobą Forda Prefecta.

— Cześć Ford. Jak leci?

— Świetnie — odpowiedział Ford. — Słuchaj, czy jesteś zajęty?

— Czy jestem zajęty?! — wykrzyknął Artur. — No... mam co prawda wszystkie te buldożery i inne rzeczy, przed którymi muszę tu leżeć, bo chcą zburzyć mój dom, ale poza tym... Nie, nie robię nic specjalnego, a co?

Na Betelgeuzie nie istnieje sarkazm, toteż Ford Prefect często go nie zauważał, jeżeli nie był dostatecznie skoncentrowany. Powiedział więc: — Dobra, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

— Co? — zapytał Artur.

Na kilka sekund Ford najwyraźniej go zignorował, wpatrując się uparcie w niebo jak królik, który usiłuje zostać przejechany przez samochód, a potem niespodziewanie przykucnął obok Artura.

— Musimy porozmawiać — rzekł ponaglająco.

— Świetnie — odparł Artur. — Rozmawiajmy.

— I napić się — dodał Ford. — Musimy koniecznie porozmawiać i napić się.

Natychmiast. Pójdziemy do pubu we wsi.

Znów popatrzył na niebo, niespokojny i wyczekujący.

— Słuchaj, czy to do ciebie nie dociera?! — wrzasnął Artur i wskazał Prossera. — Ten facet chce zburzyć mój dom!

Ford z lekkim zaciekawieniem rzucił na niego okiem.

— No tak, ale może to przecież zrobić, kiedy ciebie tu nie będzie, prawda?

— Ale ja nie chcę!

— Aha.

— Co się z tobą dzieje, Ford? — spytał Artur.

— Nic się ze mną nie dzieje. Posłuchaj, muszę ci powiedzieć najważniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałeś. Muszę powiedzieć ci to natychmiast i muszę to zrobić w barze „Pod Koniem i Stajennym”.

— A dlaczego tam?

— Bo będzie ci potrzebny bardzo solidny drink.

Ford wpatrywał się uparcie w Artura i Artur stwierdził ze zdumieniem, że jego siła woli

zaczyna słabnąć. Nie wiedział, że to z powodu starej gry, której Ford nauczył się w hiperprzestrzennych portach obsługujących pas kopalni mandranity w systemie gwiazdowym Orion Beta.

Gra podobna była do ziemskiej gry nazywanej „Indiańskimi zapasami”. Jej zasady były bardzo proste: Dwóch zawodników siadało po dwóch stronach stołu, a przed każdym z nich stała szklanka. Pomiędzy nimi ustawiano butelkę Old Janx Spirit. Następnie każdy z zawodników koncentrował swą siłę woli na butelce, próbując przechylić ją i nalać alkoholu do szklanki przeciwnika, który musiał ją wtedy wypić. Butelkę napełniano ponownie i rozgrywano kolejną rundę. A po niej kolejną. Jeżeli któryś z zawodników zaczął przegrywać, najprawdopodobniej przegrywał potem cały czas, ponieważ jednym z efektów Old Janx Spirit było osłabienie sił telepsychicznych. Gdy tylko ustalona ilość alkoholu została skonsumowana, przegrywający musiał wykonać jakieś zadanie, które najczęściej bywało nieprzyzwoite biologicznie.

Ford Prefect zazwyczaj grał, aby przegrać. Teraz wpatrywał się uparcie w Artura, który zaczynał dochodzić do wniosku, że być może mimo wszystko chce pójść do baru „Pod Koniem i Stajennym”.

— Ale co z moim domem? — zapytał płaczliwie. Ford spojrzał na pana Prossera i nagle wpadł mu do głowy perfidny pomysł.

— On chce zburzyć twój dom?

— Tak. Chce zbudować...

— I nie może, bo ty leżysz przed jego buldożerami?

— Tak, i...

— Jestem pewien, że możemy dojść do porozumienia — stwierdził Ford.

— Przepraszam na chwilę!

Pan Prosser właśnie dyskutował z przedstawicielem operatorów buldożerów o tym, czy Artur Dent stanowi zagrożenie dla ich zdrowia psychicznego, a jeżeli tak, to ile im się za to należy. Przerwał, zaniepokojony tym, że Artur ma towarzysza.

— Czy pan Dent namyślił się już? — spytał.

— A czy możemy na chwilę założyć — odpowiedział Ford — że nie?

— Więc? — westchnął pan Prosser.

— Czy możemy także założyć — ciągnął Ford — że zamierza zostać tu przez cały dzień?

— A więc?

— Więc pańscy ludzie będą tu stać przez cały dzień nic nie robiąc?

— Być może, być może...

— A zatem, skoro pan i tak zrezygnował z burzenia domu, w gruncie rzeczy nie potrzebuje pan, by Artur leżał tu przez cały czas, prawda?

— Hm?

— W gruncie rzeczy — wyjaśnił Ford cierpliwie — nie potrzebuje go pan tutaj.

Pan Prosser zastanawiał się nad tym.

— No, niezupełnie... — odpowiedział. — Niezupełnie potrzebuję...

Pan Prosser był trochę zdezorientowany. Obawiał się, że jeden z nich mówi nie całkiem do rzeczy.

— Jeżeli więc zgodziłby się pan przyjąć, że jest on tu cały czas, to on i ja moglibyśmy na pół godziny wyskoczyć do pubu. Co pan na to? — rzekł Ford.

Pan Prosser był zdania, że myśl ta jest zupełnie obłąkana.

— Myśl ta jest zupełnie rozsądna — powiedział uspokajającym tonem, zastanawiając się jednocześnie, kogo próbuje uspokoić.

— A jeżeli potem pan będzie miał ochotę wybrać się na jednego — dodał Ford — zawsze

możemy się panu zrewanżować.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział Prosser, nie mając zielonego pojęcia, jak to dalej rozegrać. Dziękuję bardzo, tak, to niezwykle uprzejmie...

Zmarszczył bawi, uśmiechnął się i spróbował zrobić obie te rzeczy naraz. Nie wyszło mu. Nerwowo chwycił swój futrzany kapelusik i obrócił go na czubku głowy. Mógł tylko przypuszczać, że właśnie odniósł zwycięstwo.

— A zatem — kontynuował Ford Prefect — czy mógłby pan podejść tu i położyć się?

— Co takiego? — spytał pan Prosser.

— O, przepraszam — rzekł Ford. — Może nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Ktoś musi leżeć przed buldożerami, prawda? W przeciwnym razie nic ich nie powstrzyma przed zburzeniem domu pana Denta, nieprawdaż?

— Co takiego? — powtórzył pan Prosser.

— To bardzo proste — wyjaśnił Ford. — Mój klient, pan Dent, mówi, iż przestanie leżeć w błocie tylko i wyłącznie pod warunkiem, że pan przyjdzie tu i go zastąpi.

— O czym ty mówisz? — zapytał Artur, ale Ford trącił go butem, żeby był cicho.

— Chce pan — mówił Prosser, powoli oswajając się z nową myślą — abym przyszedł i położył się...?

— Tak.

— Przed buldożerem?

— Tak.

— Zamiast pana Denta?

— Tak.

— W błocie?

— W, jak pan to ujął, błocie.

Gdy tylko pan Prosser zdał sobie sprawę, że pomimo wszystko to właśnie on poniósł porażkę, poczuł się tak, jakby wielki ciężar spadł mu z ramion. To wszystko przekraczało jego pojęcie o świecie. Westchnął.

— W zamian za co pan pójdzie z panem Dentem do pubu?

— Dokładnie — potwierdził Ford. — Dokładnie tak.

Pan Prosser zrobił kilka nerwowych kroków w przód i przystanął.

— Słowo? — zapytał.

— Słowo — odpowiedział Ford i odwrócił się do Artura. — Wstawaj — rzekł.

— Wstawaj i zrób miejsce panu Prosserowi.

Artur podniósł się, mając wrażenie, że śni. Ford skinął na Prossera, który usiadł niezgrabnie w błocie. Miał uczucie, że całe jego życie jest czymś w rodzaju snu i zastanawiał się, kto go śni i czy jest to sen przyjemny. Błoto otoczyło go aż po pas i natychmiast dostało się do butów.

Ford spojrzał na niego surowo.

— I żadnego podstępnego burzenia domu pana Denta pod jego nieobecność, dobrze?

— Samo przypuszczenie — warknął Prosser — że coś takiego przysłoby mi na myśl — ciągnął dalej, sadowiąc się w błocie — nie powstało mi nawet w głowie.

Ujrzał nadchodzącego przedstawiciela związków zawodowych i zamykając oczy, odchylił głowę do tyłu. Usiłował uporządkować sobie argumenty dowodzące, że jego osoba nie stanowi teraz zagrożenia dla zdrowia psychicznego operatorów buldożerów.

Sam był daleki od pewności w tej kwestii — jego umysł był najwyraźniej pełen zgiełku, koni, dymu i zapachu krwi. Zdarzało mu się to za każdym razem, gdy czuł się nieszczęśliwy czy wystrychnięty na dudka i nigdy nie był w stanie sobie tego wytłumaczyć.

W innym wymiarze, o którym nie mamy pojęcia, potężny chan ryczał z wściekłości, ale pan Prosser jedynie trząsł się lekko i popiskiwał. Poczul słabe ułucia wody pod powiekami. Biurokratyczny chaos, rozszoszczeni faceci leżący w błocie, niepojęci nieznajomi zadający niewytłumaczalne upokorzenia i nie zidentyfikowana armia jeźdźców wyśmiewających się z niego w jego własnej głowie — co za dzień! Co za dzień!

Ford Prefect wiedział, że nie dałby nawet funta kłaków, aby ocalić dom Artura Denta. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Niepokój Artura nie zmalął.

— Ale czy możemy mu ufać? — zapytał.

— Ja osobiście ufałbym mu do końca świata — odparł Ford.

— Aha — powiedział Artur — to znaczy jak długo?

— Jakies dwanaście minut. Idziemy, muszę się napić.

ROZDZIAŁ 2

Oto, co „Encyklopedia Galactica” mówi na temat alkoholu. Twierdzi, że alkohol to bezbarwna, lotna ciecz otrzymywana w procesie fermentacji cukrów. Odnotowuje również odurzający efekt, jaki wywiera on na pewne formy życia. Przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” również wspomina o alkoholu. Mówi, że najlepszy drink, jaki kiedykolwiek istniał, to Pangalaktyczny Dynamit Pitny.

Informuje, że efekt wypicia tego trunku można opisać jako zmiażdżenie mózgu plasterkiem cytryny owiniętym wokół wielkiej cegły ze złota. Podaje też, na jakich planetach można dostać najlepiej zmiksowany Pangalaktyczny Dynamit Pitny, jakiej ceny należy się spodziewać i jakie organizacje charytatywne zajmują się pomocą przy późniejszej rehabilitacji.

Przewodnik podaje nawet przepis na ów koktajl: porcję Old daru Spirit wlać do jednej porcji wody z mórz Santraginusa V, dodać trzy kostki megaginu i wymieszać, aby roztopiły się w roztworze. Kostki, muszą być odpowiednio zamrożone, by nie ulotniła się z nich benzyna. Roztwór połączyć z czterema litrami falliańskiego gazu błotnego o właściwościach musujących (ku pamięci tych szczęśliwców, którzy umarli z rozkoszy na bagnach Fallii). Na grzbiecie srebrnej łyżki odmierzyć miarkę qualactińskiego ekstraktu hipermięty, zawierającego wszystkie oszałamiające zapachy ciemnej strefy Qualactyny o subtelnej, mistycznej słodocy. Dodać zęb algoliańskiego tygrysa słonecznego. Patrzyć jak się rozpuszcza, rozpalając głęboko w sercu koktajlu płomień algoliańskich Słońc. Spryskać Zamphuorem. Dodać oliwkę. Wypić... ale... bardzo ostrożnie.

— Sześć dużych piw — powiedział Ford do barmana „Pod Koniem i Stajennym”.

— I proszę się pośpieszyć. Nadchodzi koniec świata.

Barman „Pod Koniem i Stajennym” nie zasługiwał na tego rodzaju traktowanie. Był pełnym godności starszym panem. Poprawił okulary na nosie i spojrzał ze zdziwieniem na Forda Prefecta. Ford zignorował go i zapatrzył się w okno, barman spojrzał więc na Artura, który nic nie mówiąc, bezradnie wzruszył ramionami.

— Naprawdę? Pogoda w sam raz — powiedział barman i zaczął napełniać kufle. Po chwili spróbował jeszcze raz: — Zamierza pan oglądać dzisiejszy mecz?

Ford zmierzył go wzrokiem.

— Nie. Nie ma sensu — odparł i ponownie przeniósł wzrok na okno.

— Dlaczego? Czyżby uważał pan, że wynik jest przesądzony? — zapytał. — Arsenal bez szans?

— Nie, nie — odpowiedział Ford. — Po prostu nadchodzi koniec świata.

— Tak, już pan to mówił — rzekł barman, patrząc sponad okularów tym razem na Artura.

— Upiecz się Arsenalowi, jeśli to prawda.

Ford spojrzał na niego szczerze zaskoczony.

— No, niezupełnie — mruknął i zmarszczył bawi.

Barman głośno wciągnął powietrze.

— Proszę, oto pańskie sześć dużych piw — powiedział.

Artur uśmiechnął się do niego blado i znowu wzruszył ramionami. Odwrócił się z tym samym uśmiechem do reszty gości, na wszelki wypadek, gdyby ktoś słyszał rozmowę przy barze. Nikt nic nie słyszał, nie mogli więc zrozumieć, dlaczego Artur się do nich uśmiecha.

Facet siedzący obok Forda przy barze spojrzał na dwóch mężczyzn, potem na sześć dużych piw, przeprowadził w myśli obliczenia, otrzymał wynik, który mu się spodobał, i wyszczerzył do nich zęby w głupawym, pełnym nadziei uśmiechu.

— Odczep się, to nasze! — powiedział Ford i rzucił mu spojrzenie, które sprawiłoby, że algoliański tygrys słoneczny bez zwłoki powróciłby do przerwanej czynności.

Położył na ladę banknot pięciofuntowy. — Proszę zatrzymać resztę — rzekł.

— Z pięciu funtów? Dziękuję.

— Zostało panu dziesięć minut, żeby to wydać. Barman zdecydował się trochę odsunąć.

— Ford — spytał Artur — czy mógłbyś mi powiedzieć, co tu się, do cholery, dzieje?

— Napij się — powiedział Ford. — Musisz wypić te trzy piwa.

— Trzy piwa? — zapytał Artur. — W porze lunchu?

Facet obok Forda wyszczerzył zęby i z satysfakcją pokiwał głową. Ford zignorował go.

— Czas to złudzenie — rzekł do Artura. — Niech będzie podwójna pora lunchu.

— Bardzo głębokie — odparł Artur. — Powinieneś wysłać to do „Readers Digest”.

Mają tam stronę dla takich jak ty.

— Napij się.

— Czemu akurat trzy duże piwa?

— Piwo powoduje rozluźnienie mięśni.

— Rozluźnienie mięśni?

— Rozluźnienie mięśni.

Artur spojrzał na swoje piwo.

— Czy zrobiłem dzisiaj coś złego? — zapytał. Czy też świat zawsze był taki, a ja byłem zbyt zajęty sobą, żeby to zauważyć?

— W porządku — odpowiedział Ford. — Spróbuję ci to wytłumaczyć. Jak długo się znamy?

— Jak długo? — zastanowił się Artur. — No, jakieś pięć lat. Może sześć, i przez większość tego czasu wydawało mi się, że ma to trochę sensu.

— W porządku — rzekł Ford. — Jak byś zareagował, gdybym ci powiedział, że nie jestem jednak z Guildford, ale z małej planety gdzieś w pobliżu Betelgeuzy?

Artur wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odparł, pociągając łyk piwa. Dlaczego wydaje ci się, że mógłbyś coś takiego powiedzieć?

Ford poddał się. Naprawdę nie warto było przejmować się tym w obliczu nadchodzącego końca świata. Powiedział więc tylko: — Napij się. — I dodał absolutnie zgodnie z prawdą: — Nadchodzi koniec świata.

Artur znów uśmiechnął się słabo do reszty gości. Reszta gości zmarszczyła na to brwi. Jakiś facet zamachał do niego, żeby przestał się do nich uśmiechać i zajął własnymi sprawami.

- Dziś musi być czwartek — powiedział do siebie Artur, pochylając się nad piwem.
- Nigdy nie mogłem się połapać, o co chodzi w czwartki.

ROZDZIAŁ 3

Tego właśnie czwartku jakiś obiekt przemieszczał się cicho przez jonosferę wiele mil ponad powierzchnią planety; kilka obiektów — dokładnie mówiąc, kilka tuzinów olbrzymich, żółtych, klockowatych obiektów — wielkich jak biurowce i bezszelestnych jak ptaki. Poruszały się z łatwością rozgrzane elektromagnetycznymi promieniami gwiazdy Sol, zabijając czas przegrupowaniami i przygotowaniem.

Planeta pod nimi była prawie absolutnie nieświadoma ich obecności, dokładnie tak jak sobie tego życzyli. Olbrzymie, żółte obiekty przesunęły się nie zauważone nad Goonhill, minęły Przylądek Canaveral, nie wywołując żadnej reakcji radarów. Woomera i Jodrell Bank patrzyły dokładnie na wskroś nich, trochę szkoda, bo było to właśnie to, czego szukały przez wszystkie te lata. Tylko jedno urządzenie na Ziemi zarejestrowało ich obecność. Był to mały, czarny przedmiot, nazwany subetha sensomanc, który zamrugał sam do siebie. Znajdował się w czeluści skórzanej torby, którą Ford Prefect nosił zawsze na szyi. Zawartość owej torby była dość ciekawa i sprawiłaby, że oczy każdego fizyka na Ziemi wyszłyby na wierzch. Dlatego Ford Prefect ukrywał ją zawsze pod kilkoma wyświechtanymi egzemplarzami sztuk, w których rzekomo ubiegał się o rolę. Oprócz subetha sensomanc i upchanych na wierzchu sztuk Ford miał też elektroniczny kciuk — krótki, gruby, czarny pręt gładki i matowy, z kilkoma płaskimi przełącznikami i tarczami na jednym końcu. Miał także urządzenie, które wyglądało na coś w rodzaju sporego elektronicznego kalkulatora. Miało ono około stu małych, płaskich przycisków i dwupółcalowy ekran, na którym w mgnieniu oka można było wyświetlić którąkolwiek z miliona „stronic”. Całe urządzenie sprawiało wrażenie obłędnie skomplikowanego i to był jeden z powodów, dla którego na jego plastikowej obudowie znajdował się wydrukowany dużymi literami napis „Bez paniki!” Inna sprawa, że urządzenie to było najbardziej godną uwagi książką, jaka kiedykolwiek została wydana przez wielkie korporacje wydawnicze w Ursa Minor. Był to przewodnik „Autostopem przez Galaktykę”, a został wydany w postaci mikrosubmezonowego komponentu elektronicznego dlatego, że gdyby wydrukowano go jako tradycyjną książkę, międzyplanetarny autostopowicz, który chciałby wozić ją ze sobą, potrzebowałby na to kilku nieporęcznych wielkich budynków.

Oprócz tego Ford Prefect miał w swojej torbie kilka długopisów, notatnik i duży ręcznik kąpielowy od Marksa i Spencera.

Przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” ma do powiedzenia kilka rzeczy na temat ręczników.

Ręcznik, mówi, to najbardziej nieprawdopodobnie użyteczna rzecz, jaką może posiadać międzyplanetarny autostopowicz. Częściowo dlatego, że ma olbrzymie zastosowanie praktyczne. Można owinać się nim dla ochrony przed chłodem, przemierzając zimne księżycy Jaglana Beta; można położyć się na nim na roziskrzonych, marmurowych piaskach plaż Santraginusa V, wdychając odurzające morskie powietrze; można przykryć się nim, śpiąc pod czerwonymi gwiazdami na opuszczonym świecie Kalffafoonu; można posłużyć się nim jak żaglem, płynąc małą tratwą w dół powolnej rzeki Moth; zmoczyć go i używać jako broni w walce wręcz; zawinąć na głowie dla ochrony przed szkodliwymi wyziewami lub wzrokiem żarłocznego Bugblattera, bestii z Traala (nieprawdopodobnie tępe zwierzę, które uważa, że jeżeli ty go nie widzisz, ono też cię nie widzi. Głupie jak szczotka, ale naprawdę niezwykle żarłoczne); w razie

niebezpieczeństwa wymachując ręcznikiem, można dawać sygnały alarmowe — no i oczywiście można wycierać się nim, jeżeli ciągle jeszcze jest dostatecznie czysty.

Co więcej, ręcznik ma ogromne znaczenie psychologiczne. Tak się składa, że jeżeli jakiś strag (strag: nieautostopowicz) stwierdzi, że autostopowicz ma przy sobie ręcznik, automatycznie dochodzi do wniosku, że posiada on także szczotkę do zębów, ręczniczek do twarzy, mydło, puszkę sucharów, termos, kompas, mapy, kłębek sznurka, spray przeciw komarom, płaszcz przeciwdeszczowy, kombinezon próżniowy i tak dalej. Ponadto strag pożyczy chętnie autostopowiczowi któryś z tych czy jakikolwiek inny przedmiot, który autostopowicz mógłby przypadkowo „zgubić”. Pomyśli sobie też, że ktoś, kto przemierzył autostopem Galaktykę wzdłuż i wszerz, znosił niewygody, walczył na przekór wszystkim przeciwnościom, zwyciężał i ciągle wiedział, gdzie ma ręcznik — jest bez wątpienia człowiekiem, z którym należy się liczyć.

Stąd wzięło się powiedzenie, które weszło do slangu autostopowiczów: Hej, czy wihasz tego zażytnego froda, Forda Prefecta? Ten to wie, gdzie ma ręcznik. (Wihać — znać, wiedzieć, spotkać, uprawiać seks; zażytny — zadziwiająco przytomny facet; frod — naprawdę zadziwiająco przytomny facet.)

Spoczywając wygodnie na ręczniku w torbie Forda Prefecta, subetha sensomanc zaczął mrugać szybciej. Wiele mil ponad powierzchnią planety olbrzymie, żółte obiekty zaczęły ustawiać się w szyku. W Jodrell Bank ktoś doszedł do wniosku, że najwyższy czas na filiżankę herbaty.

— Masz przy sobie ręcznik? — zapytał zniecierpliwiony Ford.

Artur, z trudem wlewając w siebie trzecie piwo, rozejrzał się wokoło.

— Dlaczego? A co, powinienem? — Dał sobie spokój z okazywaniem zdziwienia. Nie miało to żadnego sensu.

Ford cmoknął z irytacją.

— Pij szybciej — ponaglił.

W tej chwili dotarł do nich głuchy, dudniący łoskot z zewnątrz, przefiltrowany przez szmer rozmów w pubie, dźwięk grającej szafy i czkawkę faceta przy barze, któremu Ford postawił w końcu whisky.

Artur zakrztusił się piwem i zerwał na równe nogi.

— Co to? — krzyknął.

— Nie przejmuj się — powiedział Ford. — Jeszcze nie zaczęli.

— Dzięki Bogu — westchnął Artur i usiadł.

— Pewnie tylko burzą twój dom — dodał Ford, kończąc ostatnie piwo.

— Co? — wrzasnął Artur.

Rozejrzał się dziko i podbiegł do okna.

— O Boże, naprawdę! Burzą mój dom! Co ja, do cholery, robię w tym pubie, Ford?

— Na tym etapie nie robi to specjalnej różnicy — odpowiedział Ford. — Niech mają trochę zabawy.

— Zabawy?! — ryknął Artur. — Zabawy! — Jeszcze raz rzucił okiem na widok za oknem, żeby sprawdzić, czy na pewno mówią o tym samym. — Do cholery z ich zabawą! — krzyknął i wybiegł z pubu, wymachując z furją prawie pustym kuflem. Tego dnia jakoś nie zyskał sobie w pubie nowych przyjaciół. Przestańcie, wandal! Przeklęci burzyciele! Obląkani Wizygoci, przestaniecie czy nie?!

Ford wiedział, że musi pójść za nim. Odwrócił się szybko do barmana i poprosił o cztery paczki fistaszków.

— Proszę, sir — powiedział barman, rzucając fistaszki na bar. — Dwadzieścia osiem pensów, jeśli pan pozwoli.

Ford był niezwykle uprzejmy, wręczył barmanowi następny banknot pięciofuntowy i powiedział, aby zatrzymał dla siebie resztę. Barman spojrzał na banknot, a potem na Forda. Nagle zadrżał — odebrał bowiem przelotne i zupełnie niezrozumiałe wrażenie.

Coś, czego nie doświadczył jeszcze żaden mieszkaniec Ziemi. W chwilach wielkiego napięcia każda forma życia wysyła bowiem delikatny, podświadomy sygnał, który w sposób dokładny, prawie patetyczny przekazuje odczucie odległości, jaka dzieli ową formę życia od miejsca jej narodzin. Na Ziemi nigdy nie można być dalej niż szesnaście tysięcy mil od miejsca urodzenia, co wcale nie jest taką dużą odległością, więc sygnały są zbyt słabe, aby można je odebrać. Ford Prefect był w tej chwili pod wpływem wielkiego napięcia, a urodził się na planecie odległej o sześćset lat świetlnych od Ziemi.

Barman zachwiał się uderzony porażającym odczuciem niepojętej odległości. Nie wiedział, co to znaczy, ale spojrzał na Forda Prefecta z nowym uczuciem respektu, a nawet lęku.

— Naprawdę, sir? — odezwał się cichym szeptem, który sprawił, że w pubie momentalnie zapadła cisza. Naprawdę uważa pan, że nadchodzi koniec świata?

— Tak — odpowiedział Ford.

— Dziś po południu?

Ford poczuł, że wraca jego dobre samopoczucie.

— Tak — rzekł pogodnie. — Według moich obliczeń za niecałe dwie minuty.

Barman nie mógł uwierzyć w rozmowę, którą prowadził, ale nie mógł także zapomnieć wrażenia, takiego doświadczył przed chwilą.

— Czy nie można niczego zrobić? — zapytał.

— Nie, nie można — odpowiedział Ford, wpychając fistaszki do kieszeni.

Ktoś zaśmiał się ochryple w zupełnie cichym pubie. Facet przy barze był już trochę wstawiony. Podniósł przymglone oczy na Forda.

— Wydawało mi się — powiedział — że gdy nadchodzi koniec świata, trzeba się położyć albo nałożyć na głowę papierową torbę czy coś w tym rodzaju.

— Owszem, jeśli ma pan ochotę — odrzekł Ford.

— Tak mówili w wojsku — dodał facet, z trudem przenosząc wzrok z powrotem na swoją whisky.

— Czy to coś pomoże? — zapytał barman.

— Nie — odpowiedział Ford i posłał mu przyjacielski uśmiech. — Przepraszam bardzo, muszę już iść. Skinął ręką na pożegnanie i wyszedł.

W pubie jeszcze przez chwilę panowała cisza, a potem, ku zakłopotaniu wszystkich, facet o ochrypłym głosie zaśmiał się znowu. Dziewczyna, którą przywłókł tu ze sobą, poczuła do niego w ciągu ostatniej godziny taką odrazę, że sprawiłoby jej dziką satysfakcję, gdyby wiedziała, że za mniej więcej półtorej minuty facet nagle wyparuje, zamieniając się w chmurę wodoru, ozonu i tlenku węgla. Jednakże gdy chwila ta nadeszła, dziewczyna była zbyt zajęta swoim własnym parowaniem, by to zauważyć.

Barman przełknął ślinę i usłyszał swój głos: — Przyjmuję ostatnie zamówienia.

Olbrzymie, żółte obiekty zaczęły się zniżyć. Ford wiedział, że tam są. Ale nie tak to sobie wyobrażał.

Biegąc drogą, Artur prawie dotarł do domu. Nie zauważył, że zrobiło się nagle zimno, nie zauważył wiatru ani gwałtownego, niewytłumaczalnego deszczu. Nie zauważył niczego poza buldożerami pełzającymi po rumowisku, które jeszcze niedawno było jego domem.

— Barbarzyńcy! — darł się. — Podam radę do sądu! Będę was wieszać, ćwiartować i rozdzierać na sztuki! Będę was chłostać i gotować aż... aż... będziecie mieć dość!

Ford biegł za nim bardzo szybko. Bardzo, bardzo szybko.

— I zrobię to jeszcze raz! — wrzeszczał Artur. A kiedy skończę, pozbieram wszystkie kawałki i będę po nich skakał!

Artur nie zauważył, że operatorzy uciekali z buldożerów; nie zauważył, że pan Prosser wpatrywał się nieprzytomnie w niebo, w jakieś olbrzymie, żółte obiekty, które z rykiem przedzierały się przez chmury. Nieprawdopodobnie wielkie, żółte obiekty.

— I będę tak skakał — krzyczał Artur, ciągle biegnąc — aż dostanę odcisków albo wymyślę coś jeszcze gorszego i wtedy... — Potknął się, upadł twarzą w przód, przeकोziołkował i wylądował na plecach. W końcu zauważył, że coś się dzieje i wycelował palec w niebo. — Co to, do cholery, jest!? — wrzasnął przeraźliwie.

Cokolwiek to było, pędziło w swej monstrualnej żółtości po niebie, rozdzierając je na strzępy hałasem ponad ludzką wytrzymałość. Powietrze zamykało się za tym czymś z hukiem, który wciskał uszy w czaszkę. Po chwili pojawiło się następne coś, co robiło dokładnie to samo, tylko głośniejsze.

Trudno powiedzieć dokładnie, co działo się z ludźmi na powierzchni planety, bo sami nie bardzo zdawali sobie z tego sprawę. Nic, co robili, nie miało zbyt wiele sensu — wybiegali z domów, wbiegali do domów, krzyczeli bezgłośnie w powodzi hałasu. Na całym świecie ulice miast eksplodowały tłumami ludzi, a samochody wpadały jeden na drugi, gdy niewytłumaczalny grzmot spadł na nie i przetoczył się jak przypływ ponad wzgórzami i dolinami, pustyniami i oceanami, jak gdyby rozgniatając wszystko, co napotkał na drodze.

Tylko jeden człowiek stał i obserwował niebo. Stał z wielkim smutkiem w oczach i gumowymi zatyczkami w uszach. Wiedział dokładnie, co się dzieje, odkąd jego subetha sensomatic obudził go mruganiem w środku nocy. Właśnie na to czekał przez wszystkie te lata, ale gdy rozszyfrował otrzymane sygnały, siedząc samotnie w swym niedużym, ciemnym pokoju, chłód ścisnął jego serce. Dlaczego ze wszystkich ras w Galaktyce, pomyślał, które mogły przylecieć i powiedzieć Ziemi „Cześć”, musieli to być właśnie Vagonowie? Niemniej jednak wiedział, co ma do zrobienia. Gdy statki Vagonów z rykiem przedzierały się przez atmosferę ponad jego głową, Ford otworzył swoją torbę.

Wyrzucił egzemplarz „Józefa i zadziwiającego technikolorowego płaszcza snów”, wyrzucił egzemplarz Ewangelii — nie potrzebował ich tam, dokąd się wybierał. Wszystko było na swoim miejscu, wszystko było gotowe.

Ford wiedział, gdzie ma ręcznik.

Nagła cisza ogarnęła Ziemię i jeśli mogło być coś gorszego od tamtego hałasu, było to właśnie to. Przez chwilę nic się nie działo.

Ogromne statki zawisły bez ruchu nad każdym krajem na Ziemi. Tkwiły na niebie nieruchome, olbrzymie i ciężkie jak bluźnierstwo przeciwko Naturze. Wielu ludzi doznało szoku, gdy próbowali pojąć to, na co patrzą.

I ciągle nic się nie działo.

Wtem rozległ się lekki szmer, nagły, dochodzący ze wszystkich stron odgłos. Każde radio na świecie, każdy telewizor, każdy magnetofon, każdy megafon, każdy nadajnik średniego zasięgu cicho się włączył. Każda puszka, każdy kosz na śmieci, każde okno, każdy samochód, każdy kieliszek wina, każdy kawałek zardzewiałego metalu — wszystko zostało uaktywnione jako doskonale akustycznie pudło rezonansowe. Gdyby ktoś się nad tym zastanawiał, zanim Ziemia przestała istnieć, uznano by to za szczytowe osiągnięcie w technice przekazywania dźwięku; największy system masowego przekazu, jaki kiedykolwiek stworzono. Nie było jednak koncertu, muzyki ani fanfar — był po prostu komunikat.

— Ludzie na Ziemi, proszę o uwagę — powiedział głos i było to cudowne.

Absolutnie doskonały kwadrofoniczny dźwięk o poziomie zniekształceń tak niskim, że

wycisnąłby łzy człowiekowi o najtwardszym sercu.

— Mówi Prostetnic Vogon Jeltz z Galaktycznej Rady Planowania Hiperprzestrzennego — ciągnął głos. — Jak bez wątpienia wiecie, plany rozwoju odległych regionów Galaktyki wymagają zbudowania hiperprzestrzennej trasy szybkiego ruchu przebiegającej przez wasz system słoneczny i niestety wasza planeta została przeznaczona do zniszczenia.

Proces potrwa niecałe dwie ziemskie minuty. Dziękuję za uwagę.

Głos zamilkł.

Przerażenie ogarnęło nic nie rozumiejących ludzi na Ziemi. Strach przesunął się powoli po zebranych tłumach, jak gdyby ludzie byli opiłkami żelaza, nad którymi przesunął się magnes. Znowu wybuchła rozpaczliwa panika, lecz nie było dokąd uciekać.

Widząc to, Vogonowie znów włączyli swój nadajnik. Głos przemówił: — Nie ma sensu okazywać teraz aż takiego zdziwienia. Wszystkie plany i rozkazy zniszczenia były wystawione w waszym miejscowym departamencie planowania na Alfa Centauri, przez pięćdziesiąt waszych ziemskich lat, więc mieliście mnóstwo czasu, żeby wnieść jakąś formalną skargę. Teraz jest o wiele za późno, żeby robić z tego powodu zamieszanie.

Głos umilkł, a jego echo rozlegało się przez chwilę ponad ziemią. Ogromne statki bez wysiłku obróciły się na niebie. Na spodzie każdego z nich otworzył się luk — pusty, czarny, kwadratowy.

W tym czasie ktoś gdzieś zmontował nadajnik radiowy, zlokalizował długość fal i nadał wiadomość do statków Vogonów, aby błagać ich w imieniu planety. Nikt nigdy nie usłyszał, co im powiedział, usłyszano tylko odpowiedź. Nadajnik Vogonów włączył się z trzaskiem, głos był zirytowany: — Co to znaczy, że nigdy nie byliście na Alfa Centauri? Na przestrzeń! Ludzie, to tylko cztery lata świetlne stąd! Przykro mi, ale jeżeli obchodzi was działalność lokalna, to już wasza sprawa. Wysłać promienie niszczące. — Światło wystrzeliło z luków. Nie wiem — powiedział jeszcze głos — cholerna, apatyczna planeta, wcale mi ich nie żal — i wyłączył się.

Zapadła okropna, upiorna cisza. Zapanował okropny, upiorny hałas. Zapadła okropna, upiorna cisza.

Vogońska Flota Budowlana odleciała w atramentowo czarną, gwiazdzistą próżnię.

ROZDZIAŁ 4

Daleko na przeciwnym Spiralnym Ramieniu Galaktyki, pięćset tysięcy lat świetlnych od gwiazdy Sol, Zaphod Beeblebrox, prezydent rządu Imperium Galaktycznego, docisnął pedał gazu. Pędził po morzach Damograna swoim ślizgaczem o napędzie jonowym, błyszczącym w promieniach damograńskiego słońca.

Damogran gorący; Damogran daleki; Damogran prawie nikomu nie znany.

Damogran, ukryty dom „Złotego Serca”.

Ślizgacz przyspieszył. Upłynie trochę czasu, zanim dotrze do miejsca przeznaczenia, bowiem Damogran jest niezwykle niepraktycznie rozplanowaną planetą. Nie składa się z niczego poza średnimi i dużymi bezludnymi wyspami, oddzielonymi od siebie pięknymi, lecz denerwująco rozległymi połaciami oceanu.

Ślizgacz przyspieszył.

Z powodu swoich niedogodności topograficznych Damogran nigdy nie był zamieszkany. Właśnie dlatego rząd Imperium Galaktycznego wybrał go na siedzibę projektu „Złote Serce” — ponieważ projekt „Złote Serce” był tak kompletnie tajny, a Damogran tak kompletnie nie zamieszkany.

Ślizgacz mknął ze świstem po morzu rozciągającym się pomiędzy głównymi wyspami jedynego archipelagu na całej planecie, który miał rozsądne rozmiary. Zaphod Beeblebrox przemierzał drogę z małego portu kosmicznego na Wyspie Wielkanocnej (nazwa ta była całkowicie przypadkowym zbiegiem okoliczności — w języku galaktycznym wielkanocny znaczy mały, płaski i jasnobrązowy) do wyspy „Złotego Serca”, która — dzięki kolejnemu całkowicie przypadkowemu zbiegowi okoliczności — nazywała się Francja.

Jednym z efektów ubocznych pracy nad „Złotym Sercem” była seria całkowicie przypadkowych zbiegów okoliczności.

Ale w żadnym razie nie był zbiegiem okoliczności fakt, że dzień ten, kulminacyjny punkt projektu, wielki dzień odsłonięcia, dzień, w którym „Złote Serce” miało być ostatecznie pokazane oczom zadziwionej Galaktyki — miał być również wielkim punktem kulminacyjnym dla Zaphoda Beeblebroxa. Właśnie dla tego dnia zdecydował się ubiegać o urząd prezydenta. Decyzja ta spowodowała, że fale zdumienia obiegły całe Imperium Galaktyczne — Zaphod Beeblebrox? Prezydentem? Nie ten Zaphod Beeblebrox? Nie tym prezydentem? Wielu uznało to za ostateczny dowód, że cały znany wszechświat dostał w końcu kota.

Zaphod uśmiechnął się szeroko i dodał gazu.

Zaphod Beeblebrox, poszukiwacz przygód, były hipis, wielbiciel przyjemności życia (kanciarz? — całkiem możliwe), maniak autoreklamy, beznadziejny w stosunkach międzyludzkich, często uważany za kompletnie stukniętego, prezydentem?

Nikt nie dostał kota, przynajmniej nie pod tym względem.

Tylko sześciu ludzi w całej Galaktyce rozumiało zasadę rządzenia Galaktyką i wiedziało, że gdy Zaphod Beeblebrox raz zgłosił swoją kandydaturę na urząd prezydenta, rzecz była mniej więcej załatwiona; stanowił on idealną zasłonę dymną.

Prezydent — pełny tytuł: prezydent Rządu Imperium Galaktycznego. Określenie „Imperium” zostało zachowane, chociaż teraz jest anachronizmem. Dziedziczny cesarz jest na granicy śmierci znajduje się w tym stanie od wielu wieków. W ostatnich chwilach przedśmiertnej śpiączki umieszczono go w polu Stasis, które utrzymuje go w stanie wiecznej niezmienności. Wszyscy jego spadkobiercy dawno wymarli; oznacza to, że bez żadnego drastycznego przewrotu politycznego władza została przeniesiona w sposób prosty i skuteczny o szczebel lub dwa w dół drabiny. Obecnie uważa się, że władza spoczywa w rękach ciała, które za czasów cesarza posiadało jedynie funkcję doradczą wybieralnego Zgromadzenia Rządowego, któremu przewodniczy prezydent wybrany przez to Zgromadzenie. W rzeczywistości władza nie znajduje się w tych i rękach. W szczególności prezydent jest głównie figurantem — nie posiada zupełnie żadnej realnej władzy. Istotnie wybiera go rząd, lecz na podstawie cech, które charakteryzują nie przywódcę, ale precyzyjnie wyważony skandal. Z tego powodu wybór prezydenta jest zawsze kontrowersyjny. Zawsze jest to doprowadzający do szału, lecz fascynujący charakter. Jego zadanie polega nie na sprawowaniu władzy, ale na odwracaniu od niej uwagi. Według tych kryteriów Zaphod Beeblebrox jest jednym z najlepszych prezydentów, jakich kiedykolwiek miała Galaktyka — spędził już dwa lata ze swej dziesięcioletniej kadencji w więzieniu za oszustwo. Bardzo niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że prezydent i rząd nie mają prawie żadnej władzy, a z tych tylko sześciu wie, gdzie naprawdę jest najwyższa władza polityczna. Większość pozostałych wierzy skrycie, że decyzje o najwyższym znaczeniu podejmuje komputer. Nie mogą bardziej się mylić.

Czego jednak kompletnie nie potrafili zrozumieć, to przyczyny, dla których Zaphod to robił.

Zaphod wykonał ślizgaczem ostry zwrot, wzbijając w powietrze ścianę spienionej wody, która przesłoniła na moment słońce.

Dziś nadszedł ten dzień; dzień, w którym dowiedzą się wreszcie, co Zaphod zamierzał. O ten jeden dzień chodziło w całej jego prezydenturze. Dziś były także jego dwusetne urodziny, lecz był to kolejny całkowicie przypadkowy zbieg okoliczności.

Mknąc ślizgaczem przez morza Damograna, Zaphod lekko uśmiechnął się do siebie, myśląc, jaki wspaniały i ekscytujący będzie ten dzień. Rozluźnił się i leniwie wyciągnął oba ramiona wzdłuż oparcia siedzenia. Sterował dodatkową ręką, którą ostatnio zamontował sobie tuż pod prawą, żeby łatwiej było mu uprawiać boks na nartach.

— Hej — zamruczał do siebie czule — naprawdę diabelnie opanowany z ciebie facet.

Lecz jego nerwy grały marsza bardziej piskliwego niż dźwięk gwizdka na psa.

Wyspa Francja miała około dwudziestu mil długości i pięciu mil szerokości, była piaszczysta i miała kształt półksiężyca. Zdawała się istnieć nie jako wyspa na swych własnych prawach, lecz po prostu jako sposób na zaznaczenie rozległego łuku wielkiej zatoki. Wrażenie to pogłębiał fakt, że wewnętrzne wybrzeże półksiężyca było stromym klifem; od jego tyłu teren obniżał się stopniowo przez pięć mil do przeciwległego brzegu.

Na szczycie klifu stał komitet powitalny. W dużej części składał się z inżynierów i badaczy, którzy zbudowali „Złote Serce”. Przeważnie humanoidalnych, ale, tu i tam trafiali się gadopodobni Atominerzy, dwóch lub trzech zielonych podobnych do sylfid Maximegalatyczyków, jeden czy dwóch ośmiornicowatych Fisuk, turalistów i Hoolooovoo. (Hoolooovoo to superinteligentny odcień koloru niebieskiego.) Wszyscy poza Hoolooovoo błyszczeli w swych wielokolorowych ceremonialnych uniformach laboratoryjnych, Hoolooovoo zaś był rozszczepiony z tej okazji w wolno stojącym pryzmacie.

Panował wśród nich nastrój ogromnego podniecenia. Wszyscy razem i każdy z osobna osiągnęli i przekroczyli najodleglejsze granice praw fizyki, przebudowali podstawową strukturę materii, naginali, przekręcali i łamali prawa prawdopodobieństwa i nieprawdopodobieństwa, ale ciągle wyglądało na to, że najbardziej ekscytująca rzecz, jaka może im się zdarzyć, to spotkać człowieka z pomarańczową szarfą na szyi (pomarańczowa szarfa była tradycyjną oznaką prezydenta Galaktyki). Być może nie robiłoby im nawet specjalnej różnicy, gdyby wiedzieli, ile władzy naprawdę posiada prezydent Galaktyki; gdyby wiedzieli, że nie posiada jej w ogóle. Tylko sześciu ludzi w Galaktyce wiedziało, że zadanie prezydenta polegało nie na sprawowaniu władzy, ale na odwracaniu od niej uwagi.

Zaphod Beeblebrox był w tym niesamowicie dobry. Tłum ciężko oddychał, oślepiiony słońcem i blaskiem metalu, gdy prezydencki ślizgacz wpływał do zatoki. Błyskał i lśnił, mknąc po morzu szerokimi, łukowatymi ślizgami.

W gruncie rzeczy nie musiał wcale dotykać wody, ponieważ podtrzymywała go mlecznobiała poduszka zjonizowanych atomów, ale dla samego efektu zamontowano w nim cienkie ostrza płetwowe, które można było zanurzyć w wodzie. Rozcinały one taflę wody z głośnym sykiem, rzeźbiły głębokie rysy w morzu, które burzyło się wściekle i zamykało, tworząc spieniony kilwater za pędzącym ślizgaczem.

Zaphod uwielbiał mocne efekty — w tym był najlepszy.

Gwałtownie skręcił kołem sterowym i łódź obróciła się dookoła w dzikim, koszącym ślizgu poniżej czoła klifu, by po chwili lekko spocząć na rozkołysanych falach.

Po chwili Zaphod wyskoczył na pokład, machając i uśmiechając się szeroko do ponad trzech bilionów ludzi. W rzeczywistości nie było tam trzech bilionów ludzi, lecz tylu obserwowało każdy ruch Zaphoda oczami małej, automatycznej kamery tri-D, która służyła jako unoszą się w powietrzu. Występy prezydenta zawsze stawały się zadziwiająco popularnymi programami tri-D — po to właśnie były.

Zaphod znowu uśmiechnął się szeroko. Trzy biliony i sześciu ludzi nie wiedziało o tym,

ale dziś będzie lepszy występ niż ktokolwiek mógłby oczekiwać.

Automatyczna kamera przysunęła się, aby zrobić zbliżenie bardziej popularnej z dwóch głów Zaphoda, który pomachał widzom raz jeszcze. Jego wygląd, oprócz dodatkowej głowy i trzeciej ręki, był z grubsza humanoidalny. Jasne, rozczochrane włosy sterczały mu w różnych kierunkach, w błękitnych oczach migotało coś, co kompletnie nie dało się zdefiniować, a podbródki były prawie zawsze nie ogolone.

Przezroczysta kula o średnicy dwudziestu stóp unosiła się na wodzie obok jego łodzi, kołysząc się, huśtając i migocząc w pełnym słońcu. Wewnątrz niej znajdowała się szeroka, półkolista sofa pokryta wspaniałą, czerwoną skórą; im bardziej kula kołysała się i huśtała, tym bardziej sofa trwała w absolutnym bezruchu, jak pokryta czerwoną skórą skała. To też było zrobione tylko i wyłącznie dla efektu.

Zaphod przeszedł przez ścianę kuli i usadowił się wygodnie na sofie. Rozłożył dwie ręce na oparciu, a trzecią strzepnął niewidoczny pyłek z kolana. Jego głowy rozglądały się z uśmiechem. Pomyślał, że w każdej chwili może zacząć krzyczeć.

Kula uniosła się. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej w powietrze, opierając szczudła ze światła na zboczu klifu. Unosiła się w górę na dyszach wyrzucających z siebie wodę, która spadała z powrotem do morza z wysokości setek stóp.

Zaphod uśmiechnął się na myśl o tym, jak wygląda.

Zupełnie absurdalny środek lokomocji, ale i zupełnie zachwycający.

Na szczycie klifu kula zachybotała się na chwilę, przesunęła do ogrodzonej rampy, potoczyła w dół do małej, wklęsłej platformy i tam znieruchomiała.

Przywitany ogromnym aplauzem, Zaphod Beeblebrox wyszedł z kuli w swojej pomarańczowej, jaśniejącej w świetle szarfię na szyi.

Prezydent Galaktyki był na miejscu. Zaphod poczekał, aż ucichną oklaski i podniósł rękę w geście pozdrowienia.

— Cześć! — powiedział.

Rządowy pajak przysunął się bokiem do niego i spróbował wcisnąć mu do rąk egzemplarz pośpiesznie przygotowanego przemówienia. Strony od trzeciej do siódmej wersji oryginalnej znajdowały się w tym momencie na powierzchni morza Damograna jakieś pięć mil od zatoki i płynęły sobie powoli. Strony pierwsza i druga zostały uratowane przez damograńskiego liściastego orła grzebieniastego, który włączył je już w swoją zadziwiającą, nową formę gniazda, którą właśnie znalazł. Gniazdo zbudowane zostało głównie z papiermache i było praktycznie niemożliwe, aby świeżo wyklute pisklę orła mogło się z niego wydostać. Damograński liściasty orzeł grzebieniasty słyszał o pojęciu przetrwania gatunków, ale nie chciał zaprzętać sobie tym głowy.

Zaphod Beeblebrox wiedział, że nie będzie potrzebował żadnego przemówienia i delikatnie odsunął podawany przez pajaka egzemplarz.

— Cześć! — powiedział znowu.

Wszyscy rozpromienili się na jego widok — albo przynajmniej prawie wszyscy.

Zaphod odnalazł w tłumie Trillian. Trillian była dziewczyną, którą niedawno poderwał podczas rozrywkowej wizyty incognito na jakiejś planecie. Była smukła, śniada i humanoidalna, miała długie, falujące czarne włosy, pełne usta, mały, zabawny nosek i idiotycznie brązowe oczy. W czerwonym szaliku zawiązanym na głowie w ten szczególny sposób i długiej, powiewnej, brązowej sukni przypominała trochę Arabkę. Nie, żeby ktoś słyszał tam kiedykolwiek o Arabach. Arabowie właśnie ostatnio przestali istnieć, a nawet kiedy istnieli, byli o pięćset tysięcy lat świetlnych oddaleni od Damograna.

Trillian nie była nikim szczególnym, a przynajmniej tak twierdził Zaphod. Po prostu

spędzała z nim dosyć dużo czasu i mówiła, co o nim myśli.

— Cześć, kochanie — powiedział do niej.

Trillian rzuciła mu szybki, powściągliwy uśmiech i odwróciła wzrok. Po chwili znów na niego spojrzała, tym razem z cieplejszym uśmiechem, ale Zaphod w tym momencie patrzył już na coś innego.

— Cześć! — powiedział do niewielkiej grupki stworzeń z prasy, które stały obok, życząc sobie, żeby przestał wreszcie powtarzać w kółko „cześć” i rzucił jakimś powiedzonkiem, które będzie można zacytować.

Zaphod uśmiechnął się do nich szczególnie szeroko, bo wiedział, że już za kilka minut usłyszą od niego zupełnie niesamowity cytat.

Jednakże następna rzecz, jaką powiedział, nie nadawała się do wykorzystania. Jeden ze zgromadzonych tam drażliwych wysokich urzędników doszedł do wniosku, że prezydent najwyraźniej nie jest w nastroju, aby przeczytać znakomite, starannie dla niego przygotowane przemówienie, wobec czego przesunął przełącznik zdalnie sterującego urządzenia znajdującego się w jego kieszeni. Daleko przed nimi odcinająca się od nieba olbrzymia biała kopuła pękła w połowie, rozdzieliła się na dwie części i powoli opadła na ziemię. Wszyscy westchnęli na ten widok, chociaż doskonale wiedzieli, jak to będzie wyglądało — sami zbudowali tę kopułę.

Pod nią znajdował się ogromny statek międzygwiazdny o wytwornym kształcie trampka, długości stu pięćdziesięciu metrów, dziewiczo biały i niesamowicie piękny.

W jego sercu niewidocznym dla oczu, spoczywało niewielkie pudełko ze złota zawierające urządzenie, na myśl o którym mózg stawał dęba. Najbardziej nieprawdopodobne urządzenie, jakie można sobie wyobrazić; urządzenie, które sprawiało, że statek ten był unikatem w całej historii Galaktyki i któremu zawdzięczał swoją nazwę: „Złote Serce”.

— O rany! — powiedział Zaphod Beeblebrox do „Złotego Serca”. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Powtórzył to jeszcze raz, bo wiedział, że zdenerwuje to prasę. — O rany!

Tłum wyczekująco odwrócił twarz w jego kierunku. Zaphod mrugnął do Trillian, która uniosła brwi i spojrzała na niego rozszerzonymi oczami. Wiedziała, co za chwilę powie, i uważała go za okropnego efekciarza.

— To jest naprawdę zadziwiające — rzekł. — To jest naprawdę absolutnie zadziwiające. To jest tak zadziwiająco zadziwiające, że chyba chciałbym to ukraść!

Fantastyczne, absolutnie autentyczne słowa prezydenta. Tłum roześmiał się z uznaniem, dziennikarze radośnie wcisnęli guziki swoich subetha newsmatików, a prezydent uśmiechnął się szeroko.

Gdy się tak uśmiechał, jego serce wydało z siebie niepohamowany wrzask, a palce namacały niewielką paralizmatyczną bombę spoczywającą spokojnie w jego kieszeni.

W końcu nie mógł tego dłużej znieść. Odrzucił w tył swoje dwie głowy i wydał dziki okrzyk radości w tonacji dur. Rzucił bombę na ziemię i puścił się biegiem poprzez morze nagle zamartwych promiennych uśmiechów.

ROZDZIAŁ 5

Prostefiic Vogon Jeltz nie był miłym widokiem nawet dla innych Vogonów. Jego wysoko sklepiony nos wyrastał znacznie ponad małe świńskie czoło, a ciemnozielona, przypominająca gumę skóra była wystarczająco gruba, aby mógł grać w grę nazywaną „Vogońską polityką administracyjną” (i to grać dobrze) oraz wystarczająco wodoodporna, żeby mógł spędzać

dowolną ilość czasu w głębinach morskich, nawet do tysiąca stóp, bez żadnych negatywnych skutków. Oczywiście nie chodził nigdy popływać był na to zbyt zajęty.

Był, jaki był, ponieważ biliony lat temu, gdy Vagonowie po raz pierwszy wypłynęli z pradawnych, leniwych mórz Vogsfery i legli, sapiąc i ciężko dysząc na dziewiczych brzegach planety, gdy owego ranka padły na nich pierwsze promienie młodego, jasnego, vogońskiego słońca — dokładnie w tym momencie siły ewolucji jak gdyby dały sobie z nimi spokój, odwróciły się z niesmakiem i spisały na straty jako nieprzyjemną i pożałowania godną omyłkę. Vagonowie nigdy już nie ewoluowali — nie powinni byli w ogóle przetrwać.

Fakt, że jednak im się to udało, jest pewnym oddaniem sprawiedliwości niewzruszonemu i ślimaczomózgiemu wyrazowi tych stworzeń. Ewolucja? — powiedziały sobie.

— Komu to potrzebne? I radziły sobie po prostu bez tego, czego natura nie chciała dla nich zrobić, aż do czasu, gdy byli w stanie korygować co większe niedogodności anatomiczne za pomocą chirurgii.

Tymczasem siły przyrody na Vogsferze pracowały nadliczbowo, usilnie starając się nadrobić swoją wcześniejszą gafę. Stworzyły iskrzące się od klejnotów kraby zatapiające, które Vagonowie zjadali, rozbijając ich pancerze żelaznymi młotkami; wysokie, strzeliste drzewa o zapierającej dech w piersiach wiotkości i kolorze, które Vagonowie wycinali, aby rozpalać z nich ogień do pieczenia mięsa krabów; eleganckie, podobne do gazel stworzenia o jedwabistym futrze i lśniących oczach, które Vagonowie łapali, aby ich dosiadać. Były one bezużyteczne jako wierzchowce, ponieważ ich kręgosłupy natychmiast pękały, ale Vagonowie i tak ich dosiadali.

Tak więc planeta Vogsfera przeżywała ciężkie tysiąclecia do czasu, gdy Vagonowie odkryli nagle podstawowe zasady podróży międzygwiazdnych. W ciągu kilku krótkich vogońskich lat wszyscy co do jednego wyemigrowali do raju gwiazdnego Megabranis, politycznego centrum Galaktyki, gdzie tworzyli teraz niezwykle potężny kościec administracji galaktycznej. Próbowali zdobywać wykształcenie, próbowali zyskać maniery i ogładę towarzyską; lecz pod żadnym prawie względem współczesny Vagon praktycznie nie różni się od swoich prymitywnych przodków. Co roku sprowadzają oni ze swojej rodzinnej planety dwadzieścia siedem tysięcy krabów zatapiających o iskrzących się od klejnotów pancerzach i spędzają radosną, pijacką noc, rozbijając je na drobny mak żelaznymi młotkami.

Prostetnic Vagon Jeltz był dosyć typowym Vagonem w tym sensie, że był do gruntu nikczemny. Poza tym nie lubił autostopowiczów.

Gdzieś w małej, ciemnej kabinie, głęboko we wnętrzościach statku flagowego Prostetnica Vagona Jeltza, zapaliła się nerwowo zapalka. Posiadacz zapalki nie był Vagonem, ale wiedział o nich wszystko i miał wszelkie powody do nerwowości. Jego nazwisko brzmiało Ford Prefect.

Prawdziwe nazwisko Forda Prefecta można wymówić jedynie w mało zrozumiałym dialekcie rasy z okolic Betelgeuzy, praktycznie wymarłej od czasu Wielkiej Katastrofy Upadku Hrunga (Gal) Sid. (Rok 03758), która zmiotła z powierzchni ziemi wszystkie dawne ludy praxibetelskie na Betelgeuzie VII. Ojciec Forda był jedynym człowiekiem na całej planecie, który przeżył Wielką Katastrofę Upadku Hrunga. Stało się to dzięki zadziwiającemu zbiegowi okoliczności, którego nigdy nie był w stanie zadowalająco wytłumaczyć. Cały epizod owiany jest głęboką tajemnicą, w gruncie rzeczy nikt nigdy nie dowiedział się, czym właściwie był Hrungr ani dlaczego wybrał sobie na upadek właśnie Betelgeuzę VII. Ojciec Forda, wielkodusznie nie zwracając uwagi na chmury podejrzeń, które w sposób nieunikniony zaczęły gromadzić się nad jego głową, osiedlił się na Betelgeuzie V, gdzie był jednocześnie ojcem i wujem dla Forda. Ku pamięci swej nie istniejącej już rasy ochrzcił syna imieniem w dawnym praxibetelskim języku.

Ponieważ Ford nigdy nie nauczył się wymawiać swojego prawdziwego imienia, jego

ojciec umarł w końcu ze wstydu, który jest ciągle śmiertelną chorobą w niektórych częściach Galaktyki. Inne dzieci nazwały Forda „DC”, co w języku Betelgeuzy V oznacza: „chłopiec, który nie jest w stanie zadowalająco wytłumaczyć, co to jest Hrung ani dlaczego wybrał sobie na upadek właśnie Betelgeuzę VII”.

Rozejrzał się po kabinie, ale bardzo niewiele udało mu się zobaczyć poza dziwnymi, monstrualnymi cieniami, ukazującymi się i skaczącymi w świetle małego, drgającego płomyka. Było całkiem cicho. Wyszeptał bezgłośnie podziękowanie dla Dentrassich.

Dentrassi to bardzo niesforne plemię — rozbestwiona, lecz sympatyczna banda smakoszy, których Vogonowie zaczęli ostatnio zatrudniać jako personel do spraw wyżywienia w swoich długich transportowcach, pod warunkiem jednakże, że pod żadnym pozorem nie będą próbowali zaprzyjaźniać się z Vogonami.

Ten układ bardzo pasował Dentrassim, którzy kochali pieniądze Vogonów, jedną z najtwardszych walut kosmosu, ale nie cierpieli samych Vogonów. Jedyne rodzaje Vogonów, którzy cieszyli się sympatią Dentrassich, to Vogon wkurzony.

Właśnie dzięki tej jednej drobnej informacji Ford Prefect nie był teraz chmurą wodoru, ozonu i tlenku węgla.

Usłyszał cichy jęk. Przy świetle zapalki ujrzał ciężki kształt poruszający się niemrawo na podłodze. Szybko zgasił zapalkę, sięgnął do kieszeni i znalazł to, czego szukał. Rozerwał opakowanie i potrząsnął torebką. Przykucnął na podłodze. Kształt poruszył się znowu.

Ford Prefect powiedział: — Kupiłem trochę fistaszków.

Artur Dent poruszył się i znowu jęknął, mamrocząc coś bez związku.

— Weź parę — przynaglił go Ford, jeszcze raz potrząsając torebką. — Jeżeli nigdy przedtem nie przechodziłeś przez promienie transformacji materii, prawdopodobnie straciłeś trochę soli i białka. Piwo, które wypileś, powinno ci trochę pomóc.

— Gggdzdzdz... — zaczął Artur Dent. Otworzył oczy. — Ciemno — dodał.

— Tak — zgodził się Ford Prefect. — Jest ciemno. — Nie ma światła — ciągnął Artur Dent. — Ciemno, nie ma światła.

Jedną z rzeczy, które Ford Prefect uważał zawsze za najtrudniejsze do pojęcia w istotach ludzkich, był ich nawyk ciągłego stwierdzania i powtarzania najoczywistszych faktów, jak na przykład: „Ładną mamy dziś pogodę” albo „Jesteś bardzo wysoki”, albo „Kochanie, wygląda na to, że wpadłeś do trzydziestostopniowej studni, dobrze się czujesz?” Pierwsza z jego teorii wyjaśniających to niepojęte zachowanie głosiła, że jeżeli istoty ludzkie przestają ciągle ćwiczyć swoje usta, ich otwór gębowy zarasta. Po kilku miesiącach rozważań i obserwacji Ford porzucił tę teorię na rzecz nowej: jeżeli istoty ludzkie przestają ciągle ćwiczyć swoje usta, ich mózg zaczyna pracować. Po pewnym czasie jednak zrezygnował i z tej teorii jako przesadnie cynicznej i zdecydował, że pomimo wszystko raczej lubił ludzkie istoty. Zawsze jednak doprowadzało go do czarnej rozpaczki przerażające mnóstwo rzeczy, o których nie wiedzieli.

— Tak — zgodził się z Arturem. — Nie ma światła. — Pczęstował go fistaszkami.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Jak akademia wojskowa — odpowiedział Artur. — Częstki mnie ciągle urządzają parady.

Ford spojrzał na niego w ciemności tępym wzrokiem.

— Gdybym zapytał, gdzie, do cholery, jesteśmy — odezwał się słabo Artur — czy bardzo bym tego żałował?

Ford wstał.

— Jesteśmy bezpieczni — stwierdził.

— To dobrze — odpowiedział ostrożnie Artur.

— Jesteśmy w małej kabinie kuchennej jednego ze statków kosmicznych Vogońskiej Floty Budowlanej — dodał Ford.

— Aha — powiedział Artur — to pewnie jakieś dziwne znaczenie słowa „bezpieczny”, z którym się wcześniej nie zetknąłem.

Ford zapalił następną zapalkę, żeby ułatwić sobie poszukiwania wyłącznika światła.

Monstrualne cienie znowu ukazały się na ścianach. Artur podniósł się z wysiłkiem i rozejrzał wokół lękliwie. Ohydne pozaziemskie kształty zdawały się tłoczyć wokół niego.

Powietrze było lepkie od zapleśniałych woni, które wciskały się do jego płuc, nie dając się zidentyfikować, a niskie, denerwujące buczenie nie pozwalało się skoncentrować.

— Jak się tutaj dostaliśmy? — zapytał, drżąc lekko.

— Zabraliśmy się autostopem — odpowiedział Ford.

— Co takiego?! — spytał Artur. — Czy chcesz mi powiedzieć, że po prostu wystawiliśmy sobie kciuki, a jakiś zielony potwór z oczami jak karaluch wyjrzał i powiedział: „Cześć, chłopcy, wskakujcie, mogę was zabrać aż do obwodnicy Basiugstoka”.

— Nie całkiem — powiedział Ford. — Kciuk to elektroniczne urządzenie sygnalizujące, a obwodnica jest przy Gwieździe Barnarda, sześć lat świetlnych stąd. Poza tym mniej więcej się zgadza.

— A potwór z oczami jak karaluch?

— Owszem, zielony.

— Świetnie — rzekł Artur. — Kiedy mogę wrócić do domu?

— Nie możesz — odpowiedział Ford, który znalazł wreszcie na ścianie wyłącznik.

— Zasłoń oczy... ostrzegł i przekreślił go.

Widok, który ukazał się ich oczom, zdziwił nawet jego.

— Wielkie nieba — odezwał się Artur. — Czy to naprawdę wewnątrz latającego talerza?

Prostetnic Vogon Jeltz dźwignął swoje nieprzyjemne zielone cielsko wokół mostka kontrolnego. Zawsze po zniszczeniu zamieszkanym planet czuł się cokolwiek rozdrażniony. Miał ochotę, żeby ktoś przyszedł i powiedział mu, że było to całkowicie nie w porządku, bo wtedy mógłby zacząć na niego wrzeszczeć i poczułby się lepiej. Klapnął na swoje siedzenie kontrolne tak ciężko jak tylko mógł, w nadziei, że rozleci się i da mu jakiś rzeczywisty powód do wściekłości, ale siedzenie wydało tylko z siebie coś w rodzaju pełnego pretensji zgrzytu.

— Wynos się! — wrzasnął na młodego strażnika, który w tej chwili pojawił się na mostku.

Strażnik ulotnił się natychmiast z uczuciem wielkiej ulgi. Był zadowolony, że to nie on będzie musiał dostarczyć kapitanowi otrzymany przed chwilą raport. Raport ten był oficjalnym komunikatem, który stwierdzał, że właśnie w tym momencie w rządowej bazie naukowej na Damogranie miało miejsce odsłonięcie statku kosmicznego o fantastycznej nowej formie napędu. W związku z tym wszelkie hiperprzestrzenne trasy szybkiego ruchu stają się od tej chwili zbędne.

Otworzyły się następne drzwi, ale tym razem kapitan Vogonów nie zaczął wrzeszczeć. Były to drzwi prowadzące z części kuchennej, gdzie Dentrassi przygotowywali dla niego posiłki. Dobry lunch to właśnie to, czego w tym momencie było mu trzeba.

Olbrzymie, kudłate stworzenie w kilku skokach znalazło się na mostku. W łapach trzymało tacę i szczyrzyło zęby w maniackim uśmiechu.

Prostetnic Vogon Jeltz był wniebowzięty. Wiedział, że gdy Dentrassi wygląda na tak niesamowicie zadowolonego z siebie, gdzieś na statku dzieje się coś, na co będzie można naprawdę porządnie się wściec.

Ford i Artur rozglądali się wokół.

— Co o tym myślisz? — zapytał Ford.

— Dosyć brudno, nie uważasz?

Ford skrzywił się na widok niechlujnych materacy, nie umytych kubków i porozrzucanych po całej kabinie bliżej nie zidentyfikowanych części dziwnie wyglądającej bielizny o wybitnie nieświeżym zapachu.

— Cóż, na tym statku się pracuje — powiedział. To część mieszkalna Dentrassich.

— Wydawało mi się, że nazywasz ich Vogonami czy jakoś podobnie.

— Owszem — rzekł Ford. — Vogonowie dowodzą tym statkiem, a Dentrassi są kucharzami. To oni wpuszcili nas na pokład.

— Wszystko mi się pomieszało — oświadczył Artur.

— Dobra, rzuć okiem na to — powiedział Ford.

Usiadł na jednym z materacy i zaczął grzebać w swojej torbie. Artur trącił nerwowo materac i po chwili również usiadł. W rzeczywistości nie było powodów do nerwowości, ponieważ wszystkie materace hodowane na mokradłach Sqornshellusa Zeta przed rozpoczęciem ich użytkowania są bardzo dokładnie zabijane i suszone. Bardzo nieliczne kiedykolwiek odzyskały życie.

Ford podał mu książkę.

— Co to jest? — zapytał Artur.

— Przewodnik „Autostopem przez Galaktykę”. To coś w rodzaju elektronicznej książki. Mówi wszystko, co jest ci potrzebne na dany temat. Na tym polega jej zadanie.

Artur nerwowo obrócił ją w rękach.

— Podoba mi się okładka — stwierdził. — „Bez paniki”. To pierwsza sensowna czy zrozumiała rzecz, jaką usłyszałem przez cały dzień.

— Pokażę ci, jak to działa — rzekł Ford.

Wyjął książkę z rąk Artura, który trzymał ją, jak gdyby był to zdechły przed dwoma tygodniami kanarek, i zdjął futerał.

— Naciskasz ten guzik, o, tutaj, a ekran zapala się i podaje ci indeks haseł.

Ekran — wielkości mniej więcej trzy na cztery cale — zapalił się i hasła zaczęły się pojawiać.

— Chcesz dowiedzieć się czegoś na temat Vogonów, a więc wpisuję tutaj to hasło.

— Jego palce przebiegły po klawiaturze. — No i mamy.

Słowa „Vogońska Flota Budowlana” zabłyśły zielono pośrodku ekranu. Ford przycisnął duży, czerwony guzik i słowa zaczęły się przesuwają. W tej samej chwili książka zaczęła także recytować spokojnym, modulowanym głosem. Artur usłyszał, co następuje: Vogońska Flota Budowlana. Oto, co powinienes zrobić, jeżeli chcesz zabrać się z nimi autostopem: daj sobie spokój. Vogoni to jedna z najbardziej nieprzyjemnych ras w Galaktyce — nie do końca zła, ale o odrażającym usposobieniu, zbiurokratyzowana, nadgorliwa i nieczuła. Nie kiwnęliby nawet palcem, aby uratować własną babcię ze szponów żarłocznego Bugblattera, bestii z Traala, bez rozkazów podpisanych w trzech egzemplarzach, wysłanych, odesłanych, zakwestionowanych, zgubionych, odnalezionych, przedstawionych opinii publicznej, znów zgubionych, porzuconych ostatecznie na trzy miesiące na kupie kompostu i zużytych jako surowiec wtórny do rozpalać ognia.

Najlepszy sposób na wyciśnięcie drinka z Vogona to włożyć mu palec w gardło, a najlepszy sposób na zdenerwowanie go to rzucić jego babcię na pożarcie żarłocznemu Bugblatterowi, bestii z Traala.

Pod żadnym pozorem nie pozwól, aby Vogon czytał ci poezję.

Artur zamrugł nerwowo.

— Co to za przedziwna książka. Więc jak się tu dostaliśmy?

— O to właśnie chodzi, jest już nieaktualna — wyjaśnił Ford, wkładając książkę z powrotem do futerału. — Jestem badaczem terenowym, zbierającym materiał do nowego poprawionego wydania i jednym z moich zadań jest przygotowanie informacji o tym, że Vagonowie zatrudniają teraz Dentrassich jako kucharzy, co daje nam całkiem zgrabny pretekst.

Wyraz cierpienia przemknął przez twarz Artura.

— Ale kim są Dentrassi? — zapytał.

— Świetni faceci — odpowiedział Ford. — Są najlepszymi kucharzami i robią najlepsze drinki, a poza tym kompletnie nic ich nie obchodzi. Zawsze wpuszczają na pokład autostopowiczów, trochę dlatego, że lubią towarzystwo, ale głównie dlatego, że denerwuje to Vagonów. Właśnie tego rodzaju rzeczy musisz wiedzieć, jeżeli jesteś splukanym autostopowiczem, który próbuje zobaczyć cuda wszechświata za mniej niż trzydzieści altairiańskich dolarów dziennie. To jest właśnie moja praca. Niezła zabawa, nie uważasz?

Artur wyglądał za zagubionego.

— To zadziwiające — powiedział i spojrzał podejrzliwie na jeden z pozostałych materacy.

— Niestety, utknąłem na Ziemi na trochę dłużej niż zamierzałem — ciągnął Ford.

— Wpadłem na tydzień i utknąłem na piętnaście lat.

— Ale jak się tam w ogóle dostałeś?

— Bez problemu, podwiózł mnie kawalarz.

— Kawalarz?

— Aha.

— Ale kto to...

— Kawalarz? Kawalarze to zwykle bogaci smarkacze, którzy nie mają nic do roboty.

Włóczą się po kosmosie w poszukiwaniu planet, które nie nawiązały jeszcze kontaktu z innymi cywilizacjami, i robią je w UFO.

— Robią w UFO? — Artur zaczął podejrzewać, że komplikowanie mu życia sprawia Fordowi szczerą przyjemność.

— Aha — potwierdził Ford. — Robią w UFO. Znajdują odosobnione, słabo zaludnione miejsca, lądują przed nosem jakiejś biednej, nieświadomej duszy, której nikt nigdy nie uwierzy, i spacerują sobie tam i z powrotem z idiotycznymi antenami na głowie, robiąc „bipbip”. Naprawdę szczeniackie zagrywki. Ford oparł się plecami o materac i założył ręce za głowę, a jego zadowolona z siebie mina mogła doprowadzić do szału.

— Ford — powiedział zdecydowanie Artur. Domyślam się, że to pytanie może zabrzmieć głupio, ale co ja tu robię?!

— Przecież wiesz — rzekł Ford. — Uratowałem cię z Ziemi.

— A co się stało Ziemi?

— Została zniszczona.

— Naprawdę? — zapytał Artur słabym głosem.

— Owszem. Po prostu wyparowała.

— Posłuchaj — zaczął Artur. — Jestem tym trochę zmartwiony.

Ford zmarszczył lekko brwi i przyjrzał się tej myśli ze wszystkich stron.

— Owszem, potrafię to zrozumieć — powiedział w końcu.

— Potrafisz to zrozumieć! Ford zerwał się na nogi.

— Popatrz na książkę! — syknął ostro.

— Co takiego?

— „Bez paniki”!

— Wcale nie panikuję!

— Owszem, panikujesz.
— Niech ci będzie, panikuję, a co innego mogę zrobić?
— Możesz jeździć ze mną i nieźle się bawić. Galaktyka to świetne miejsce. Musisz mieć tylko tę rybkę w uchu.

— Przepraszam bardzo? — zapytał Artur, jak mu się zdawało, bardzo uprzejmie.
Ford trzymał w rękach słoiczek, w którym znajdowała się mała, złota, trzepocząca się rybka. Artur zamrugał gwałtownie. Życzył sobie, żeby znalazło się coś prostego i możliwego do zidentyfikowania, coś, czego mógłby się chwycić. Poczulby się bezpiecznie, gdyby obok białizny Dentressich, stosów materacy ze Sqornshellusa i człowieka z Betelgeuzy trzymającego małą rybkę, którą należało włożyć do ucha, mógł ujrzeć choćby najmniejsze pudełko płatków kukurydzianych. Ale nie mógł i dlatego nie czuł się bezpieczny.

Nagle usłyszeli wściekły hałas, którego źródła nie mogli zidentyfikować. Artur wstrzymał oddech, wsłuchując się ze zgrozą w dźwięki przypominające płukanie gardła podczas zażartej walki z całym stadem wilków.

— Ćśśś... — szepnął Ford. — Słuchaj, to może być ważne.
— Wa... ważne?!
— To kapitan Vagonów ogłasza komunikat na Tannoyu.
— Chcesz powiedzieć, że to jest mowa Vagonów?
— Słuchaj!
— Ale ja nic nie rozumiem!
— Nie szkodzi. Po prostu włóż tę rybkę do ucha. Ford z szybkością błyskawicy przyłożył rękę do ucha Artura, który odczuł nagle mdłące wrażenie, że po jego przewodzie słuchowym ześlizguje się ryba. Wstrzymując z obrzydzenia oddech, przez sekundę czy dwie grzebał w uchu, lecz nagle przestał i popatrzył na Forda wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami. Przeżywał słuchowy odpowiednik patrzenia na rysunek dwóch czarnych profilów, które niespodziewanie okazują się białym świecznikiem. Albo patrzenia na zbiorowisko kolorowych kropek, które nagle składają się w cyfrę sześć, oznaczającą, że twój okulista zaraz zażyczy sobie ciężkich pieniędzy na nowe okulary.

Artur ciągle słuchał skowytu połączonego z płukaniem gardła, wiedział o tym, tylko że teraz w niepojęty sposób przybrał on postać czystej, nieskazitelnej angielszczyzny.

A oto, co usłyszał...

ROZDZIAŁ 6

— Auuu auuu gargl auuu gargl auuu auuu auuu gargl auuu gargl auuu auuu gargl gargl auuu gargl garg gargl auuu skup uuuurgl miałby się dobrze bawić. Uwaga, powtarzam komunikat. Mówi wasz kapitan, a więc przestańcie robić to, co robicie, i słuchajcie uważnie. Przede wszystkim odczytuję z naszych przyrządów, że mamy na pokładzie parę autostopowiczów. Witam was, gdziekolwiek jesteście. Chcę tylko, żeby było to absolutnie jasne: jesteście tu bardzo niemile widziani! Ciężko pracowałem na moje dzisiejsze stanowisko i nie zostałem kapitanem Vogońskiej Floty Budowlanej po to, żeby przerobić ją na taksówki dla bandy zdegenerowanych gapowiczów. Wysłałem już oddział poszukiwaczy i gdy tylko was znajdą, natychmiast wyrzucę was ze statku. Jeżeli będziecie mieli sporo szczęścia, przeczytam wam najpierw trochę mojej poezji.

— Po drugie — ciągnął głos — właśnie przygotowujemy się do skoku hiperprzestrzennego w kierunku Gwiazdy Barnarda. Po przylocie zostaniemy w doku na

siedemdziesięciodwugodzinny przegląd, podczas którego nikomu nie wolno opuszczać statku.

Powtarzam, wszelkie wyjścia na planetę są odwołane! Właśnie przeżyłem nieudany romans i nie widzę powodu, aby ktokolwiek miał się dobrze bawić. Koniec komunikatu.

Hałas umilkł.

Ku swemu zażenowaniu Artur odkrył, że leży zwinięty w kłębek na podłodze, rękami osłaniając głowę. Uśmiechnął się blado.

— Czarujący gość — powiedział. — Żałuję, że nie mam córki, której mógłbym zabronić małżeństwa z nim.

— Nie ma obawy — odpowiedział Ford. — Są tak seksowne jak wypadek drogowy.

Nie, nie ruszaj się, dodał, widząc, że Artur zaczyna się rozplątywać. Przygotuj się lepiej na skok hiperprzestrzenny. Nieprzyjemnie przypomina upicie się.

— Co jest takiego nieprzyjemnego w upiciu się?

— Zapytaj szklankę wody.

Artur przemyślał to.

— Ford — odezwał się.

— Tak?

— Co robi ta ryba w moim uchu?

— Tłumaczy. To ryba Babel. Przeczytaj o niej w książce, jeśli masz ochotę.

Ford rzucił mu przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” i przygotowując się do skoku, przyjął pozycję embrionalną.

W tej samej chwili dno mózgu Artura odpadło. Jego oczy wywróciły się na lewą stronę, a stopy zaczęły przeciekać. Pokój wokół niego złożył się w kostkę, zawirował, zniknął z pola widzenia i pozostawił go, ześlizgującego się do swojego własnego pępka.

Przechodzili przez hiperprzestrzeń.

— Ryba Babel — powiedział spokojnie przewodnik „Autostopem przez Galaktykę”

— jest mała, złota i przypomina pijawkę. Jest to prawdopodobnie najdziwniejsza rzecz we wszechświecie. Żywi się energią fal mózgowych, lecz nie swojego nosiciela, ale istot go otaczających. Pochłania wszelkie nieświadome częstotliwości umysłowe fal mózgowych, którymi się odżywia. Wydała następnie do mózgu nosiciela telepatyczną matrycę utworzoną z kombinacji częstotliwości świadomych myśli i sygnałów nerwowych odebranych z ośrodków mowy mózgu, który je dostarczył. Praktyczny rezultat tego wszystkiego jest taki, że jeżeli ktoś włoży sobie rybę Babel do ucha, może natychmiast zrozumieć każdą wypowiedź w jakiegokolwiek formie języka. Wzorce mowy, jakie słyszy w rzeczywistości, rozszyfrowują matrycę fal mózgowych, która została dostarczona do jego mózgu przez rybę Babel.

Powstanie i ewolucja czegoś tak niewyobrażalnie pożytecznego za sprawą czystego przypadku byłaby tak niesamowicie nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, że niektórzy myśliciele uznali to za ostateczny i rozstrzygający dowód na nieistnienie Boga.

Ich tok rozumowania przebiega mniej więcej tak: „Odmawiam dowodzenia, że istnieję — stwierdza Bóg ponieważ dowód neguje wiarę, a bez wiary jestem niczym”.

„Ale — odpowiada Człowiek — zdradziłeś się rybą Babel. Nie mogła powstać przypadkowo, a więc dowodzi, że istniejesz, a więc, według twojej własnej linii rozumowania, nie istniejesz. Co należało dowieść”. „O rany — mówi Bóg — o tym nie pomyślałem” — i znika bez zwłoki w obłoku logiki. „To była pestka” — stwierdza Człowiek; na bis postanawia udowodnić, że białe jest czarne i zostaje przejechany na najbliższej zjeździe dla pieszych.

Większość wybitnych teologów twierdzi, że dowód ten nie jest wart złamanego grosza, ale nie zmieniło to faktu, że Oolon Collubhid zrobił małą fortunę, kiedy wykorzystał go jako centralny motyw w swoim bestsellerze „Podchwytliwe pytania dla Boga”.

Tymczasem nieszczęsna ryba Babel, znosząc skutecznie wszelkie bariery w porozumiewaniu pomiędzy różnymi czasami i kulturami, spowodowała więcej krwawych wojen niż cokolwiek innego w historii stworzenia.

Artur wydał z siebie cichy jęk. Był zdumiony i przerażony faktem, że skok przez hiperprzestrzeń nie zabił go. Znajdował się teraz w odległości sześciu lat świetlnych od miejsca, w którym byłaby Ziemia, gdyby jeszcze istniała.

Ziemia. Wizje Ziemi przepłynęły przez jego umysł, przyprawiając go o mdłości. Nie było mowy, żeby jego wyobraźnia była w stanie odczuć wstrząs spowodowany zniknięciem Ziemi, był na to stanowczo zbyt wielki. Artur wystawił na próbę swoje uczucia, myśląc o tym, że jego rodzice i siostra zniknęli. Żadnej reakcji.

Pomyślał o wszystkich bliskich mu ludziach. Żadnej reakcji. Wtem przypomniał mu się zupełnie obcy człowiek stojący za nim w kolejce w supermarkecie dwa dni temu i Artur poczuł nagłe ukłucie — nie ma już supermarketu, nie ma ludzi, którzy w nim byli. Zniknęła kolumna Nelsona! Kolumna Nelsona zniknęła — i nikogo to nie obeszło, bo nie ma już nikogo, kogo mogłoby to obejść. Od tej pory kolumna Nelsona istniała tylko w jego głowie. Anglia istniała tylko w jego głowie — w jego głowie, zamkniętej w tym zimnym, śmierdzącym, stalowym statku. Zatopiła go fala klaustrofobii.

Anglia już nie istniała. Dotarło to do niego, w jakiś sposób zdołał to pojąć. Spróbował jeszcze raz. Ameryka, pomyślał, zniknęła. Nie docierało. Postanowił znów zacząć od mniejszych rzeczy. Nowy Jork zniknął. Żadnej reakcji. Nigdy zresztą nie wierzył, że Nowy Jork naprawdę istnieje. Dolar, pomyślał, stracił wartość na zawsze. Lekkie drżenie. Wszystkie filmy z Bogartem zostały skasowane, powiedział sobie, i to był paskudny wstrząs. McDonald, pomyślał. Nie ma już takiej rzeczy, jak hamburger McDonalda...

Stracił przytomność. Gdy przyszedł do siebie sekundę później, stwierdził, że oplakuje swoją matkę. Zerwał się gwałtownie na nogi.

— Ford!

Ford spojrzał na niego z kata, w którym siedział, mruczając coś do siebie. Zawsze właściwie uważał, że podróżowanie przez kosmos jest raczej męczące.

— Tak? — odezwał się.

— Jeżeli zbierasz informacje do tego całego przewodnika i byłeś na Ziemi, to na pewno zebrałeś też coś na jej temat.

— No, udało mi się rozszerzyć trochę oryginalne hasło, owszem.

— To pokaż mi, co jest napisane w tym wydaniu. Muszę to zobaczyć.

— Dobra. — Ford znów podał mu książkę. Artur złapał ją, próbując powstrzymać drżenie rąk. Wyszukał właściwą stronę. Ekran rozbłysł, zamigał i wyświetlił rzędy liter.

Artur przyjrzał mu się.

— Nic nie ma! — wybuchnął.

Ford zajrzał mu przez ramię.

— Owszem, jest — powiedział. — Zobacz tutaj, na samym dole ekranu, pod hasłem „Zielonowłosa Eccentrica Gallumbits, trzypiętna dziwka z Eroticonu VI”.

Artur przesunął wzrokiem po ekranie i zobaczył, co wskazywał palec Forda. Przez dłuższą chwilę nie docierało do niego, a potem jego umysł prawie eksplodował.

— Co?! „Nieszkodliwa?!” To wszystko, co ma do powiedzenia? „Nieszkodliwa!!!”

Jedno słowo!

Ford wzruszył ramionami.

— Co chcesz, w Galaktyce jest sto bilionów gwiazd i tylko ograniczona ilość miejsca w mikroprocesorach książki — powiedział. — No i oczywiście, nikt nie wiedział zbyt dużo na

temat Ziemi.

- No dobra, ale na litość boską, chyba udało ci się trochę to rozszerzyć?
- No, owszem, udało mi się przesłać wydawcy nowy tekst hasła. Musiał go odrobinę skrócić, ale zawsze jest to jakiś postęp.
- I jak brzmi teraz? — zapytał Artur.
- „przeważnie nieszkodliwa” — wyznał Ford i zakaszał z lekkim zażenowaniem.
- „przeważnie nieszkodliwa!” — wrzasnął Artur.
- Co to był za hałas? — syknął Ford.
- To ja wrzeszczałem! — wrzasnął Artur.
- To się zamknij! — rzekł Ford. — Zdaje się, że mamy kłopoty.
- Tobie się zdaje, że mamy kłopoty!
- Zza drzwi dochodził wyraźny odgłos kroków.
- Dentrassi? — wyszeptał Artur.
- Nie, to są podkute buty — odpowiedział Ford.
- Rozległo się ostre stukanie do drzwi.
- To kto?
- No cóż — stwierdził Ford. — Jeżeli mamy szczęście, to tylko Vogoni, którzy przyszli, żeby wyrzucić nas w próżnię.
- A jeśli mamy pecha?
- A jeśli mamy pecha — rzekł Ford ponuro — to kapitan być może mówi poważnie, kiedy groził, że przedtem poczyta nam swoją poe...

ROZDZIAŁ 7

Vogońska poezja jest oczywiście na trzecim miejscu, jeśli chodzi o najgorszą poezję wszechświata. Na drugim miejscu znajdują się utwory Azgotków z Kria. Podczas recytacji poematu „Oda do małej bryłki zielonego kitu, którą znalazłem pod pachą pewnego letniego poranka” w wykonaniu autora, wielkiego mistrza poezji Grunthosa Flatulenta, czworo słuchaczy zmarło na skutek krwotoku wewnętrznego, a Prezydent ŚrodkowoGalaktycznej Rady Utrudniania Rozwoju Sztuki uszedł z życiem tylko dzięki odgryzieniu własnej nogi. Według doniesień naocznych świadków, Grunthos był „rozzarowany” przyjęciem utworu i miał właśnie przystąpić do czytania swojego poematu heroicznego w dwunastu księgach zatytułowanego „Moje ulubione bulgoty kąpielowe”, gdy jego własne jelito grube, w desperackiej próbie ratowania życia i cywilizacji, przeskoczyło mu przez szyję i odcięło dopływ tlenu do mózgu.

Najgorsza poezja w całym wszechświecie przestała istnieć wraz ze swoim twórcą Paulą Nancy Millstone Jennings z Greenbridge w hrabstwie Essex, Anglia, w momencie zniszczenia planety Ziemia.

Na twarz Prostetnica Vogona Jeltza bardzo powoli wypełził uśmiech. Nie było to jednak zrobione dla efektu, po prostu kapitan usiłował przypomnieć sobie kolejność ruchów mięśni. Skończył właśnie wrzeszczeć na swoich więźniów — z wybitnie terapeutycznym efektem — toteż czuł się teraz całkowicie zrelaksowany i gotowy na odrobinę niegodziwości.

Więźniowie usiedli na krzesłach do rozkoszowania się poezją — przywiązani rzemieniami. Vogonowie nie mieli złudzeń co do opinii, jaka otaczała powszechnie ich poezję. Ich wczesne próby poetyckie były częścią subtelnych jak uderzenie maczugi prób udowodnienia, że są odpowiednio rozwiniętą, i kulturalną rasą, ale teraz jedynym powodem, dla którego wciąż pisali wiersze, była przemożna chęć robienia wszystkim na złość.

Zimny pot oblał czoło Forda Prefecta i spłynął obok elektrod przymocowanych na jego skroniach. Były one podłączone do zestawu sprzętu elektronicznego — wzmacniaczy obrazowania, modulatorów rytmicznych, rezydulatorów aliteracyjnych i dumperów porównań — zaprojektowanego tak, aby wzmóc przeżycia artystyczne słuchacza i upewnić się, że ani jeden subtelny niuans poetycki nie przeszedł nie zauważony.

Artur Dent usiadł i zadrżał. Nie miał zielonego pojęcia, co go czeka, ale wiedział, że dotąd nie zdarzyło mu się nic, co by mu się podobało i nie wydawało mu się prawdopodobne, żeby miało się coś zmienić.

Vogon zaczął czytać — cuchnący, nieduży fragment własnego autorstwa.

— O fredlujący gruntbugglonie...! — rozpoczął. Drgawki wstrząsnęły ciałem Forda; było to gorsze, niż mógł oczekiwać.

— ...twe unkturacje są dla mnie... Jak plurdlowany gabbleblotkis w brytfannie.

— Aaaaaaarggggghhhhhh! — zawył Ford Prefect, wykręcając głowę do tyłu, gdyż przewalały się przez nią spazmy bólu. Ledwo widział zamgloną postać Artura zwijającego się i szamoczącego na krześle obok. Zaciśnął zęby.

— A więc gropnij, zaklinam cię — ciągnął bezlitośnie Vogon — w me frontujące turlingdrpomy! Jego głos wznosił się na przerażające wyżyny roznamiętnionej piskliwości: — I drangluj mnie hoptomicznie krinkłowymi bindlewurdami, bo inaczej rozedrę cię na gobberwarty moim blurglekrunczonem, myślisz, że nie?!

— Nuuuuyyyuuumggghhhh!!! — wrzasnął Ford Prefect, chwycony w klesze bólu podczas finałowego skurczu, gdy elektroniczne wzmocnienie ostatniego wersu posłało mu w skronie całą moc urządzenia. Jego ciało zwiotczało.

Artur zwiśł na krześle.

— A teraz, ziemskie stwory... — zawarczał Vogon (nie wiedział, że Ford pochodził naprawdę z małej planety w pobliżu Betelgeuzy, zresztą gdyby wiedział i tak by go to nie obeszło) — przedstawiam wam prosty wybór! Albo umrzecie za chwilę w próżni, albo... albo powiecie mi, jak dobry jest waszym zdaniem mój wiersz!

Rzucił się do tyłu na olbrzymi, skórzany fotel w kształcie nietoperza i przyglądał się im. Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.

Ford z trudem złapał oddech. Przejechał pokrytym pyłem językiem po spieczonych wargach i jęknął. Artur powiedział ożywionym głosem: — Owszem, jest całkiem niezły.

Ford obrócił się i wlepił w niego wzrok. Oto podejście, które najzwyczajniej w świecie nie przyszło mu do głowy.

Vogon ze zdziwienia uniósł bawi, co skutecznie zakryło jego nos i z tego powodu nie było złą rzeczą.

— Dobrze... — zawarczał ze sporym zdziwieniem.

— O, tak — powiedział Artur. — Wydaje mi się, że niektóre elementy obrazowania metafizycznego były rzeczywiście wyjątkowo efektowne.

Ford ciągle gapił się na niego, powoli zbierając myśli i przestawiając się na ten zupełnie nowy koncept. Czy to możliwe, żeby tym sposobem naprawdę mogli się z tego wywinąć?

— Tak, mów dalej... — powiedział zapraszająco Vogon.

— No i... także te... interesujące środki rytmiczne — ciągnął Artur — które zdawały się kontrapunktować... eee... eee... — Stracił koncept i zamilkł.

W tej samej chwili Ford przyszedł mu z pomocą. — Kontrapunktować — zaryzykował — surrealizm fundamentalnej metafory... eee... — On też ugrzązł, ale Artur był już gotowy.

— ...humanizmu...

— Vagonizmu — syknął do niego Ford.

— O tak, vagonizmu, przepraszam, współczującej duszy poety — Artur poczuł się w swoim żywiole która przebija poprzez medium struktury wiersza, aby wysublimować to, przetranscendentować tamto i osiągnąć porozumienie z zasadniczymi dydrotami tego drugiego — dochodził do triumfalnego crescendo — a odbiorca pozostaje z głębokim i wnikliwym wglądem w istotę... istotę... — które nagle go zwiódło.

Ford wyskoczył, zadając ostateczny cios: — W istotę problemu, cokolwiek nim było! — wrzasnął. I dodał cicho: — Świetnie, Artur, to było pierwsza klasa.

Vogon przyjrzał im się uważnie. Przez chwilę jego zgorzkniała, rasistowska dusza została poruszona, ale nie, pomyślał. Za mało i za późno. Jego głos zabrzmiał jak odgłos kocich pazurów na szkłe.

— A więc mówicie, że piszę poezję, ponieważ tak naprawdę pod powłoką nieczułości, nikczemności i braku serca chcę po prostu, żeby mnie kochano — stwierdził. Zrobił pauzę. — Zgadza się?

Ford zaśmiał się nerwowo.

— No, właściwie tak — powiedział. — Czyż nie jest tak, że my wszyscy, w głębi duszy, wie pan... eee...

Vogon wstał.

— Nie, nie jest tak. Mylicie się całkowicie rzekł. — Piszę poezję po to, aby dostarczyć mojej powłoce nieczułości, nikczemności i braku serca chwilowej ulgi. Tak czy inaczej, i tak zamierzam wyrzucić was ze statku. Straż! Zabrać więźniów do komory powietrznej numer trzy i wyrzucić!

— Co? — krzyknął Ford.

Olbrzymi, młody vogoński strażnik wystąpił naprzód i wyszarpnął ich z więzów potężnymi, gumowatymi ramionami.

— Nie możecie wyrzucić nas w przestrzeń — wrzasnął Ford. — Piszemy książkę!

— Opór nie ma sensu! — odwrzasnął mu vogoński strażnik. Było to pierwsze zdanie, jakiego nauczył się po wstąpieniu do Vogońskiego Korpusu Straży.

Kapitan popatrzył na to z obojętnym rozbawieniem, a potem odwrócił się.

Artur rozejrzał się dzikim wzrokiem.

— Nie chcę teraz umierać! — krzyknął. — Ciągłe boli mnie głowa! Nie chcę iść do nieba z bólem głowy, będę miał zły humor i nie spodoba mi się tam!

Strażnik twardo chwycił ich obu za szyję i z pełnym szacunku ukłonem w stronę pleców kapitana wywłókł ich z mostka, nie zważając na gwałtowne protesty. Stalowe drwi zamknęły się i kapitan znowu został sam. Zamyślił się głęboko, mruczając coś do siebie i stukając lekko palcami w notatnik z wierszami.

— Hmm — powiedział. — Kontrapunktować surrealizm fundamentalnej metafory... — rozważał to przez chwilę, a potem zamknął notatnik z ponurym uśmiechem.

— Śmierć jest dla nich za dobra — stwierdził.

Długi stalowy korytarz odbijał nikłym echem słabą szamotaninę dwóch istot ludzkich ściśniętych pod pachami Vogona.

— To jest świetne — bełkotał Artur. — To jest naprawdę fantastyczne. Puszczaj mnie, ty brutalu!

Vogoński strażnik włókł ich dalej.

— Nie przejmuj się — powiedział Ford. Wymyślę coś.

Nie zabrzmiało to specjalnie pocieszająco.

— Opór nie ma sensu! — ryknął strażnik.

— Może przestałbyś mówić takie rzeczy — rzekł z trudem Ford. — Jak można w ogóle

zachować pozytywny stosunek do rzeczywistości, jeżeli bez przerwy słyszy się coś takiego?

— O Boże — powiedział płaczliwie Artur. — Mówisz o pozytywnym stosunku do rzeczywistości, a twoja planeta nawet nie została dzisiaj zniszczona. Obudziłem się dziś rano i myślałem, że spędzę miły, relaksujący dzień, trochę poczytam, wykąpię psa...

Minęła dopiero czwarta po południu, a mnie wyrzucają ze statku kosmicznego obcej rasy sześć lat świetlnych od dymiących szczątków Ziemi! — zaczął bełkotać i charczeć, gdy Vagon wzmocnił swój uchwyt.

— No dobra — rzekł Ford. — Tylko nie panikuj!

— Kto tu mówi o panikowaniu? — warknął Artur. To ciągle jeszcze tylko szok kulturowy. Poczekaj, aż przyzwyczaję się do tego wszystkiego i zorientuję w sytuacji! Wtedy zacznę panikować!

— Artur, wpadasz w histerię. Zamknij się! — Ford rozpaczliwie próbował się skupić, ale znów przerwał mu ryk strażnika.

— Opór nie ma sensu!

— Ty też możesz się zamknąć! — warknął.

— Opór nie ma sensu!

— Och, uspokój się na chwilę! — zażądał Ford. Wykręcił głowę, żeby spojrzeć prosto w twarz swojego prześladowcy. Wpadła mu do głowy pewna myśl.

— Naprawdę podoba ci się to wszystko? — zapytał zniecierpliwiony.

Vagon stanął jak wryty i wyraz bezgranicznej tępoty powoli wypłynął na jego twarz.

— Czy mi się podoba? — zagrmiał. — Co to znaczy?

— To znaczy — powiedział Ford — czy daje ci to całkowitą satysfakcję życiową?

Tupanie po statku, wrzeszczenie, wyrzucanie ludzi w próżnię...

Vagon gapił się na niski stalowy sufit, a jego bawi prawie zaszły jedna na drugą. Usta otworzyły się. W końcu powiedział: — No, godziny są dobre...

— Na pewno — zgodził się Ford.

Artur odwrócił głowę, żeby spojrzeć na niego.

— Ford, co ty robisz? — zapytał zdumionym szeptem.

— Po prostu próbuję zainteresować się światem dookoła mnie, rozumiesz? — odpowiedział Ford. A więc godziny są całkiem niezłe? — podjął znowu.

Vagon gapił się w dół na niego, podczas gdy powolne procesy myślowe z trudem zachodziły w mrocznych głębinach jego mózgu.

— Tak — odezwał się. — Ale jeśli już o tym mowa, to większość minut jest dosyć parszywa. Oprócz... — znów pomyślał chwilę, co wymagało patrzenia na sufit — oprócz krzyczenia, które dosyć lubię. — Nabrał powietrza w płuca i zaryczał: — Opór nie ma...

— Dobra, dobra — przerwał mu pośpiesznie Ford. Jesteś w tym naprawdę niezły, wiem o tym. Ale jeżeli to jest przeważnie parszywe — mówił wolno, aby jego słowa osiągnęły zamierzony efekt — to po co to robisz? Co cię trzyma? Dziewczyny? Skóra?

Bycie twardym facetem? Czy też uważasz po prostu, że znoszenie bezmyślnej nudy tego wszystkiego jest interesujące?

Artur przenosił wzrok z jednego na drugiego w kompletnym osłupieniu.

— No... — powiedział strażnik — eee... no... nie wiem. Myślę, że po prostu... no, jakoś... robię to naprawdę. Moja ciotka powiedziała, że strażnik na statku kosmicznym to niezły zawód dla młodego Vogona. — No wiesz, mundur, nisko zawieszony miotacz płomieni, bezmyślna nuda...

— Otóż to, Artur — powiedział Ford z miną człowieka osiagającego konkluzję swojego dowodu. — I tobie się wydaje, że ty masz problemy...

Owszem, Arturowi wydawało się, że ma problemy. Pomijając nieprzyjemne zdarzenie, które spotkało jego rodzinną planetę, był już na pół uduszony przez, vogońskiego strażnika i nie podobał mu się specjalnie pomysł zostania wyrzuconym w próżnię.

— Spróbuj zrozumieć jego problemy — nalegał Ford. — Oto biedny chłopak, praca całego jego życia polega na tupaniu po statku, wyrzucaniu ludzi w próżnię...

— I krzyczeniu — dodał strażnik.

— I krzyczeniu, zgadza się — rzekł Ford, z przyjacielską protekcjonalnością poklepując gumowate ramię ściskające go za szyję. — A on nawet nie wie, po co to robi!

Artur zgodził się, że jest to bardzo smutne. Uczynił to słabym i nieznacznym gestem, nie był już bowiem w stanie mówić.

Strażnik wydał z siebie głęboki gulgot otumanienia.

— No, tak to przedstawiłeś, że wydaje mi się...

— Dobry chłopak! — zachęcił go Ford.

— No dobra — ciągnął dudniąc strażnik — ale jakie jest inne wyjście?

— Cóż — powiedział Ford z ożywieniem, ale powoli. — Oczywiście przestań to robić! Powiedz im — ciągnął — że nie zamierzasz więcej tego robić. — Czuł, że powinien dodać coś jeszcze, ale przez chwilę strażnik zdawał się całkowicie zajęty rozważaniem tego, co już usłyszał.

— Neeee... — stwierdził strażnik. — No... Moim zdaniem to wcale nie jest taki dobry pomysł.

Ford poczuł nagle, że właściwy moment minął.

— Poczekaj chwilę — rzekł. — Widzisz, to tylko początek, jest jeszcze wiele innych...

Ale w tym momencie strażnik ścisnął go mocniej i powrócił do wleczenia więźniów do komory powietrznej. Był najwyraźniej poruszony.

— Nie, wydaje mi się, że jeśli nie sprawi to wam różnicy — powiedział — to lepiej wpakuję was do tej komory powietrznej, a potem pójdę i zajmę się krzyczeniem, które mi jeszcze zostało.

Fordowi Prefectowi sprawiało to zasadniczą różnicę.

— To nie wszystko... Posłuchaj! — zawołał.

— Hahhhggguuu — odezwał się Artur bez żadnej wyraźnej modulacji.

— Ale poczekaj chwilę! — nie poddawał się Ford. Jest jeszcze muzyka i sztuka, i inne rzeczy, o których chcę ci powiedzieć! Arrrggghhh!

— Opór nie ma sensu! — zaryczał strażnik i wyjaśnił: — Widzisz, jeżeli będę to robił, to mogę w końcu awansować na starszego oficera krzyczącego, a że zazwyczaj nie ma zbyt wielu wolnych miejsc na stanowiskach nie krzyczących i nie popychających ludzi oficerów, to myślę, że lepiej pozostanę przy tym, co umiem.

Doszli do komory powietrznej — dużego okrągłego stalowego luku o imponującej grubości, wpuszczonego w wewnętrzną powłokę statku. Strażnik otworzył go bez trudu.

— Ale dzięki za zainteresowanie — powiedział. — To na razie!

Wepchnął Forda i Artura przez luk do małej komory. Artur upadł, z trudem łapiąc oddech. Ford rzucił się do tyłu i bezskutecznie uderzał ramionami w zamykający się luk.

— Ale posłuchaj! — krzyknął do strażnika. — Jest jeszcze cały świat, o którym nic nie wiesz... Co powiesz na to? — Rozpaczliwie chwycił się jedynej skrawka kultury, jaki miał na podorędziu. — Zanucił pierwszy takt „Piątej symfonii” Beethovena: — Da da da dam! Czy to niczego w tobie nie porusza?

— Nie — odpowiedział strażnik. — Naprawdę nie. Ale wspomnę o tym mojej ciotce.

Jeśli powiedział coś jeszcze, oni już tego nie usłyszeli. Luk zamknął się szczelnie, odcinając dopływ wszelkich dźwięków poza dalekim, słabym pomrukiem silników statku.

Znajdowali się w wypolerowanej do blasku cylindrycznej komorze, długiej na dziesięć stóp i o średnicy około sześciu stóp.

Ford rozejrzał się wokół, oddychając ciężko.

— Wyglądał na potencjalnie pojętnego młodzieńca — stwierdził i osunął się po łukowatej ścianie.

Artur ciągle leżał na podłodze w tym samym miejscu, na które upadł. Nie spojrzał nawet w górę. Po prostu leżał, z trudem łapiąc oddech.

— Jesteśmy w pułapce, prawda?

— Tak — powiedział Ford. — Jesteśmy w pułapce.

— No i co, masz jakiś pomysł? Wydawało mi się, że mówiłeś, że masz zamiar coś wymyślić. Może wymyśliłeś coś, a ja nie zauważyłem.

— Owszem, wymyśliłem — rzekł Ford.

Artur spojrzał na niego wyczekująco.

— Ale niestety — ciągnął Ford — to raczej zakładało, że będziemy po drugiej stronie tych nie przepuszczających powietrza drzwi. — Kopnął luk, przez który właśnie zostali wrzuceni.

— Ale to był dobry pomysł?

— O tak, bardzo sprytny.

— To znaczy konkretnie jaki?

— No cóż... nie opracowałem jeszcze szczegółów. Teraz chyba nie ma to już zbyt wielkiego znaczenia, prawda?

— Więc co... no, co się teraz stanie? — spytał Artur.

— Cóż, przypuszczam, że za parę chwil otworzy się automatycznie ten luk przed nami, a my wylecimy jak z procy w otwartą próżnię i umrzemy z braku tlenu. Jeżeli przedtem weźmiesz głęboki oddech, to oczywiście możesz wytrzymać do trzydziestu sekund... — powiedział Ford.

Załóżyl ręce na głowę, podniósł brwi i zaciął nucić stary hymn bojowy z Betelgeuzy.

W oczach Artura stał się nagle bardzo obcy.

— A więc tak to wygląda — stwierdził Artur. — Za chwilę umrzemy.

— Tak — zgodził się Ford. — Oprócz... nie! Poczekaj chwilę! — Znienacka rzucił się przez komorę w kierunku czegoś poza polem widzenia Artura. — Co to za przełącznik? — krzyknął.

— Co? Gdzie? — zawołał Artur, odwracając się. — Nic, żartowałem tylko — powiedział Ford. — Jednak umrzemy.

Znowu osunął się po ścianie i podjął nucenie melodii w miejscu, w którym przerwał.

— Wiesz — stwierdził Artur. — W chwilach takich jak ta, kiedy jestem uwięziony w vogońskiej komorze powietrznej z człowiekiem z Betelgeuzy, a za moment mam umrzeć z braku tlenu w otwartej próżni, naprawdę żałuję, że nie słuchałem, co mówiła mi matka, kiedy byłem mały.

— A czemu, co takiego mówiła?

— Nie wiem, nie słuchałem.

— Aha. — Ford znowu zaczął nucić.

To jest naprawdę fantastyczne, pomyślał Artur. Kolumna Nelsona zniknęła, McDonald zniknął, wszystko, co zostało, to ja i słowa „przeważnie nieszkodliwa”. A za parę sekund wszystko, co zostanie, to „przeważnie nieszkodliwa”. A jeszcze wczoraj wszystko zapowiadało się tak dobrze...

Silnik zawarczał. Cichy syk zamienił się w ogłuszający ryk uciekającego powietrza, gdy zewnętrzny luk otworzył się na czarną pustkę usianą maleńkimi nieprawdopodobnie jasnymi

punkcikami. Ford i Artur wystrzelili w otwartą próżnię jak kapiszony z pistoletu zabawki.

ROZDZIAŁ 8

Przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” jest książką ze wszech miar godną uwagi. Wielokrotnie redagowano go i przeredagowywano w ciągu wielu lat pod okiem wielu wydawców. Zawiera wkład niezliczonych podróżników i badaczy.

Wstęp zaczyna się tak: „Kosmos jest wielki, naprawdę wielki. Nie uwierzylibyście, jak wściekle, nieprawdopodobnie, obłądnie wielki. To znaczy może się wam wydawać, że od waszego domu do drogerii jest daleko, ale to absolutnie nic w porównaniu z kosmosem. Zobaczcie...” i tak dalej.

Po pewnym czasie styl trochę poważnieje i zaczynają się informacje naprawdę użyteczne, jak na przykład ta, że bajecznie piękna planeta Bethselamin jest tak zaniepokojona erozją powodowaną przez dziesięć bilionów turystów rocznie, że jakakolwiek rozbieżność netto pomiędzy ilością konsumowaną a wydalaną przez turystów podczas pobytu na planecie jest chirurgicznie usuwana z masy ich ciała w momencie wyjazdu, a więc jest niezwykle istotne, aby zabierać pokwitowania po każdej wizycie w ubikacji.

Trzeba jednak przyznać, że w obliczu czystej niewyobrażalności odległości pomiędzy gwiazdami ugięły się znacznie potężniejsze umysły niż ten, który był odpowiedzialny za wstęp do przewodnika. Niektóre z nich proponują, aby wyobrazić sobie fistaszek w Reading i mały orzech włoski w Johannesburgu czy też inne przyprawiające o zawrót głowy pomysły tego typu.

A prawda jest taka, że odległości międzygwiazdne po prostu nie przystają do ludzkiej wyobraźni. Nawet światło, które porusza się tak szybko, że odkrycie, iż w ogóle się porusza, zajmuje większości z nas tysiące lat, nawet ono potrzebuje czasu na pokonanie przestrzeni pomiędzy gwiazdami. Przebycie odległości pomiędzy gwiazdą Sol a miejscem, gdzie była Ziemia, zajmuje światłu osiem minut, zaś dotarcie do najbliższej gwiazdy, Alfy Proxima — cztery lata.

Aby dotrzeć na przeciwny kraniec Galaktyki, na przykład na Damogran, światło potrzebuje trochę więcej czasu: pięćset tysięcy lat.

Rekord na pokonanie tej odległości autostopem wynosi niecałe pięć lat, ale nie można wtedy zobaczyć zbyt wiele po drodze.

Przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” twierdzi, że jeżeli nabierze się pełne płuca powietrza, można przeżyć w całkowitej próżni do trzydziestu sekund. Jednakże dodaje też, że kosmos jest nieprawdopodobnie wielki i z tego względu szanse na zostanie zabrany przez inny statek w ciągu tych trzydziestu sekund wynosi dwa do potęgi dwieście sześćdziesiąt siedem tysięcy siedemset dziewięć do jednego.

Absolutnie zadziwiającym zbiegiem okoliczności jest to również numer telefonu pewnego mieszkania w Islington.

Artur był tam kiedyś na bardzo udanym przyjęciu i spotkał pewną miłą dziewczynę, którą chciał poderwać, ale kompletnie mu nie wyszło — dziewczyna opuściła przyjęcie z jakimś obcym facetem, który pojawił się bez zaproszenia.

I chociaż planeta Ziemia, mieszkanie w Islington i telefon już nie istniały, pocieszająca jest myśl, że zostały w pewien sposób upamiętnione faktem, iż dwadzieścia dziewięć sekund później Ford i Artur zostali uratowani.

ROZDZIAŁ 9

Komputer zaterkotał sam do siebie alarmująco, zauważywszy, że luk powietrzny otworzył się sam i zamknął bez żadnej widocznej przyczyny.

Zdarzyło się tak, ponieważ Przyczyna oszalała.

W Galaktyce pojawiła się właśnie dziura. Trwała dokładnie jedną zerową sekundy, miała jedną zerową cala szerokości i całkiem sporo milionów lat świetlnych od jednego końca do drugiego.

Kiedy się zamykała, wypadło przez nią mnóstwo papierowych czapek i kolorowych baloników i odpłynęło w kosmos. Wypadł też zespół siedmiu specjalistów od marketingu o wzroście trzech stóp, którzy ponieśli śmierć na miejscu częściowo z braku tlenu, a częściowo ze zdumienia. Wypadło także dwieście trzydzieści dziewięć tysięcy jajek na miękko, materializując się w formie wielkiego galaretowatego stosu w dotkniętym zarazą kraju Poghrilów w systemie Pansela.

Z całego plemienia Poghrilów zarazę przeżył tylko jeden mężczyzna, który kilka tygodni później zmarł na zatrucie cholesterolem.

Jedna zerowa sekundy, podczas której istniała dziura, miotała się tam i z powrotem w czasie w najbardziej nieprawdopodobnym stylu. Gdzieś w zamierzchłej przeszłości wywołała poważny uraz u niedużej grupy przypadkowo zebranych atomów dryfujących poprzez pustą jałowość kosmosu, co spowodowało, że połączyły się w najbardziej niezwykle i nieoczekiwane wzory. Wzory te szybko nauczyły się reprodukować (częściowo właśnie na tym polega ich niezwykłość) i przystąpiły do przysparzania poważnych kłopotów wszystkim planetom, na które zawędrowały. Tak właśnie powstało we wszechświecie życie.

Pięć nieobliczalnych wirów zdarzeń zakręciło się jak wściekłe cyklony i zwymiotowało chodnik.

Na chodniku leżeli Ford Prefect i Artur Dent, łapiąc powietrze jak na pół uduszone ryby.

— A widzisz? — zasapał Ford, wczepiając się palcami w szpony chodnika pędzącego przez Trzeci Krąg Nieznanego. — Powiedziałem ci, że coś wymyślę.

— O, tak — rzekł Artur. — Na pewno.

— Mój genialny pomysł — stwierdził Ford — żeby znaleźć mijający statek i dać mu się uratować!

Prawdziwy wszechświat wygiął się pod nimi w wywołujący mdłości łuk. Kilka fałszywych przemknęło tuż obok jak kozice. Pierwotne światło eksplodowało, obryzgując czasoprzestrzeń czymś w rodzaju grudek budyniu. Czas zakwitł, materia skurczyła się.

Najwyższa liczba pierwsza połączyła się cicho w kącie i ukryła na zawsze.

— Daj spokój — powiedział Artur. — Szanse, że się nie uda, były astronomiczne.

— Co z tego, skoro się udało — odparł Ford.

— Co to za statek? — spytał Artur, podczas gdy otchłań wieczności ziewnęła pod nimi.

— Nie wiem — odpowiedział Ford — jeszcze nie otworzyłem oczu.

— Ja też nie.

Wszechświat podskoczył, zamarł i wykrzywił się w kilku nieoczekiwanych kierunkach. Artur i Ford otworzyli oczy i rozejrzeli się ze sporym zaskoczeniem.

— Rany boskie — powiedział Artur. — To wygląda... to zupełnie jak brzeg morza w Southend.

— Cholera, cieszę się, że mówisz — odezwał się Ford.

— Dlaczego?

— Bo myślałem, że chyba zwariowałem.

— Może zwariowałeś. Może tylko ci się wydaje, że to powiedziałem.
Ford przemyślał to.
— Więc jak, powiedziałeś czy nie? — zapytał.
— Chyba tak — odrzekł Artur.
— To może obaj zwariowaliśmy.
— Tak — zgodził się Artur. — Wziąwszy wszystko pod uwagę, musielibyśmy zwariować, żeby myśleć, że to jest Southend.
— Ale myślisz, że to jest Southend?
— No, tak.
— Ja też.
— A więc zwariowaliśmy.
— Pogoda w sam raz.
— Tak — potwierdził mijający ich wariat.
— Kto to był? — zapytał Artur.
— Kto, ten facet z pięcioma głowami i krzakiem czarnego bzu pełnym śledzi?
— Tak.
— Nie wiem. Ktoś tam.
— Aha!

Usiedli obaj na chodniku i wpatrywali się z pewnym niepokojem w olbrzymie dzieci skaczące ciężko po piasku i dzikie konie mknące z hukiem po niebie ze świeżymi dostawami wzmocnionego ogrodzenia dla Niepewnych Rejonów.

— Wiesz co — zakaszła Artur — jeżeli to Southend, to jest w tym coś bardzo dziwnego.
— Masz na myśli to, że morze jest nieruchome jak gład, a budynki falują? — spytał Ford.
— Tak, mnie też wydaje się to dziwne. W gruncie rzeczy — ciągnął, podczas gdy Southend rozpadło się z głośnym hukiem na sześć różnych części, które tańczyły i wirowały wokół siebie nawzajem w zmysłowych i rozpustnych konfiguracjach — dzieje się tutaj coś naprawdę bardzo dziwnego.

Dzikie, skowyczące dźwięki piszczałek i smyczków przeszyły powietrze, gorące pączki po dziesięć pensów zaczęły wylazić spod ziemi na skraj drogi, odrażające ryby spadały z nieba, a Ford i Artur postanowili ratować się ucieczką.

Rzucili się przez twarde ściany dźwięku, góry archaicznej myśli; doliny muzyki nastrojów — aż nagle usłyszeli głos dziewczyny. Brzmiał całkiem sensownie, ale powiedział tylko: — Dwa do potęgi stutysięcznej do jednego i spada.

I to było wszystko.

Ford poślizgnął się na promieniu światła i obrócił dookoła, próbując znaleźć źródło głosu, ale nie zobaczył niczego, w co mógłby naprawdę uwierzyć.

— Co to za głos? — krzyknął Artur.

— Nie wiem! — wrzasnął Ford. — Nie wiem! Brzmiało to jak rachunek prawdopodobieństwa.

— Prawdopodobieństwa? Co masz na myśli?

— Prawdopodobieństwo. No wiesz, jak dwa do jednego, trzy do jednego, pięć do czterech... A to było dwa do potęgi stutysięcznej do jednego; dosyć mało prawdopodobne, nie sądzisz?

Kadź z kremem o pojemności miliona galonów otworzyła się nad nimi bez ostrzeżenia.

— Ale co to znaczy? — krzyknął Artur.

— Co, krem?

— Nie, rachunek nieprawdopodobieństwa!

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że jesteśmy na jakimś statku kosmicznym.

— Mogę tylko przypuszczać — mruknął Artur że nie jest to kabina pierwszej klasy.

W strukturze czasoprzestrzeni pojawiły się wyrzuty. Wielkie, nieprzyjemne wyrzuty.

— Haaan gghhh — powiedział Artur, czując, że jego ciało staje się coraz bardziej miękkie i wygina się w dziwacznych kierunkach. — Southend rozrywa się... gwiazdy wirują... pustynia... moje nogi odpływają w zachodzące słońce... moje lewe ramię też odleciało... Nagle uderzyła go przerażająca myśl. — Cholera powiedział — jak ja będę teraz przestawiał mój zegarek elektroniczny? — Rozpaczliwie powiódł wzrokiem w kierunku Forda. — Ford — oznajmił — zmieniasz się w pingwina. Przestań!

Znowu rozległ się głos: — Dwa do potęgi siedemdziesiąt pięć tysięcy do jednego i spada. Ford machając skrzydłami, zataczał wściekle kółka wokół swojego stawu.

— Hej, kim ty jesteś? — zakwakał. — Gdzie jesteś? Co tu się dzieje i czy można jakoś z tym skończyć?

— Proszę się odprężyć — powiedział głos ciepło, jak stewardesa w samolocie z jednym skrzydłem i dwoma silnikami, w którym jeden się pali. — Jesteście całkowicie bezpieczni.

— Ale nie o to chodzi! — wrzasnął z wściekłością Ford. — Chodzi o to, że jestem teraz całkowicie bezpiecznym pingwinem, a mojemu przyjacielowi w szybkim tempie odpadają ręce i nogi!

— Już w porządku, wróciły do mnie — stwierdził Artur.

— Dwa do potęgi pięćdziesiąt tysięcy do jednego i spada — oznajmił głos.

— Bez wątpienia — ciągnął Artur — są dłuższe, niż mi to zazwyczaj odpowiada, ale...

— Czy masz wrażenie — zakrzeczał Ford w przypływie nagłej furii — że jest coś, co powinnaś nam powiedzieć?

Głos odchrząknął. W pewnej odległości przemaszerowały ciężko gigantyczne biszkopty.

— Witajcie na pokładzie statku kosmicznego „Złote Serce” — powiedział głos.

— Proszę się nie niepokoić niczym, co widzicie czy słyszycie wokół siebie. To naturalne, że odczuwacie początkowo pewne niezdrowe objawy, jako że zostaliście uratowani od pewnej śmierci na poziomie nieprawdopodobieństwa dwa do potęgi dwieście siedemdziesiąt sześć tysięcy do jednego lub znacznie wyższym. Obecnie poruszamy się na poziomie dwa do potęgi dwadzieścia pięć tysięcy do jednego, który wciąż maleje, i powrócimy do normalności, jak tylko upewnimy się, co właściwie jest normalne. Dziękuję za uwagę. Dwa do potęgi dwadzieścia tysięcy i maleje.

Głos zamilkł.

Ford i Artur znajdowali się w niewielkiej, świecącej na różowo kabinie. Ford był szalenie podekscytowany.

— Artur! — zawołał. — To fantastyczne! Zabrał nas statek zasilany napędem nieskończonego nieprawdopodobieństwa! Nie do wiary! Słyszałem o tym pogłoski!

Oficjalnie wszyscy zaprzeczali, ale musiało im się udać! Stworzyli napęd nieprawdopodobieństwa! Artur, to jest... Artur? Co się dzieje?

Artur opierał się całym ciałem o drzwi kabiny, próbując je zamknąć, ale były źle dopasowane. Małe, porośnięte futrem ręce wciskały się przez wszystkie szpary, a ich paznokcie były poplamione atramentem. Cienkie głosy trajkotały jak oszalałe.

Artur podniósł wzrok.

— Ford! — krzyknął. — Za drzwiami jest nieskończona liczba małp; chcę porozmawiać o nowej wersji „Hamleta”, którą właśnie stworzyły!

ROZDZIAŁ 10

Napęd nieskończonego nieprawdopodobieństwa jest fantastyczną nową metodą pokonywania olbrzymich odległości międzygwiazdnych w przeciągu jednej zerowej sekund bez tego całego nudnego pałętania się w hiperprzestrzeni.

Odkryto go dzięki szczęśliwemu trafowi, a następnie zespół badawczy rządu galaktycznego na Damogranie opracował opartą na nim niezawodną formę napędu.

Taka jest w skrócie historia tego odkrycia.

Zasada generowania małych ilości skończonego nieprawdopodobieństwa za pomocą prostego przyczepiania obwodów logicznych bambulewniczego pięćdziesiątego siódmego submezonowego mózgu do atomowego plottera wektorowego, zawieszonego w silnym źródle ruchów Browna (powiedzmy w filiżance dobrej, gorącej herbaty) była oczywiście dobrze znana. Generatorów tego rodzaju używano często do przełamania pierwszych lodów na przyjęciach — sprawiano za ich pomocą, że wszystkie cząsteczki bielizny gospodyni przeskakiwały jednocześnie o pół metra w lewo, zgodnie z teorią nieokreśloności.

Wielu cieszących się szacunkiem fizyków twierdziło, że nie mają zamiaru tego popierać — częściowo dlatego, że była to degradacja fizyki; głównym powodem był jednak fakt, że nigdy ich nie zapraszano na te przyjęcia.

Następną rzeczą, której nie mogli znieść, było niezmiennie fiasko, którym kończyły się ich próby skonstruowania maszyny zdolnej do generowania pola nieskończonego nieprawdopodobieństwa o mocy zdolnej, aby dać statkom kopa, który posłałby je przez paralizujące umysł odległości między najdalszymi gwiazdami, toteż na koniec ogłosili zrzędliwie, że maszyna taka jest czystym nieprawdopodobieństwem.

Wówczas pewnego dnia jakiś student, któremu kazano zostać i pozamiatać laboratorium po szczególnie nieudanym przyjęciu, złapał się na następujących rozważaniach: Jeżeli, pomyślał sobie, maszyna taka jest czystym nieprawdopodobieństwem, logicznie wynika z tego, że jest to skończone nieprawdopodobieństwo. A więc żeby ją skonstruować, wystarczy tylko dokładnie obliczyć, jak jest nieprawdopodobna, wrzucić tę liczbę do generatora skończonego nieprawdopodobieństwa, włączyć w niego filiżankę świeżo zaparzonej gorącej herbaty... i włączyć go!

Zrobił to i był dosyć zdumiony odkryciem, że udało mu się stworzyć z powietrza długo poszukiwany złoty generator nieskończonego nieprawdopodobieństwa.

Był jeszcze bardziej zdumiony, gdy zaraz po otrzymaniu Nagrody Instytutu Galaktycznego za Ekstremalną Pomysłowość został zlinczowany przez ogarnięty szaleńcem tłum cieszących się szacunkiem fizyków, którzy zdali sobie w końcu sprawę, że jedyną rzeczą, której naprawdę nie mogli znieść, jest pewny siebie mądrała...

ROZDZIAŁ 11

Nieprawdopodobieństwo — szczelna kabina kontrolna „Złotego Serca” do złudzenia przypominałaby konwencjonalny statek kosmiczny, gdyby nie to, że była idealnie czysta. Była tak nowa, że z niektórych siedzeń nie zdjęto jeszcze nawet plastikowych pokrowców. Prostokątna i urządzona głównie na białą, miała rozmiary niewielkiej restauracji. W rzeczywistości nie była idealnie prostokątna: dwie długie ściany uformowano w nieznacne,

równoległe wygięcie, a wszystkim kątom i rogom kabiny nadano ekscytująco kształtne zarysy. Prawdę powiedziawszy, byłoby o wiele prościej i praktyczniej zbudować kabinę jako zwyczajne trójwymiarowe pomieszczenie prostokątne, ale wówczas projektanci popadliby w depresję. W swoim obecnym kształcie kabina wyglądała na ekscytująco funkcjonalną: ścianę wklęsłą spowijały duże ekrany wideo ponad tablicami rozdzielczymi systemów sterujących i kontrolnych, w wypukłą zaś wbudowane były długie rzędy komputerów. W jednym z kątów siedział w dziwacznej pozie robot, a jego wypolerowana i błyszcząca stalowa głowa zwisała luźno pomiędzy wypolerowanymi i błyszczącymi kolanami. On również był całkiem nowy, ale chociaż pięknie zbudowany i lśniący, sprawiał niejasne wrażenie, że różne części jego mniej więcej humanoidalnego ciała nie całkiem do siebie pasują. W rzeczywistości pasowały idealnie, lecz było coś w jego wyglądzie, co sugerowało, że jednak mogłyby pasować lepiej.

Zaphod Beeblebrox przechadzał się nerwowo tam i z powrotem po kabinie, przesuwając dłońmi po błyszczących instrumentach i chichocząc z podniecenia.

Trillian siedziała przygarbiona nad zespołem instrumentów i odczytywała głośno liczby. Jej głos przenoszony był w systemie Tannoya całego statku.

— Pięć do jednego i maleje... — powiedziała. Cztery do jednego i maleje... trzy do jednego... dwa... jeden... Współczynnik prawdopodobieństwa jeden do jednego...

Osiągnęliśmy normalność. Powtarzam: osiągnęliśmy normalność. — Wyłączyła mikrofon, po czym włączyła go znowu z lekkim uśmiechem i dodała: — A więc wszystko z czym jeszcze nie możecie sobie poradzić, to wasze własne problemy. Odprężcie się.

Wkrótce po was pošlemy.

— Kim oni są, Trillian? — wybuchnął z irytacją Zaphod.

Trillian okręciła się w fotelu i wzruszyła ramionami.

— Po prostu para facetów, którą najwyraźniej zabraliśmy w otwartej próżni — odpowiedziała. — Sektor ZZ dziewięć Plural Z Alfa.

— No, tak, Trillian, to był naprawdę czarujący pomysł — jęknął Zaphod. — Ale czy naprawdę wydaje ci się, że było to mądre posunięcie w tych okolicznościach? Pomyśl, ukradliśmy statek, uciekamy, do tego czasu mamy już pewnie na karku policję połowy Galaktyki i zatrzymujemy się, żeby zabrać autostopowiczów. W porządku, dziesięć punktów na dziewięć za styl, odjąć kilka milionów za rozsądek, tak?

Ze złością bębnił palcami po tablicy rozdzielczej. Trillian delikatnie odsunęła jego rękę, zanim wcisnął jakiś ważny guzik. Jakiegokolwiek by były zalety umysłu Zaphoda — ryzykanctwo w wielkim stylu, odwaga, próżność — zupełnie nie panował on nad swoimi ruchami i z łatwością mógł lekkomyślnym gestem wysadzić statek w powietrze.

Trillian zaczęła podejrzewać, że miał tak szalone i pełne sukcesów życie głównie dlatego, iż nigdy naprawdę nie rozumiał wagi tego, co robił.

— Zaphod — rzekła cierpliwie — ci faceci znajdowali się w otwartej próżni, bez kombinezonów ochronnych... Chyba nie chciałbyś, żeby zginęli, prawda?

— No wiesz... nie. Nie w tym sensie, ale...

— Nie w tym sensie? Nie w tym sensie zginęli? A w jakim? — Trillian przechyliła głowę na bok.

— No tak, ale może ktoś inny by ich później zabrał.

— Sekundę później byliby już martwi.

— Gdybyś więc zadała sobie trud pomyślenia o tym odrobinę dłużej, problem rozwiązałby się sam.

— Byłbyś szczęśliwy, gdybyś pozwolił im umrzeć?

— No, wiesz, nie w tym sensie szczęśliwy, ale...

— Tak czy inaczej — przerwała Trillian, odwracając się od urządzeń kontrolnych — to nie ja ich zabrałam.

— Co takiego?! To kto ich zabrał?!

— Statek.

— Co?

— Statek. Sam z siebie.

— Co?

— Kiedy byliśmy w stanie nieskończonego nieprawdopodobieństwa.

— Ale to niemożliwe!

— Nie, Zaphod. Po prostu niesamowicie mało prawdopodobne.

— No tak.

— Posłuchaj, Zaphod. — Trillian położyła mu rękę na ramieniu. — Nie przejmuj się tymi obcymi. Przypuszczam, że to po prostu para zwykłych facetów. Wyślę robota, żeby ich tu przyprowadził. Hej, Marvin!

Głowa robota w kącie poderwała się gwałtownie, ale zaraz niedostrzegalnie się zachwiała. Robot podniósł się na nogi, jak gdyby był dużo cięższy niż w rzeczywistości i podjął coś, co dla postronnego obserwatora wyglądałoby na heroiczny wysiłek, aby przejść przez kabinę. Zatrzymał się przed Trillian i spojrzał przez jej lewe ramię.

— Myślę, że powinniście wiedzieć, że przeżywam głęboką depresję — powiedział niskim i beznadziejnym głosem.

— O Boże — wymamrotał Zaphod i opadł na fotel.

— Więc — rzekła Trillian ożywionym i pełnym współczucia tonem. — Mamy coś dla ciebie, żeby trochę zająć twój umysł i wprowadzić cię w lepszy nastrój.

— To na nic — odpowiedział ponuro Marvin. Mam wyjątkowo duży umysł.

— Marvin! — ostrzegła go Trillian.

— W porządku — mruknął. — Co mam zrobić?

— Pójdiesz do wnęki wejściowej numer dwa i przyprowadzisz tutaj pod ścisłym nadzorem dwóch obcych.

Mikrosekundową pauzą oraz precyzyjnie obliczoną mikromodulacją wysokości i brzmienia głosu — niczym, co byłoby naprawdę obraźliwe — Marvin zdołał wyrazić swoją bezgraniczną pogardę i wstręt do wszystkiego, co ludzkie.

— Tylko tyle? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała stanowczo Trillian.

— To mnie nie rozerwie — stwierdził Marvin.

Zaphod skoczył na równe nogi.

— Wcale nie musi! — krzyknął. — Po prostu zrób to, dobrze?

— W porządku — powiedział Marvin głosem przypominającym bicie wielkiego pękniętego dzwonu. Zrobię to.

— Świetnie... — warknął Zaphod. — Świetnie... Wielkie dzięki.

Marvin odwrócił się i podniósł na niego swoje spłaszczone trójkątne oczy.

— Nie psuję wam humoru, prawda? — zapytał patetycznie.

— Nie, nie, skądże — zawołała Trillian. — Wszystko w porządku, naprawdę...

— Nie chciałbym myśleć, że psuję wam humor.

— Och, nie przejmuj się — powiedziała. — Jesteś po prostu sobą, zachowujesz się naturalnie i wszystko będzie dobrze...

— Naprawdę ci to nie przeszkadza? — dopytywał się dalej Marvin.

— Nie, nie, skądże... — brnęła Trillian. — Wszystko jest naprawdę w porządku... Po

prostu życie.

Marvin rzucił jej elektroniczne spojrzenie.

— Życie — stwierdził gorzko. — Nie mówcie mi nic o życiu.

Odwrócił się na pięcie i powlókł się w stronę wyjścia. Drzwi zamknęły się za nim z pełnym satysfakcji pomrukiem i cmoknięciem.

— Chyba nie wytrzymam długo z tym robotem, Zaphod — westchnęła Trillian.

„Encyklopedia Galactica” definiuje robota jako mechaniczny agregat zaprojektowany, aby wykonywać pracę człowieka. Dział marketingowy Korporacji Cybernetycznej Syriusza reklamuje robota jako „Twojego plastikowego kumpla, z którym nie będziesz się nudził”.

Przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” definiuje dział marketingowy Korporacji Cybernetycznej Syriusza jako „bandę bezmyślnych kretynów, którzy pierwsi znajdują się pod ścianą, gdy nadejdzie rewolucja”. Pod spodem znajduje się dopisek oznajmiający, że wydawca oczekuje ofert od zainteresowanych przejęciem stanowiska korespondenta do spraw robotyki.

Interesujący jest fakt, że wydawnictwo „Encyklopedii Galactica”, które miało szczęście wypaść przez dziurę czasową z przyszłości odległej o tysiąc lat, definiuje dział marketingowy Korporacji Cybernetycznej Syriusza jako „bandę bezmyślnych kretynów, którzy pierwsi znaleźli się pod ścianą, gdy nadeszła rewolucja”.

Różowa kabina błysnęła i zniknęła, małpy przeniosły się do lepszego wymiaru.

Ford i Artur znaleźli się w okolicy ładowni statku kosmicznego. Wyglądał całkiem elegancko.

— To chyba zupełnie nowy statek — powiedział Ford.

— Skąd wiesz? — zapytał Artur. — Masz jakieś tajemnicze urządzenie do mierzenia wieku metalu?

— Nie, po prostu znalazłem na podłodze ulotkę reklamową. Testy z cyklu „Kosmos może być twój” i tak dalej. O! Spójrz, miałem rację. — Chwycił jedną z kartek i pokazał ją Arturowi. — Posłuchaj: „Sensacyjny przełom w fizyce nieprawdopodobieństwa!

Jak tylko statek osiąga stan nieskończonego nieprawdopodobieństwa, przechodzi przez każdy punkt wszechświata. Stań się przedmiotem zazdrości innych głównych rządów!”

Cholera, mocna rzecz.

Podeksytowany Ford przebiegł wzrokiem szczegóły techniczne statku, wydając z siebie w miarę czytania pełne zdumienia sapnięcia — najwyraźniej podczas jego wygnania astrotechnologia galaktyczna zrobiła znaczne postępy.

Artur słuchał przez chwilę, ale że nie mógł zrozumieć zdecydowanej większości tego, co czytał Ford, odbiegł myślami, a jego palce przesuwają się machinalnie wzdłuż krawędzi zupełnie niezrozumiałego komputera. Wyciągnął rękę i nacisnął duży, zapraszająco czerwony guzik na klawiaturze obok. Zapalił się napis: „Bardzo proszę nie naciskać tego guzika po raz drugi”. Artur otrząsnął się.

— Posłuchaj — zawołał Ford, ciągle pochłonięty ulotką reklamową. — Przełom w cybernetyce statku! „Nowa generacja robotów i komputerów Korporacji Cybernetycznej Syriusza, wyposażonych w ALU”!

— ALU? — zdziwił się Artur. — Co to jest?

— ALU to znaczy Autentyczna Ludzka Osobowość.

— O rany — rzekł Artur. — To brzmi koszmarnie.

— To jest koszmarnie — powiedział głos za nimi.

Był niski, beznadziejny i towarzyszyło mu lekkie pobrzękiwanie. Odwrócili się i ujrzeli stojącego przy drzwiach smutnego, zgarbionego człowieka ze stali.

— Co? — zapytali równocześnie.

— Koszmarne — mówił dalej Marvin — wszystko. Absolutnie koszmarne. Nawet nie mówcie o tym. Spójrzcie na te drzwi — powiedział, postępując krok naprzód.

W modulator jego głosu włączyły się obwody ironii, gdy przedrzeźniał styl ulotki reklamowej: „Wszystkie drzwi na tym statku mają miłe i pogodne usposobienie. Otwierać się dla ciebie to dla nich przyjemność, zamykać to satysfakcja płynąca z poczucia dobrze spełnionego obowiązku”.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, rzeczywiście usłyszeli coś w rodzaju pełnego zadowolenia westchnienia.

— Hammm...

Marvin odniósł się do tego z zimnym niesmakiem, podczas gdy jego obwody logiczne zatrzęśły się ze wstrętu i zaczęły rozważać pomysł zastosowania wobec drzwi przemocy fizycznej. Dalsze obwody włączyły się, mówiąc: „Po co zawracać sobie głowę?

Jaki to ma sens? Nie warto się do niczego mieszać”. Jeszcze dalsze obwody zabawiły się analizowaniem składników molekularnych drzwi i komórek mózgowych humanoidów.

Potem zmierzyły poziom emisji wodoru w otaczającym je parseku sześciennym przestrzeni kosmicznej i znów pograżyły się w nudzie. Spazm rozpaczki wstrząsnął ciałem robota.

— Chodźcie — powiedział ponuro. — Mam rozkaz, żeby doprowadzić was do mostka. Oto ja, mózg rozmiaru planety, a oni każą mi doprowadzić was do mostka! I wy to nazywacie satysfakcją? Bo ja nie.

Odwrócił się i znowu podszedł do drzwi.

— Przepraszam bardzo — powiedział Ford, idąc za nim — do którego rządu należy ten statek?

Marvin zignorował go.

— Patrzcie na te drzwi — mruknął. — Zaraz znowu się otworzą. Czuję to po tej nieznosnej aurze samozadowolenia, jaką zaczynają z siebie wydzielać.

Z cichym, przymilnym miauknięciem drzwi rozsunęły się ponownie i Marvin ciężko przekroczył próg.

— Chodźcie — powiedział.

Ford i Artur szybko przeszli za nim, a drzwi zasunęły się z powrotem z pełnym satysfakcji cmoknięciem.

— Dzięki ci, dziale marketingowy Korporacji Cybernetycznej Syriusza — rzekł robot i powlókł się smętnie błyszczącym, zakreconym korytarzem, który rozciągał się przed nimi. — „Zbudujemy roboty z Autentyczną Ludzką Osobowością”, stwierdzili.

Więc zbudowali mnie. Jestem prototypem. Rzuca się w oczy, prawda?

Ford i Artur zaczęli mamrotać pełne zażenowania zaprzeczenia.

— Nie cierpię tych drzwi — ciągnął Marvin. — Nie psuję wam humoru, prawda?

— Do którego rządu... — zaczął znowu Ford.

— Do żadnego rządu — warknął robot. — Ten statek został skradziony.

— Skradziony?!

— Skradziony — przedrzeźnił go Marvin.

— Przez kogo? — zapytał Ford.

— Przez Zaphoda Beeblebroxa.

Coś dziwnego stało się z twarzą Forda. Co najmniej pięć zupełnie odmiennych wyrazów szoku i zdumienia nałożyło się na niej, tworząc kompletny chaos. Jego lewa noga, zawieszona w powietrzu w połowie kroku, miała najwyraźniej wielkie trudności z trafieniem z powrotem na podłogę. Gapił się na robota, próbując zaplatać niektóre mięśnie strzałkowe.

— Zaphod Beeblebrox? — zapytał słabo.

— Przepraszam, czy powiedziałem coś nie tak? — odezwał się Marvin, bez względu na okoliczności nie schodzący z tematu własnej osoby. — Przepraszam, że oddycham, czego i tak nigdy nie robię, więc nie wiem, po co właściwie zadaję sobie trud, żeby to powiedzieć. O Boże, jestem taki załamany. Następne zadowolone z siebie drzwi. Życie!

Nie mówcie mi o życiu.

— Nikt nawet o tym nie wspomniał — mruknął Artur z irytacją. — Ford, dobrze się czujesz?

Ford spojrzał na niego tępo.

— Czy ten robot powiedział „Zaphod Beeblebrox”? — spytał.

ROZDZIAŁ 12

Głośny brzęk muzyki gunk rozlegał się w kabinie „Złotego Serca”, podczas gdy Zaphod Beeblebrox przeszukiwał subethonowe fale radiowe, aby usłyszeć wiadomości na swój temat. Posługiwanie się tym urządzeniem było dosyć trudne. Przez wiele lat odbiorniki radiowe nastawiano, naciskając przyciski i kręcąc gałkami; potem, gdy technika stała się bardziej wyrafinowana, zaczęto produkować radia reagujące na dotyk — wystarczyło przesunąć tylko palcami po skali; teraz wszystko, co należało zrobić, to machnąć ręką w ogólnym kierunku wybranej stacji i mieć nadzieję. Oczywiście, zaoszczędzało to wszelkiego wysiłku mięśni, ale oznaczało, że można było dostać szau od siedzenia bez ruchu, jeżeli chciało się przez cały czas słuchać tej samej stacji.

Zaphod machnął ręką i kanał znowu się zmienił. Rozległa się muzyka gunk, ale tym razem była podkładem do serwisu informacyjnego. Wiadomości przygotowywano zawsze tak, aby pasowały do rytmu muzyki.

— ...a oto wiadomości, przesyłane wam na falach subethonowych i nadawane na całą Galaktykę przez całą dobę — zaskrzeczał głos. — Przesyłamy dużego całusa wszystkim inteligentnym formom życia w całym kosmosie... i wszystkim innym też; cały sekret polega na tym, żeby trzymać się razem, kochani, oczywiście przebojem dnia jest sensacyjna kradzież nowego prototypu statku kosmicznego z napędem nieprawdopodobieństwa, dokonana nie przez kogo innego, jak przez prezydenta Galaktyki, Zaphoda Beeblebroxa. Pytanie, które wszyscy sobie zadają, to... Czy wielki Z. ostatecznie zwariował?! Beeblebrox, człowiek, który wymyślił Pangalaktyczny Dynamit pitny, były naciągacz i oszust finansowy określony kiedyś przez Eccentrikę Gallumbitis mianem najlepszej sprężyny od czasu Wielkiego Wybuchu, wybrany ostatnio po raz siódmy Najgorzej Ubraną Rozumną Formą Życia w znanym wszechświecie... czy tym razem zna on odpowiedź? Zapytaliśmy jego osobistego specjalistę od pielęgnacji mózgu, Gaga Halfrunta...

Muzyka zawirowała i przycichła na moment. Wtrącił się drugi głos, przypuszczalnie Halfrunt. Powiedział tylko: — Cóż, Zaphod to taki koleś, wiecie... — i zamilkł, bo przez kabinę i przestrzeń wokół radia reagującą na wyłączanie, przeleciał elektroniczny ołówek.

Zaphod odwrócił się i nucił piorunujące spojrzenie na Trillian — to ona wyłączyła radio.

— Hej! — krzyknął. — Dlaczego to zrobiłaś? Trillian stuknęła palcem w pokryty liczbami ekran. — Właśnie pomyślałam o czymś — odezwała się.

— Tak? O czymś wystarczająco ważnym, żeby przerwać wiadomości radiowe na mój temat?

— Słyszałeś już o sobie dostatecznie dużo.

— Wiesz, że jestem bardzo zakompleksiony.

— Czy możemy zostawić na chwilę twoje ego? To ważne.
— Jeżeli jest tu gdzieś coś ważniejszego niż moje ego, chcę, żeby to natychmiast złapać i zastrzelić. — Zaphod znów rzucił jej piorunujące spojrzenie, a potem roześmiał się.
— Posłuchaj — rzekła Trillian. — Zabraliśmy tych dwóch facetów...
— Jakich facetów?
— Tych, których zabraliśmy.
— Aha — powiedział Zaphod — dwóch facetów.
— Zabraliśmy ich w sektorze ZZ dziewięć Plural Z Alfa.
— Tak? — zdziwił się Zaphod i zamrugał.
Trillian powiedziała spokojnie: — Czy mówi ci to cokolwiek?
— Mmmm — zastanowił się Zaphod. — ZZ dziewięć Plural Z Alfa... ZZ dziewięć Plural Z Alfa?

— Więc? — zapytała Trillian.
— Eee... co znaczy Z? — spytał Zaphod.
— Które?
— Którekolwiek.

Jedną z głównych trudności, jakich doświadczyła Trillian w swoim związku z Zaphodem, było nauczenie się rozróżniać, kiedy udawał, że jest głupi, żeby zmylić czujność innych, kiedy udawał, że jest głupi, bo nie chciało mu się myśleć i chciał, żeby robił to ktoś za niego, kiedy udawał, że jest potwornie głupi, żeby ukryć fakt, że rzeczywiście nie rozumie, co się dzieje, a kiedy był naprawdę autentycznie głupi. Był znany z tego, że jest zadziwiająco bystry, i było tak rzeczywiście — lecz nie przez cały czas, co bardzo go niepokoiło i dlatego tak się zachowywał. Wolał, żeby ludzie byli zaskoczeni niż pełni pogardy. To przede wszystkim wydawało się Trillian autentycznie głupie, ale nie miała ochoty dłużej się o to spierać.

Westchnęła i chcąc mu ułatwić orientację, wyświetliła na ekranie mapę gwiazd, nie wnikając w przyczyny, dla których tego chciał.

— Tutaj — wskazała — dokładnie tutaj.
— Hej... Tak! — odezwał się Zaphod.
— A więc? — spytała.
— A więc co?

Część jej mózgu wrzasnęła na inną część jej mózgu. Powiedziała jednak bardzo opanowanym głosem: — To ten sam sektor, z którego mnie zabrałeś. Zaphod spojrzał na nią, a potem znów popatrzył na ekran.

— No tak — stwierdził. — To niesamowite. Powinniśmy byli przelecieć prosto przez sam środek mgławicy Koński Łeb. Jak to się stało, że się tam znaleźliśmy? Przecież to jest nigdzie.

Trillian zignorowała to.

— Napęd nieprawdopodobieństwa — powiedziała cierpliwie. — Sam mi to tłumaczyłeś. Przechodzimy przez każdy punkt wszechświata, przecież wiesz.

— Okay, ale to jest jeden wielki, niesamowity zbieg okoliczności.

— Tak.

— Zabrać kogoś właśnie w tym punkcie? Mając do wyboru cały wszechświat? To po prostu... Chcę to obliczyć. Komputer!

Wyprodukowany przez Korporację Cybernetyczną z Syriusza komputer pokładowy, który kontrolował i przenikał każdą cząsteczkę statku, włączył obwody komunikacyjne.

— Sie macie chłopaki! — zawołał radośnie, wysuwając jednocześnie wstęgę papieru, na której napisane było: Sie macie chłopaki!

— O Boże — jęknął Zaphod. Nie pracował zbyt wiele z tym komputerem, ale już nauczył

się go nie cierpieć.

Komputer trajkotał dalej, wesoły i natrętny, jak gdyby sprzedawał proszek do prania: — Co słyszać? Jakież problemy? Nie ma strachu! Słuchajcie, jestem tu po to, byście nie mieli żadnych problemów, bez względu na to, jakie one są.

— Dobra, dobra — powiedział Zaphod. — Słuchaj, użyję lepiej papieru.

— Pewnie — zgodził się komputer, wyrzucając jednocześnie zadrukowaną wstęgę papieru do kosza na śmieci. — Rozumiem to. Jeśli chciałbyś kiedykolwiek...

— Zamknij się! — krzyknął Zaphod i chwytając ołówek usiadł obok Trillian przy konsoli.

— Dobra, dobra — powiedział komputer urażonym tonem i zamknął swoje kanały mowy.

Zaphod i Trillian zagłębili się w liczbach, które wyświetlił przed nimi skaner kursu nieprawdopodobieństwa.

— Czy możemy obliczyć — zapytał Zaphod — jakie było nieprawdopodobieństwo uratowania ich z punktu widzenia?

— Owszem, to jest stała — odpowiedziała Trillian. — Dwa do potęgi dwieście siedemdziesiąt sześć tysięcy siedemset dziewięć do jednego.

— Wysokie. Mieli naprawdę niesamowite szczęście.

— Tak.

— Ale w odniesieniu do tego, co my robiliśmy w chwili, gdy statek ich zabrał...

Trillian zsumowała wynik. Wyniósł dwa do potęgi nieskończoność minus jeden (liczba niewymierna, która ma jedynie konwencjonalne znaczenie w fizyce nieprawdopodobieństwa).

— ... jest dosyć niskie — dokończył Zaphod z cichym gwizdnięciem.

— Tak — zgodziła się Trillian i spojrzała na niego pytająco.

— To jest jeden wielki kawał nieprawdopodobieństwa, który trzeba wyjaśnić. Teraz w bilansie musi pojawić się coś mocno nieprawdopodobnego, jeśli to wszystko ma się ładnie zsumować. — Zaphod nabazgrał kilka liczb, przekreślił je i wyrzucił ołówek.

— Cholera, nie mogę tego obliczyć!

— Więc?

Zaphod stuknął się ze złości głowami i zgrzytnął zębami.

— Okay — powiedział. — Komputer! Obwody głosowe znów ożyły.

— Cześć! Jak leci? — powiedziały (wysunęła się taśma). — Wiecie, wszystko, czego pragnę, to czynić wasze dni przyjemniejszymi, przyjemniejszymi i przyjemniejszymi...

— Dobra, a teraz zamknij się i policz coś dla mnie.

— Nie ma sprawy — zgodził się ochotczo komputer. — Chcesz prognozę prawdopodobieństwa opartą na...

— Danych nieprawdopodobieństwa, tak.

— Okay — ciągnął komputer — ale przedtem pewna mała, ale jakże interesująca obserwacja. Czy zdajecie sobie sprawę, że życiem większości ludzi rządzą numery telefoniczne?

Wyraszczenie przemknęło z jednej twarzy Zaphoda na drugą.

— Zwariowałaś? — zapytał.

— Ja nie, ale ty zwariujesz, kiedy ci powiem, że...

Trillian gwałtownie wciągnęła powietrze i przycisnęła szybko kilka klawiszy pod ekranem kursu nieprawdopodobieństwa.

— Numer telefonu? — zawołała. — Czy on powiedział numer telefonu?!

Liczby rozbłysły na ekranie.

Komputer uprzejmie zrobił pauzę, ale zaraz podjął: — Mogę? Chciałem powiedzieć, że...

— Proszę cię, nie zawracaj głowy — przerwała mu Trillian.

— Co się stało? — spytał Zaphod.
— Nie wiem — odpowiedziała Trillian. — Ale ci obcy... Są właśnie w drodze na mostek z tym przeklętym robotem. Czy możemy złapać ich na jakimś monitorze?

ROZDZIAŁ 13

Marvin włókł się korytarzem, ciągle narzekając: — ... no i jeszcze oczywiście ten okropny ból we wszystkich diodach lewego boku...

— Nie? — powiedział ponuro idący obok niego Artur. — Naprawdę?

— O, tak — potwierdził Marvin. — Oczywiście prosiłem, żeby mi je wymienili, ale nikt nigdy nie słucha...

— Mogę to sobie wyobrazić.

Od strony Forda dobiegały niewyraźne pomrukiwania i pogwizdywania.

— A więc to tak — mówił w kółko do siebie. Zaphod Beeblebrox...

Marvin przystanął nagle i podniósł rękę.

— Wiesz oczywiście, co się stało?

— Nie, a co? — odpowiedział Artur, który wcale nie chciał wiedzieć.

— Doszliśmy do następnych z drzwi.

Rzeczywiście, w ścianę korytarza wpuszczone byty rozsuwane drzwi. Marvin obejrzał je podejrzliwie.

— I co? — rzekł Ford niecierpliwie. — Wchodzimy?

— Wchodzimy, wchodzimy? — przedrzeźnił go Marvin. — Owszem. To jest wejście na mostek. Miałem rozkaz przyprowadzić was do mostka. Prawdopodobnie to największa próba, na jaką wystawiono dziś moje możliwości intelektualne, nie powinienem się łudzić.

Powoli, z wielkim wstrętem, zrobił krok w kierunku drzwi jak myśliwy podchodzący zwierzynek. Drzwi rozsunęły się nagle.

— Dziękuję — powiedziały — że zechciałeś uszczęśliwić proste drzwi.

Głęboko w klatce piersiowej Marvina zazgrzytały tryby.

— To bardzo zabawne — zaintonował pogrzebowo. — Zawsze, kiedy dochodzisz do wniosku, że życie nie może już być gorsze, ono nagle jeszcze się pogarsza! — Przekroczył ciężko próg i pozostawił Forda i Artura gapiących się na siebie nawzajem i wzruszających ramionami. Z wnętrza znów dobiegł ich głos Marvina: — Przypuszczam, że chcecie teraz zobaczyć obcych — rzekł. — Mam usiąść w kącie i zardzewieć, czy też wolicie, żebym po prostu rozleciał się na kawałki tam, gdzie stoję?

— No tak, a teraz wprowadź ich do środka, dobrze, Marvin? — odezwał się inny głos.

Artur rzucił okiem na Forda i stwierdził ze zdziwieniem, że ten się śmieje.

— Co się...

— Szszsz... — przerwał mu Ford. — Wchodź! I przeszedł przez drzwi na mostek.

Artur nerwowo poszedł za jego przykładem i stanął jak wryty na widok człowieka z nogami na konsoli, rozwalonego niedbale w fotelu i dłubiącego lewą ręką w zębach prawej głowy. Prawa głowa wydawała się całkowicie pochłonięta tą czynnością, ale lewa przywitała przybyszów szerokim, zrelaksowanym, nonszalanckim uśmiechem. Liczba rzeczy, co do których Artur nie wierzył własnym oczom, była dosyć spora. Ze zdumienia opadła mu szczeka i stał tak przez dłuższą chwilę.

Dziwny osobnik pomachał leniwie do Forda i odezwał się z fatalnie udawaną nonszalancją: — Cześć, Ford. Jak leci? Cieszę się, że wpadłeś.

Ford nie zamierzał być gorszy.

— O, Zaphod — rzucił z całkowitą swobodą. Miło cię widzieć, do twarzy ci z tą trzecią ręką. Niezły statek ukradłeś.

Artur wytrzeszczył na niego oczy.

— Chcesz powiedzieć, że znasz tego faceta?! — wrzasnął, wskazując na Zaphoda.

— Czy go znam?! — zawołał Ford. — To jest... przerwał i postanowił dokonać prezentacji w odwrotną stronę: — Zaphod, to jest mój przyjaciel, Artur Dent — rzekł.

— Uratowałem go, zanim jego planeta została zniszczona.

— Na pewno — powiedział Zaphod. — Cześć, Artur, cieszę się, że ci się udało.

— Jego prawa głowa rozejrzała się wokoło, rzuciła zdawkowe „cześć” i powróciła do przerwane go dłubania.

Ford zajął się drugą częścią prezentacji: — Arturze — oznajmił. — To jest mój daleki kuzyn, Zaphod Beeb...

— My się znamy — przerwał Artur ostro.

Kiedy pędzicie drogą na pasie szybkiego ruchu, wyprzedzając od niechcienia powolne samochody, i czujecie się całkowicie zadowoleni z siebie, a nagle przypadkowo zmieniacie bieg z czwartego na pierwszy zamiast na trzeci, co powoduje, że silnik wyskakuje wam spod maski, robiąc dość nieprzyjemny bałagan w rezultacie wytrąca was to z równowagi mniej więcej tak, jak odpowiedź Artura wytrąciła z równowagi Forda.

— Co... co takiego? — zająknął się.

— Powiedziałem, że się znamy.

Zaphod podskoczył ze zdumienia i boleśnie dźgnął się przy tym w dżiąsło.

— Hej, co... naprawdę? Hej... eee...

Ford obrócił się do Artura z gniewnym błyskiem w oczach. Teraz, gdy był znów na swoim terenie, poczuł nagle żywą niechęć do zadawania się z tym prymitywnym ignorantem, który tyle wiedział o sprawach Galaktyki, ile komar z Ilford o życiu w Pekinie.

— Co to znaczy: znacie się? — zapytał ostro. — To jest Zaphod Beeblebrox z Betelgeuzy pięć, a nie jakiś cholerny Martin Smith z Corydon!

— Wszystko jedno — stwierdził zimno Artur. Spotkaliśmy się już, prawda, Zaphod? Czy raczej... Phil?

— Co?! — pisnął Ford.

— Musisz mi przypomnieć — powiedział Zaphod. Mam fatalną pamięć do gatunków.

— To było na przyjęciu — mówił dalej Artur.

— Cóż, nie sądzę — odpowiedział Zaphod.

— Uspokój się, Artur! — zażądał Ford.

Artur nie zwrócił na niego uwagi.

— Przyjęcie pół roku temu — ciągnął niewzruszony. — Na Ziemi... Anglia...

Zaphod potrząsnął głową z nieszczerym uśmiechem.

— Londyn — nalegał Artur. — Islington.

— Och. — Zaphod wzdygnął się z miną winowajcy. — To przyjęcie...

Było to zupełnie nie w porządku wobec Forda, który w kompletnym oszołomieniu wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

— Co?! — zwrócił się do Zaphoda. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że ty też byłeś na tej małej, nędznej planecie?!

— Nie, oczywiście, że nie! — powiedział lekko Zaphod. — No, może wpadłem tam na chwilę, wiesz, po drodze...

— Ale ja tam tkwiłem piętnaście lat!

— Przecież nie wiedziałem o tym, no nie?
— Ale co ty tam robiłeś?!

— No wiesz, rozglądałem się trochę...

— Wdarł się bez zaproszenia na przyjęcie — rzekł Artur, trzęsąc się ze złości. — To był bal maskowy... — A jak ty to sobie inaczej wyobrażasz? — rzucił Ford.

— Na tym przyjęciu — nie ustępował Artur — była pewna dziewczyna... A zresztą... To już teraz nie ma żadnego znaczenia. Wszystko i tak wyparowało.

— Mógłbyś wreszcie przestać marudzić o tej cholernej planecie — stwierdził Ford.

— Co to była za dziewczyna?

— Nieważne. A zresztą, niech ci będzie. No więc nie szło mi z nią zbyt dobrze. Próbowałem przez cały wieczór. Do diabła, to była naprawdę dziewczyna z klasą! Piękna, urocza, piekielnie inteligentna... W końcu udało mi się zostać z nią sam na sam i właśnie próbowałem nawiązać jakąś rozmowę, kiedy wpakował się ten twój przyjaciel i powiedział: „Cześć, kotku, czy ten facet cię nie nudzi? Dlaczego nie porozmawiasz ze mną? Jestem z innej planety”. Nigdy więcej już jej nie zobaczyłem.

— Zaphod? — wykrzyknął Ford.

— Tak — potwierdził Artur, rzucając mu piorunujące spojrzenie i usiłując nie czuć się głupio. — Miał tylko dwie ręce i jedną głowę i mówił, że nazywa się Phil, ale...

— Ale musisz przyznać, że naprawdę pochodzi z innej planety — dokończyła Trillian, pojawiając się w polu widzenia z drugiej strony mostka. Posłała Arturowi miły uśmiech, który przywalił go jak tona cegieł, i znowu skoncentrowała swoją uwagę na urządzeniach kontrolnych statku.

Przez kilka sekund panowała cisza, a potem z głębi zmaltretowanej papki mózgu Artura wydobyły się z trudem słowa: — Tricia McMillan? — zapytał słabo. — Co ty tu robisz?

— To samo co ty — odpowiedziała. — Zabrałam się autostopem. Co innego mogłam zrobić z jednym doktoratem z matematyki, a drugim z astrofizyki? Miałam do wyboru albo to, albo znów w poniedziałek kolejkę po zasiłek dla bezrobotnych.

— Nieskończoność minus jeden — odezwał się komputer. — Suma nieprawdopodobieństwa wyrównana.

Zaphod spojrzał na siebie, na Forda, na Artura i w końcu na Trillian.

— Trillian — powiedział. — Czy coś takiego będzie się zdarzało za każdym razem, gdy będziemy używać napędu nieprawdopodobieństwa?

— Obawiam się, że to bardzo prawdopodobne — odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 14

„Złote Serce” leciało cicho przez wieczną noc kosmosu, posługując się tym razem konwencjonalnym napędem fotonowym. Jego czteroosobowa załoga czuła się trochę skrępowana, wiedząc, że znaleźli się tu razem nie z własnej woli czy też za sprawą przypadku, lecz dzięki niepojętemu kaprysowi fizyki — jak gdyby związki pomiędzy ludźmi podlegały tym samym prawom, które rządzą związkami pomiędzy atomami i cząsteczkami.

Gdy na statku zapadła sztuczna noc, z ulgą schronili się do oddzielnych kabin i próbowali uporać ze swoimi myślami.

Trillian nie mogła spać. Usiadła na tapczanie i wpatrywała się w małą klatkę, która zawierała ostatnie i jedyne ogniwo łączące ją z Ziemią — dwie białe myszki. Przekonała Zaphoda, aby pozwolił jej zabrać je ze sobą. Choć była prawie pewna, że już nigdy nie

zobaczy Ziemi, jednak brak reakcji na wiadomość o zniszczeniu planety sprawił jej przykrość. Ziemia wydawała się odległa i nierealna i nie przychodziły jej do głowy żadne związane z nią myśli. Obserwowała myszy biegające po klatce i miotające się wściekle na swoich małych plastikowych karuzelach, aż w końcu pochłonęło to całą jej uwagę. Nagle otrząsnęła się i wróciła na mostek, aby czuwać nad mrugającymi światłkami i liczbami, które znaczyły drogę statku przez próżnię. Czuła, że chciałaby wiedzieć, o czym tak bardzo starała się nie myśleć.

Zaphod nie mógł spać. On również czuł, że chciałby wiedzieć, o czym tak bardzo nie pozwalał sobie myśleć. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze męczyło go nieuchwytne, lecz dokuczliwe wrażenie, że jest nie całkiem przy zdrowych zmysłach. Przez większość czasu udawało mu się odsuwać takie myśli i nie przejmować się nimi, ale teraz znów odezwały się, wywołane nagłym, niewytłumaczalnym pojawieniem się Forda Prefecta i Artura Denta. W jakiś sposób pasowało to do wzoru, którego nie mógł zobaczyć.

Ford nie mógł spać. Był zbyt podekscytowany tym, że znów znalazł się na szlaku.

Piętnaście lat dosłownego prawie uwięzienia było już wspomnieniem, a stało się to w chwili, gdy zaczynał powoli tracić nadzieję. Trochę włóczęgi z Zaphodem zapowiadało się na niezłą zabawę, chociaż było coś odrobinę dziwnego w jego dalekim kuzynie, coś, czego nie umiał sprecyzować. Fakt, że został prezydentem Galaktyki, był wystarczająco zdumiewający podobnie jak sposób, w jaki porzucił swoje stanowisko. Czy była w tym jakaś ukryta przyczyna? Nie było sensu pytać o to Zaphoda — on najwyraźniej nigdy nie kierował się żadnymi przyczynami w niczym, co robił: podniósł niewytłumaczalność na wyżyny sztuki. Wszystko w życiu atakował z mieszaniną zadziwiającego geniuszu i naiwnej niekompetencji, tak że czasami trudno było odróżnić, które jest które.

Artur spał, był potwornie zmęczony.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi kabiny Zaphoda. Drzwi rozsunęły się.

— Zaphod..

— Tak?

W owalu światła stała Trillian.

— Zdaje się, że znaleźliśmy to, czego szukałeś.

— Hej, naprawdę?

Ford zrezygnował z prób zaśnięcia. W rogu jego kabiny stał mały monitor komputerowy z klawiaturą. Usiadł przy nim na chwilę, próbując ułożyć nowe hasło do przewodnika na temat Vagonów, ale nie mógł wymyślić niczego wystarczająco jadowitego, więc z tego też zrezygnował; owinał się szlafrokiem i przespacerował się na mostek.

Gdy wszedł do kabiny, zaskoczył go widok dwóch postaci pochylonych z podnieceniem nad instrumentami.

— Widzisz? Za chwilę statek wejdzie na orbitę mówiła Trillian. — Jest tam jakaś planeta, dokładnie w koordynatach, które podałeś.

Zaphod usłyszał hałas i podniósł głowę.

— Ford! — syknął. — Chodź no tu i rzuć na to okiem.

Ford podszedł i spojrzał. Były to migoczące na ekranie rzędy cyfr.

— Poznajesz te współrzędne galaktyczne? — spytał Zaphod.

— Nie.

— Podpowiem ci. Komputer!

— Cześć, chłopaki! — wykrzyknął radośnie komputer. — Nasze życie towarzyskie naprawdę się rozwija, nie uważacie?

— Zamknij się — powiedział Zaphod. — I włącz wizję na ekrany.

Światła na mostku przygasły. Iskierki światła przemknęły przez konsole i odbiły się w

czterech parach oczu wpatrzonych w ekrany zewnętrznych monitorów.

Nie było na nich zupełnie nic.

— Poznajesz to? — szepnął Zaphod.

Ford zmarszczył bawi.

— No... nie — rzekł.

— Co widzisz?

— Nic.

— Poznajesz to?

— O czym ty mówisz?!

— Jesteśmy w mgławicy Koński Łeb. Jedna wielka czarna chmura.

— I miałem to poznać z zupełnie pustego ekranu?!

— Wnętrze czarnej mgławicy to jedyne miejsce w Galaktyce, gdzie możesz zobaczyć czarny ekran.

— Bardzo dobrze.

Zaphod roześmiał się. Był czymś niezwykle, prawie dziecinnie podekscytowany.

— To naprawdę fantastyczne, po prostu nie mogę uwierzyć!

— Co jest takiego fantastycznego w utknięciu w chmurze pyłu? — chciał wiedzieć Ford.

— Jak myślisz, co tu można znaleźć? — nalegał Zaphod.

— Tu? Nic.

— Nic? Żadnych gwiazd, żadnych planet?

— Nie.

— Komputer! — zawołał Zaphod. — Obróć kąt widzenia o jedną osiemdziesiątą stopnia i nie odzywaj się!

Przez chwilę wydawało się, że nic się nie zmieniło, gdy nagle na krawędzi ogromnego ekranu coś jaskrawo rozbłysło. Przesunęła się przez niego czerwona gwiazda wielkości spodka, a za nią jeszcze jedna, system podwójny. Po chwili w rogu obrazu pojawił się szeroki półksiężyc — czerwony blask wpadający stopniowo w głęboką czerń nocnej planety.

— Znalazłem! — krzyknął triumfalnie Zaphod, uderzając w konsolę. — Znalazłem!

Ford gapił się nań ze zdumieniem.

— Co to jest? — zapytał.

— To... — odrzekł Zaphod — to jest najbardziej nieprawdopodobna planeta, jaka kiedykolwiek istniała.

ROZDZIAŁ 15

(Fragment przewodnika „Autostopem przez Galaktykę”, strona sześćset trzydzieści cztery tysiące siedemset osiemdziesiąt siedem, część pięć a, hasło: Magrathea).

Dawno temu, w mrokach czasów starożytnych, w wielkich i pełnych chwały dniach dawnego Imperium Galaktycznego, życie było szalone, bogate i przeważnie wolne od podatków.

Potężne statki kosmiczne przecierały szlaki pomiędzy egzotycznymi słońcami w poszukiwaniu przygód i bogactw na najodleglejszych krańcach Galaktyki. W owych czasach ludzie byli nieustraszeni, stawki wysokie, mężczyźni byli prawdziwymi mężczyznami, kobiety prawdziwymi kobietami, a małe futrzane stworki z Alfa Centauri prawdziwymi małymi futrzanymi stworkami z Alfa Centauri. I wszyscy ważyli się stawiać czoło nieznanym niebezpieczeństwom, dokonywać wielkich czynów i popełniać błędy ortograficzne, jakich nikt przed nimi nie popełnił — i w ten sposób wykute zostało Imperium.

Oczywiście, wielu ludzi zdobyło olbrzymie majątki, ale było to zupełnie naturalne i nikt nie miał się czego wstydić, nikt bowiem nie był naprawdę biedny, a przynajmniej nikt, o kim warto byłoby wspominać. Nieuniknioną kolejną rzeczą dla wszystkich najbogatszych kupców życie stało się nudne i nużące; doszli oni do wniosku, że to z powodu wad światów, na których się osiedlili. Żaden z nich nie był całkowicie zadowolający: albo późnym popołudniem klimat nie był wystarczająco wilgotny, albo doba była o pół godziny za długa, albo też morze miało niewłaściwy odcień różu.

I w ten sposób powstały warunki dla szokującej nowej gałęzi specjalistycznego przemysłu budowy luksusowych planet na zamówienie. Siedzibą tego przemysłu została planeta Magrathea, gdzie inżynierowie hiperprzestrzeni wysysali materię przez białe dziury w przestrzeni, aby uformować ją w planety snów: złote planety, platynowe planety, miękkie, gumowe planety z dużą liczbą trzęsień ziemi — wszystkie wypieszczone, aby sprostać wysokim wymaganiom, które naturalnie stawiali najbogatsi ludzie Galaktyki.

Lecz przedsięwzięcie to przyniosło tak wielkie dochody, iż wkrótce sama Magrathea stała się najbogatszą planetą wszystkich czasów, a reszta Galaktyki popadła w skrajną nędzę. W ten sposób system załamał się, Imperium upadło, a długa, posępna cisza zapadła nad bilionem głodujących światów, niepokojonych jedynie skrzypieniem piór uczonych, którzy ślęczeli długo po nocach, płodząc niewydarzone traktaty o wyższości planowanej ekonomii politycznej.

Sama Magrathea zniknęła i pamięć o niej wkrótce odeszła w mroki legendy.

Oczywiście, w dzisiejszych oświeconych czasach nikt nie wierzy w ani jedno słowo owej legendy.

ROZDZIAŁ 16

Artura obudziły odgłosy kłótni, poszedł więc na mostek. Ford wymachiwał właśnie rękami.

— Oszalałeś, Zaphod! — wołał. — Magrathea to mit, bajka, którą rodzice opowiadają dzieciom na dobranoc, kiedy chcą, żeby wyrosły na ekonomistów, to...

— I to, na czego orbicie właśnie się znajdujemy nie ustępował Zaphod.

— Słuchaj, nie obchodzi mnie, na jakiej orbicie ty się osobiście znajdujesz — rzekł Ford. — Ale ten statek...

— Komputer! — krzyknął Zaphod.

— Nie, tylko nie...

— Cześć! Mówi Eddie, wasz pokładowy komputer, czuję się po prostu wspaniale, chłopaki, i chcę wam powiedzieć, że dam parę kopów na rozpęd każdemu programowi, który zechce się wam przeze mnie przepuścić.

Artur spojrzał pytająco na Trillian, która zaprosiła go gestem, żeby wszedł, ale nie odzywał się.

— Komputer — zażądał Zaphod — powiedz nam jeszcze raz, jaka jest nasza obecna trajektoria.

— Z prawdziwą przyjemnością, bracie — odpowiedział komputer. — Znajdujemy się obecnie na orbicie na wysokości trzystu mil dookoła legendarnej planety Magrathea.

— To żaden dowód — stwierdził Ford. — Nie uwierzyłbym temu komputerowi nawet, gdyby miał podać moją wagę.

— Mogę to dla ciebie zrobić, pewnie — ożywił się komputer, wysuwając następną papierową wstęgę. Mogę nawet obliczyć ci twoje problemy z osobowością do dziesiątego

miejsca po przecinku, jeśli to coś pomoże.

Trillian przerwała mu.

— Zaphod — powiedziała. — Zaraz znajdziemy się nad dzienną stroną planety.

— I dodała: — Czymkolwiek ona się okaże.

— Hej, co masz na myśli? Planeta jest tam, gdzie przewidziałem, tak czy nie?

— Owszem, wiem, że tam jest. Nie zamierzam się z nikim spierać, po prostu nie odróżniłabym Magrathei od jakiejkolwiek innej bryły zimnej skały. Nadchodzi świt, jeśli cię to interesuje.

— Dobra, dobra — zamruczał Zaphod. — Zróbmy przynajmniej przyjemność naszym oczom. Komputer!

— Ahoj! Co mógłbym...

— Po prostu zamknij się i daj znowu widok na planetę.

Ciemna, niczym nie wyróżniająca się masa znów wypełniła ekran. Obracająca się pod nimi planeta. Patrzyli na to przez chwilę w milczeniu, lecz Zaphod był zbyt podniecony, by nic nie mówić.

— Przelatujemy teraz nad nocną stroną... — rzekł ścisłym głosem. Planeta obracała się dalej. — Powierzchnia planety jest teraz trzysta mil pod nami... ciągnął.

Próbował przywrócić aurę niezwykłości chwili, która powinna być wielka i niezapomniana. Magrathea! Czuł się dotknięty sceptyczną reakcją Forda. Magrathea! — Za kilka sekund — mówił dalej — powinniśmy zobaczyć... już!

Chwila przeciągała się. Nawet najbardziej zblazowany tramp międzygwiazdny nie może opanować drżenia na widok niezwykle widowiskowego dramatu, jakim jest wschód słońca oglądany z przestrzeni kosmicznej. A cóż dopiero podwójny wschód słońca, który jest jednym z cudów Galaktyki.

Z absolutnej czerni wystrzelił nagle punkt oślepiającego światła. Wspinał się w górę ułamkami stopni, rozlewając się po bokach w wąskie, półksiężycowate ostrze i nagle w przeciągu sekund ukazały się dwa słońca rozpalające czarną krawędź horyzontu białymi płomieniami. Rzadką atmosferę pod statkiem rozjarzyły jaskrawe, tęczowe promienie.

— Ogień świtu... — odetchnął głęboko Zaphod. Bliźniacze słońca Soulianis i Rahm!

— Albo jakiekolwiek inne — zauważył cicho Ford.

— Soulianis i Rahm! — upierał się Zaphod.

Płonące słońca wznosiły się, a przez mostek płynęła niska, upiorna muzyka — to Marvin ironicznie coś do siebie mruczał — tak bardzo nie cierpiał ludzi. Przyglądając się feerii barw i światła przed nimi, Ford czuł przepełniające go podniecenie, ale było to podniecenie wywołane jedynie ujrzaniem nowej, nieznanej planety. Wystarczało mu traktować to właśnie w ten sposób. Drażniło go odrobinę, że Zaphod musiał dorabiać sobie jakieś absurdalne fantazje, aby ta scena go poruszyła.

Cały ten nonsens z Magratheą wydawał się Fordowi dziecinny i niemądry. Czy nie można widzieć po prostu, że ogród jest piękny, bez konieczności uwierzenia, że kryją się w nim wróżki?

Arturowi cała ta historia z Magratheą wydawała się kompletnie niepojęta. Ukradkiem przesunął się do Trillian i zapytał, co się właściwie dzieje.

— Wiem tyle, ile powiedział mi Zaphod — odszepnęła. — Najwidoczniej Magrathea jest czymś w rodzaju legendy z zamierzchłych czasów, w którą nikt naprawdę nie wierzy. Trochę jak Atlantyda na Ziemi, z tą różnicą, że według legendy na Magrathei produkowano planety.

Artur zamrugnął, patrząc na ekran i poczuł, że umknęło mu coś ważnego. Nagle zdał sobie sprawę, co to było.

— Czy jest na tym statku herbata? — zapytał.

Coraz większa połać planety rozciągała się pod nimi, gdy „Złote Serce” mknęło po jej orbicie. Słońca stały już wysoko i pirotechnika świtu skończyła się. Powierzchnia planety w zwyczajnym świetle dnia wyglądała ponuro i odpychająco — szara, pokryta pyłem i niewyraźnie zarysowana, wydawała się zimna i martwa jak krypta. Od czasu do czasu na odległym horyzoncie pojawiały się obiecujące zarysy — wąwozy, być może góry, być może nawet miasta — ale gdy zbliżali się, linie stawały się większe i rozmywały się w anonimowości, niczego nie tworząc. Powierzchnia planety była zatarta przez czas, przez powolne ruchy rzadkiego, zastałego powietrza pełzającego po niej stulecie po stuleciu.

Bez wątpienia planeta była bardzo, bardzo stara. Patrząc na szary krajobraz rozciągający się przed nimi, Ford poczuł wątpliwości. Zaniepokoił go bezmiar czasu, odczuwał to niemal jak obecność. Przełknął ślinę.

— Więc nawet zakładając, że to jest...

— Jest! — powiedział Zaphod.

— ...tym, czym nie jest — ciągnął Ford. — To co ty właściwie chcesz tu znaleźć? Nic tu nie ma.

— Nic nie ma na powierzchni — stwierdził Zaphod.

— No dobra, załóźmy, że coś tu jest; przyjmuję, że nie przyleciałeś tutaj tylko i wyłącznie dla wykopalisk industrialnych. Ale po co ty to właściwie robisz, Zaphod?

Jedna z głów Zaphoda odwróciła wzrok. Druga rozejrzała się wokół, żeby zobaczyć, na co patrzyła pierwsza, ale nie było to nic konkretnego.

— No cóź — rzekł beztrosko Zaphod. — Częściowo z ciekawości, częściowo dla przygody, ale głównie chyba dla sławy i pieniędzy...

Ford spojrział na niego ostro. Był przekonany, że Zaphod nie miał zielonego pojęcia, po co się tam w ogóle znalazł.

— Wiecie, nie podoba mi się widok tej planety powiedziała Trillian z drżeniem.

— Nie zwracaj na to uwagi — odrzekł Zaphod. — Z ukrytą gdzieś tu połową bogactwa dawnego Imperium Galaktycznego może sobie pozwolić na to, żeby wyglądać nieciekawie.

Gówno prawda, pomyślał Ford. Nawet zakładając, że była to siedziba starożytnę cywilizacji, która obróciła się w proch, zakładając nawet kilka niezwykle mało prawdopodobnych rzeczy, nie było mowy, aby ogromne skarby mogły być tam przechowane w jakiegokolwiek formie, która miałaby jeszcze wartość. Wzruszył ramionami.

— Moim zdaniem to po prostu martwa planeta — stwierdził.

— Napięcie mnie wykańcza — powiedział Artur z westchnieniem.

Stres i napięcie nerwowe stały się poważnymi problemami społecznymi we wszystkich częściach Galaktyki. Aby więc nie pogarszać jeszcze bardziej sytuacji, ujawnimy teraz z wyprzedzeniem następujące fakty: Planeta, o której mowa, jest rzeczywiście legendarną Magratheą.

Śmiercionośny atak rakietowy, który wkrótce zostanie przeprowadzony przez starożytny automatyczny system obronny, spowoduje jedynie zniszczenie trzech filiżanek do kawy i klatki na myszy, skaleczenie czyjegóś ramienia i ostatecznie stworzenie oraz nagłe unicestwienie donicy z petuniami i niewinnę kaszalota.

Aby jednak zachować pewną otoczkę tajemnicy, nie zdradzimy tu, czyje ramię zostało skaleczone. Fakt ten może stać się powodem napięcia bez jakiegokolwiek negatywnych następstw, jako że nie ma kompletnie żadnego znaczenia.

Po dosyć gwałtownym rozpoczęciu dnia umysł Artura zaczynał zbierać z powrotem w całość swoje kompletnie rozstrojone fragmenty, z którymi pozostawił go wczorajszy dzień. Znalazł maszynę nutrimatyczną, która dostarczyła mu plastikowy kubek wypełniony płynem prawie zupełnie (lecz nie do końca) niepodobnym do herbaty. Sposób funkcjonowania owej maszyny był bardzo interesujący. Gdy naciskano guzik „Napój”, sporządzała ona błyskawicznie bardzo szczegółowe badanie receptorów smakowych naciskającego i spektroskopową analizę jego metabolizmu. Następnie wzdłuż połączeń nerwowych wysyłała delikatne sygnały eksperymentalne do mózgu, aby przekonać się, co prawdopodobnie przeszłoby naciskającemu przez gardło. Jednakże nikt nie wiedział, po co to robiła, ponieważ i tak nieodmiennie dostarczała kubek płynu, który był prawie zupełnie (lecz nie do końca) niepodobny do herbaty... Maszyna nutrimatyczna została zaprojektowana i wyprodukowana przez Korporację Cybernetyczną Syriusza, której dział zażaleń zajmuje w obecnej chwili wszystkie główne masywy lądowe trzech pierwszych planet w układzie planetarnym Syriusz Tan.

Artur wypił płyn i stwierdził, że jest orzeźwiający. Znowu rzucił okiem na ekrany i obejrzał następne kilkaset mil szarego pustkowia, które przesunęło się pod statkiem.

Nagle przyszło mu do głowy, aby zadać dręczące go pytanie: — Czy tu jest bezpiecznie?

— Magrathea jest martwa od pięciu milionów lat — odpowiedział Zaphod.

— Oczywiście, że tu jest bezpiecznie. Nawet tutejsze duchy musiały już dawno ustatkować się i założyć rodziny.

W tym momencie powietrze przeszył dziwny i niewytłumaczalny dźwięk — jak gdyby odległych fanfar, głuchy, piskliwy i nierzeczywisty. Głos powiedział: — Pozdrawiam was...

Mówił do nich głos z martwej planety.

— Komputer! — krzyknął Zaphod.

— Sie macie!

— Co to jest, do fotona?!

— To tylko jakaś taśma sprzed pięciu milionów lat.

— Co?! Nagranie?!

— Szszsz! — syknął Ford. — Posłuchajmy!

Głos był stary, uprzejmy, niemal ujmujący, ale brzmiała w nim całkiem niedwuznaczna groźba.

— Słuchacie nagranego komunikatu — powiedział. — Jako że niestety w tym momencie wszyscy jesteście nieobecni. Rada handlowa Magrathei czuje się zaszczycona waszą wizytą...

— Głos ze starożytnej Magrathei! — wykrzyknął Zaphod.

— Dobra, dobra — uspokoił go Ford.

— ...żałuję jednak, że cała planeta jest chwilowo zamknięta dla interesów. Dziękujemy wam. Jeżeli mielibyście ochotę zostawić swoje nazwisko i adres planety, na której można się z wami skontaktować, uprzejmie prosimy podać go po usłyszeniu sygnału.

— Chcą się nas pozbyć — rzekła nerwowo Trillian. — Co teraz zrobimy?

— To tylko nagranie — stwierdził stanowczo Zaphod. — Lecimy dalej. Zrozumiałeś, komputer?

— Zrozumiałem — odpowiedział komputer i dodał gazu.

Czekali. Po mniej więcej sekundzie znowu zabrzmiały fanfary, a po nich głos: — Chcielibyśmy was zapewnić, że jak tylko powrócimy do naszej działalności, we wszystkich popularnych magazynach kolorowych i dodatkach pojawią się nasze ogłoszenia, a nasi klienci znowu będą mieli do wyboru wszystko, co najlepsze we współczesnej geografii. — Groźba w głosie zabrzmiała wyraźniej. — Na razie dziękujemy naszym klientom za ich uprzejme

zainteresowanie i chcielibyśmy prosić ich o opuszczenie planety. Natychmiast.

Artur rozejrzał się po niespokojnych twarzach swoich towarzyszy.

— Cóż, przypuszczam, że najlepiej będzie, jeżeli zabierzemy się stąd, nie uważacie?

— zasugerował.

— Szszsz! — powiedział Zaphod. — Nie ma absolutnie żadnego powodu do niepokoju.

— To dlaczego wszyscy są tacy spięci?

— Są po prostu zaciekawieni! — wrzasnął Zaphod. — Komputer, zacznij zniżać się w atmosferę i przygotuj statek do lądowania.

Tym razem fanfary zabrzmiały całkiem niedbale, a głos był wyraźnie zimny.

— To ogromnie miłe — rzekł — że wasz entuzjazm dla naszej planety nie słabnie i dlatego chcielibyśmy was zapewnić, że rakiety sterowane, które właśnie obierają za cel wasz statek, są częścią specjalnych usług, jakie świadczymy naszym najbardziej entuzjastycznym klientom, a całkowicie uzbrojone głowice nuklearne to oczywiście jedynie kurtuazyjny drobiazg. Z przyjemnością zaoferujemy nasze usługi w waszym następnym życiu... Dziękujemy za uwagę.

Głos umilkł.

— Oooo... — powiedziała Trillian.

— Eeee... — powiedział Artur.

— Więc? — powiedział Ford.

— Posłuchajcie — powiedział Zaphod. — Czy to do was dociera? To tylko nagranie! Ma miliony lat. Nie dotyczy nas, rozumiecie?

— A co z rakietami? — zapytała spokojnie Trillian.

— Rakiety? Nie rozśmieszaj mnie!

Ford położył rękę na ramieniu Zaphoda i wskazał tylny ekran. Daleko za nimi wznosiły się przez atmosferę w kierunku statku dwie srebrzyste strzałki. Szybkie zbliżenie pokazało je w całej okazałości: dwie niesamowicie prawdziwe, prujące przez niebo rakiety. Nagłość tego wszystkiego była szokująca.

— Myślę, że bardzo się postarają, żeby w nas trafić — stwierdził Ford.

Zaphod gapił się na nie ze zdumieniem.

— Hej, to jest niesamowite! — zawołał. — Ktoś tam na dole próbuje nas zabić!

— Niesamowite — zgodził się Artur. — Ale nie rozumiesz, co to znaczy?

— Owszem, wkrótce umrzemy.

— Tak, ale poza tym!

— Poza tym?!

— To znaczy, że jesteśmy na dobrym tropie!

— Jak prędko możemy z niego zejść?

Z każdą sekundą obraz pocisków na ekranach powiększał się. Obróciły się i wzięły kurs dokładnie na statek, toteż wszystko, co mogli teraz zobaczyć, to wycelowane w nich głowice.

— Pytam z czystej ciekawości — odezwała się Trillian. — Co teraz zrobimy?

— Po prostu uspokójcie się — powiedział Zaphod.

— To wszystko?! — wrzasnął Artur.

— Nie, podejmiemy także... eee... działania unikowe! — krzyknął Zaphod w nagłym przypływie paniki. — Komputer, jakie działania unikowe możemy podjąć?

— Ee... obawiam się, chłopcy, że żadnych — odpowiedział komputer.

— ...czy coś innego... — dodał Zaphod — eee... zakończył.

— Coś najwyraźniej blokuje moje systemy sterujące — wyjaśnił pogodnie komputer. — Zderzenie za czterdzieści pięć sekund. Mówcie mi Eddie, jeśli to wam pomoże się zrelaksować.

Zaphod próbował biec w kilku kierunkach naraz.

— Dobrze! — zawołał. — Eee... musimy przejść na ręczne sterowanie statkiem!

— Potrafisz nim sterować? — zapytał uprzejmie Ford.

— Nie, a ty?

— Nie.

— Trillian, a ty?

— Nie.

— W porządku — rzekł Zaphod i rozluźnił się. Zrobimy to razem.

— Ja też nie — dodał Artur, który poczuł, że nadszedł czas, aby zaznaczyć swoją obecność.

— Domyśliłem się tego — stwierdził Zaphod. — Okay, komputer, przejmuję pełne ręczne sterowanie statkiem.

— Załatwione — odpowiedział komputer.

Otworzyło się kilka dużych pulpitów rozdzielczych i ukazały się konsole kontrolne, zasypując załogę kawałkami styropianu i kulkami zwiniętego celofanu: nigdy przedtem nie były używane.

Zaphod popatrzył na nie z paniką.

— Dobra, Ford — powiedział. — Cała wstecz i dziesięć stopni na prawą burtę. Albo na przykład...

— Powodzenia, chłopaki — zaćwierkał komputer. — Zderzenie za trzydzieści sekund...

Ford przyskoczył do konsoli. Na pierwszy rzut oka tylko niektóre dźwignie wydały mu się znajome, więc je nacisnął. Statek zadrżał i zawył, gdy sterujące silniki rakietowe usiłowały posłać go we wszystkich kierunkach jednocześnie. Ford zwolnił połowę dźwigni, a statek zatoczył łuk i wylądował na tym samym kursie co poprzednio, na wprost zbliżających się pocisków.

Poduszki powietrzne w ścianach nadeły się momentalnie, gdy została o nie rzucona cała załoga. Przez kilka sekund siła bezwładności trzymała ich rozpląszczonych, walczących o oddech, niezdolnych do żadnego ruchu.

Zaphod miotał się w maniackiej desperacji, w końcu udało mu się wymierzyć dzikiego kopniaka w małą dźwignię stanowiącą część systemu sterującego.

Dźwignia złamała się. Statek skręcił ostro i wystrzelił w górę, a załoga przeleciała gwałtownie przez kabinę i wylądowała pod przeciwległą ścianą. Należący do Forda egzemplarz przewodnika „Autostopem przez Galaktykę” trzasnął w inną część konsoli kontrolnej, z połączonym efektem: przewodnik zaczął objaśniać wszystkim, którzy mieli ochotę słuchać, najlepsze metody szmuglowania z Antaresa gruczołów papug („gruczoły papug z Antaresa na wykałaczkach to obrzydliwa, lecz niezwykle poszukiwana zakąska koktajlowa, za którą bardzo bogaci idioci płacą ogromne sumy tylko po to, aby zaszpanować innym bardzo bogatym idiotom”), a statek nagle zaczął spadać jak kamień.

Mniej więcej w tym momencie jeden z członków załogi skaleczył się dotkliwie w ramię. Fakt ten powinien zostać podkreślony, ponieważ — jak to już wyjawiono — poza tym udało im się uciec bez najmniejszego szwanku, a śmiertelne pociski nie uderzyły ostatecznie w statek.

Całkowite bezpieczeństwo załogi zostało zapewnione.

— Zderzenie za dwadzieścia sekund, chłopaki... oznajmił komputer.

— To włącz z powrotem te cholerne silniki! — wrzasnął Zaphod.

— No pewnie, chłopaki — zgodził się komputer.

Silniki włączyły się z diabelnym rykiem, statek gładko wyrównał kurs i znów ruszył na spotkanie rakietom.

Komputer zaczął śpiewać.

— „Kiedy wędrujesz przez burzę... — zajęczał nosowo. — Idź z podniesionym czołem...”
Zaphod wrzasnął, żeby się zamknął, ale jego głos zginął w zgiełku tego, co uważali całkiem naturalnie za nadchodzącą zagładę.

— „I nie bój... się nigdy... ciemności” — zawodził Eddie.

Statek wyrównując kurs, wyrównał go w rzeczywistości do góry nogami, toteż leżąc na suficie, nikt z załogi nie miał teraz żadnej szansy, aby dosięgnąć systemów sterujących.

— „Na końcu burzy...” — wył Eddie.

Dwie imponujące rakiety ukazały się znów na ekranach.

— „...czeka złote niebo...”

Ale nieprawdopodobnie szczęśliwym trafem nie zdążyły całkiem skorygować swojego kursu w stosunku do przedziwnie lawirującego statku i przeszły dokładnie pod nim.

— „I srebrzysta, słodka skowronka pieśń...”

Skorygowany czas zderzenia: piętnaście sekund, przyjaciele... — wtrącił Eddie i śpiewał dalej: — „Idź poprzez wiatr...”

Rakiety z piskiem zatoczyły łuk i ponownie rzuciły się w pościg.

— A więc to już — powiedział Artur, obserwując atak na ekranach. — Całkiem nieodwołalnie. Za chwilę umrzemy, prawda?

— Mógłbyś przestać mówić takie rzeczy — odparł Ford.

— Umrzemy czy nie?

— Owszem, umrzemy.

— „Idź poprzez deszcz...” — śpiewał Eddie.

Arturowi wpadła do głowy pewna myśl, zerwał się na nogi.

— Dlaczego nikt nie włączy tego całego napędu nieprawdopodobieństwa?! — krzyknął.

— Chyba moglibyśmy go dosięgnąć.

— Oszalałeś? — spytał Zaphod. — Bez właściwego zaprogramowania wszystko mogłoby się zdarzyć.

— Co to za różnica na tym etapie! — odkrzyknął Artur.

— „Choć sny twe nie spełnią się nigdy...” — wył dalej Eddie.

Artur wlaźł z trudem na jeden z owych ekscytująco kształtnych wymodelowanych fragmentów w miejscu, gdzie wygięcie ściany stykało się z sufitem.

— „Idź dalej z nadzieją w sercu...”

— Czy ktokolwiek wie, dlaczego Artur nie może włączyć napędu nieprawdopodobieństwa? — krzyknęła Trillian.

— „A nigdy nie będziesz szedł sam...” Zderzenie za pięć sekund, fajnie było was poznać, chłopcy, niech was Bóg... „Nigdy nie będę... dziesz... szedł... sam.

— Pytałam — wrzasnęła Trillian — czy ktokolwiek...

Następna rzecz, jaka się wydarzyła, była przekraczająca mózg eksplozja światła i dźwięku.

ROZDZIAŁ 18

A następną rzeczą, która się zdarzyła, było to, że „Złote Serce” absolutnie normalnie kontynuowało swoją podróż, aczkolwiek z dosyć interesująco przebudowanym wnętrzem. Zostało ono w jakiś sposób powiększone, ściany zaś uzyskały delikatne pastelowe odcienie błękitu i zieleni.

Pośrodku znajdowały się kręcone schody, prowadzące donikąd, otoczone paprociami i

żółtymi kwiatami, obok zaś stał kamienny cokół zegara słonecznego, który zawierał teraz główny terminal komputerowy. Przemyślnie rozmieszczone światła i lustra tworzyły złudzenie cieplarni z widokiem na duży, znakomicie utrzymany ogród. Na obwodzie cieplarni stały stoliki o marmurowych blatach i misternie wykonanych nogach z kutego żelaza. Patrząc uważnie w wypolerowaną powierzchnię marmuru, można było dostrzec zamglone kształty instrumentów pokładowych; wystarczyło ich dotknąć, aby natychmiast zmaterializowały się pod dłońmi dotykającego. Spoglądając pod odpowiednim kątem w lustra, można było dostrzec w nich odbicie wszystkich potrzebnych odczytów danych, chociaż pytanie skąd pochodzi to odbicie, pozostawało bez odpowiedzi. Wszystko razem wyglądało zdumiewająco pięknie.

Rozparty leniwie w wiklinowym fotelu ogrodowym, Zaphod Beeblebrox zapytał: — Co, u diabła, się stało?

— No, mówiłem właśnie — odpowiedział Artur leżący w niedbałej pozie obok niedużej sadzawki z rybami — że tam jest ten przełącznik napędu nieprawdopodobieństwa... — Machnął ręką w kierunku miejsca, gdzie przedtem znajdował się przełącznik.

Teraz stała tam roślina w doniczce.

— Ale gdzie my jesteśmy? — odezwał się Ford siedzący na kręconych schodach z dobrze schłodzonym Pangalaktycznym Dynamitem Pitnym w dłoni.

— Zdaje się, że dokładnie tam, gdzie byliśmy... — rzekła Trillian, gdy wszystkie lustra wokół nich pokazały nagle odbicie zniszczonego krajobrazu Magrathei, który wciąż pod nimi przemykał.

Zaphod zerwał się z fotela.

— Więc co się stało z rakietami? — wykrzyknął.

Nowe i zdumiewające odbicie pojawiło się w lustrach.

— Wygląda na to — stwierdził Ford z powątpiewaniem — że zamieniły się w donicę z petuniami i bardzo zdziwionego wieloryba...

— Przy współczynniku nieprawdopodobieństwa — wtrącił się Eddie, który nie zmienił się ani na jotę — osiem milionów siedemset sześćdziesiąt siedem tysięcy sto dwadzieścia osiem do jednego.

Zaphod utkwiał wzrok w Arturze.

— Pomyślałeś o tym, Ziemianinie? — zażądał wyjaśnień.

— Cóż — odrzekł Artur. — Ja tylko...

— Wiesz, to był kawał bardzo dobrego myślenia. Włączyć na sekundę napęd nieprawdopodobieństwa bez wcześniejszego uaktywnienia ekranów osłonowych. Hej, chłopcze, właśnie uratowałeś nam życie, wiesz o tym?

— Och — powiedział Artur. — Cóż, to naprawdę nic wielkiego...

— Naprawdę? — spytał Zaphod. — W takim razie zapomnijmy o tym. Dobra, komputer, przygotuj się do lądowania.

— Ale...

— Powiedziałem, zapomnijmy o tym.

Następną rzeczą, która została zapomniana, był fakt, że na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu kilka mil ponad powierzchnią obcej planety został powołany do istnienia kaszalot. A ponieważ nie jest to najnaturalniejsza w świecie sytuacja dla wieloryba, to nieszczęsne niewinne stworzenie nie miało zbyt wiele czasu, aby dojść do ładu ze swoją tożsamością jako wieloryb, zanim musiało dojść do ładu z faktem niebycia już wielorybem.

Oto kompletny zapis jego myśli od momentu, w którym zaczął swoje życie, do momentu, w którym je zakończył.

„Aaa!... Co się dzieje? — pomyślał. — Ee, przepraszam bardzo, kim jestem? Cześć?

Dlaczego jestem tutaj? Jaki jest mój cel w życiu? Co oznacza moje istnienie? Spokojnie, weź się w garść... O! Co za interesujące odczucie, co to jest? Coś w rodzaju... ziewania czy swędzenia w moim... moim... Chyba powinienem zacząć nadawać nazwy rzeczom, jeśli chcę zrobić jakiś postęp w tym, co dla potrzeb tego, co nazwę dyskusją, będę nazywał światem, a więc powiedzmy, że to jest brzuch. Dobrze. Ooo, nasila się. Hej, a co to jest ten gwizdzący, huczący dźwięk wokół tego, co nagle zacząłem nazywać moją głową?

Nazwę to... wiatr. Czy to jest dobra nazwa? Na razie wystarczy, może potem wymyślę coś lepszego, kiedy się dowiem, do czego to służy. Musi to być coś bardzo ważnego, bo jest tego cała masa. Hej, a to co? To jest... powiedzmy, ogon, tak ogon. O! naprawdę świetnie się nim macha! To jest super! Nie widzę, żeby miało to jakieś efekty, ale pewnie później dowiem się, do czego to służy. A więc, czy udało mi się już stworzyć jakikolwiek spójny obraz świata? Nie. Mniejsza z tym, hej, to jest naprawdę wspaniałe, tyle rzeczy, których się dowiem, tyle rzeczy, których nie mogę się już doczekać, umieram z niecierpliwości... Ale czy to jest wiatr? Jest go chyba coraz więcej... O! Hej, a to co? Co to za rzecz, która znienacka zaczęła się do mnie bardzo szybko zbliżać?! Naprawdę bardzo szybko! Duża, płaska, okrągła, powinna mieć dużą i solidnie brzmiącą nazwę, jak na przykład... Ziemia! Właśnie tak! Bardzo dobra nazwa — Ziemia! Ciekawe, czy zaprzyjaźni się ze mną?"

Reszta, po nagłym mokrym i głuchym uderzeniu, była milczeniem.

Ciekawą rzeczą jest fakt, że jedyne, co przeszło przez myśl donicy z petuniami podczas spadania, to słowa: „O nie, znowu to samo!"

Wielu ludzi doszło do wniosku, że gdybyśmy dokładnie wiedzieli, dlaczego donica z petuniami tak pomyślała, wiedzielibyśmy znacznie więcej o naturze wszechświata niż teraz...

ROZDZIAŁ 19

— Zabieramy z sobą tego robota? — zapytał Ford, patrząc z niesmakiem na Marviną, który stał zgarbiony w kącie pod niedużą palmą.

Zaphod odwrócił wzrok od lustrzanych ekranów, które pokazywały panoramiczny widok zniszczonej powierzchni planety, na której wylądowało „Złote Serce”.

— Och, nasz paranoidandroid — stwierdził. Owszem, weźmiemy go ze sobą.

— Ale co się robi z robotami w stanie depresji maniakalnej?!

— Tobie się wydaje, że ty masz problemy — powiedział Marvin, jak gdyby zwracał się do świeżo zajętej trumny. — A co się robi, jeżeli to ty jesteś robotem w stanie depresji maniakalnej? Nie, nie wysilaj się na odpowiedź! Jestem pięćdziesiąt tysięcy razy bardziej inteligentny od ciebie, a nawet ja nie znam odpowiedzi. Samo zniżanie się do twojego poziomu intelektualnego przyprawia mnie o ból głowy.

Na mostek wpadła Trillian.

— Uciekły moje białe myszki! — krzyknęła. Wyraz głębokiej troski i zaniepokojenia nie zdołał pojawić się na żadnej z twarzy Zaphoda.

— Do diabła z twoimi białymi myszkami — odpowiedział krótko.

Trillian rzuciła mu rozdrażnione spojrzenie i znikła ponownie.

Całkiem możliwe, że jej uwaga spotkałaby się z większym zainteresowaniem, gdyby szerzej znany był fakt, że istoty ludzkie były dopiero na trzecim miejscu, jeśli chodzi o najbardziej inteligentne formy życia na Ziemi, a nie — jak uważała większość niezależnych obserwatorów — na drugim.

— Dzień dobry, chłopcy!

Głos był dziwnie znajomy, ale i dziwnie odmieniony. Brzmiała w nim nuta matriarchalna. Odezwał się do załogi, gdy przybyli do luku prowadzącego na powierzchnię planety.

Spojrzeni po sobie z zaskoczeniem.

— To komputer — wyjaśnił Zaphod. — Odkryłem, że ma dodatkową osobowość do użycia w nagłych przypadkach i pomyślałem, że może to zadziała lepiej.

— Dzisiaj jest wasz pierwszy dzień na nie znanej planecie — ciągnął nowy głos Eddiego — a więc wszyscy musicie się ciepło i starannie ubrać; nie zadawajcie się z niegrzecznymi potworami o oczach jak karaluchy.

Zaphod zastukał niecierpliwie w pokrywę luku.

— Przepraszam — powiedział. — Chyba lepszy byłby suwak logarytmiczny niż ten komputer.

— Świetnie! — warknął komputer. — Kto to powiedział?

— Komputer, czy mógłbyś otworzyć ten luk? — zapytał Zaphod, starając się nie zdenerwować.

— Najpierw ten, kto to powiedział, niech się przyzna — ponaglił komputer.

— O Boże — mruknął Ford, osunął się po ścianie grodzi i zaczął liczyć do dziesięciu.

Był pełen rozpaczliwej obawy, że pewnego dnia rozumne formy życia zapomną, jak to się robi. Jedynie za pomocą liczenia ludzie mogą wykazać swoją niezależność od komputerów.

— No, jazda! — odezwał się surowo Eddie.

— Komputer... — zaczął Zaphod.

— Czekam — przerwał mu Eddie. — Mogę tak czekać cały dzień, jeśli to konieczne...

— Komputer... — powiedział znowu Zaphod, próbując wymyślić jakiś subtelny i przekonujący argument, który pozwoliłby mu zagiąć komputer, i zdecydował nie zawracać sobie głowy współzawodnictwem z maszyną na jej własnym terenie. — Jeśli w tej chwili nie otworzysz luku, za pięć sekund będę przy twoich głównych bankach danych i przeprogramuję cię bardzo dużą siekierą, zrozumiałeś?

Zaszokowany Eddie przerwał i rozważał tę możliwość.

Ford spokojnie liczył dalej. Jest to prawdopodobnie najbardziej agresywna rzecz, jaką można zrobić komputerowi, odpowiednik podejścia do istoty ludzkiej, powtarzając: krwi... krwi... krwi...

W końcu Eddie skapitulował.

— Widzę, że nasze stosunki to coś, nad czym wszyscy będziemy musieli solidnie popracować — powiedział i luk otworzył się.

Owionął ich lodowaty wiatr, więc otulili się szczelniej i zeszli po trapie na jałowy pył Magrathei.

— Jeszcze będziecie płakać, przekonacie się! — krzyknął za nimi Eddie i zamknął luk.

Kilka minut później znowu otworzył go i zamknął, w odpowiedzi na komendę, która zadziałała przez całkowite zaskoczenie.

ROZDZIAŁ 20

Pięć postaci wędrowało powoli przez zniszczoną ziemię. Niektóre jej części były matowoszare, niektóre matowobrazowe, a reszta jeszcze mniej interesująca dla patrzącego. Wyglądało to jak wyschnięte bagno, pozbawione jakiegokolwiek roślinności i pokryte grubą na cal warstwą pyłu. Było bardzo zimno.

Zaphod był tym wszystkim wyraźnie przygnębiony. Przyspieszył kroku i wkrótce zniknął

z oczu pozostałym za niewielkim wzniesieniem terenu.

Ostry wiatr kłuł Artura w oczy i uszy, a zastale, rzadkie powietrze drażniło jego gardło. Jednakże najbardziej podrażniony był jego umysł.

— To fantastyczne... — odezwał się, a jego własny głos nieprzyjemnie zatrzeszczał mu w uszach. Dźwięki bardzo źle rozchodziły się w rzadkiej atmosferze.

— Zabita dechami dziura, jeśli pytasz mnie o zdanie — stwierdził Ford. — Bawiłbym się lepiej w kocim kiblu.

Czuł wzrastającą irytację. Spośród wszystkich planet we wszystkich systemach gwiazdnych całej Galaktyki — wielu dzikich, egzotycznych i tętniących życiem musiał po piętnastu latach życia na wygnaniu znaleźć się na takim śmietniku jak ten! Ani jednej budki z hotdogami w polu widzenia. Schylił się i podniósł zimną bryłę ziemi, ale nie było pod nią nic, dla czego warto byłoby przelecieć tysiące lat świetlnych.

— Nie — upierał się Artur. — Nie rozumiesz, że po raz pierwszy naprawdę postawiłem nogę na innej planecie... Całkowicie obcy świat! Szkoda tylko, że to taki śmietnik.

Trillian otuliła się szczelniej, zadrżała i ściągnęła bawi. Mogłaby przysiąc, że kątem oka zauważyła w dali jakieś nieznaczne i nieoczekiwane poruszenie, ale gdy spojrzała w tamtym kierunku, nie zobaczyła nic poza nieruchomym i cichym statkiem o kilkaset jardów za nimi.

Poczuła ulgę, gdy sekundę później ujrzeli Zaphoda, stojącego na szczycie wzniesienia, i dającego im znaki, aby podeszli bliżej.

Wyglądał na podnieconego, ale nie słyszeli dokładnie, co mówił, z powodu rozrzedzonej atmosfery i wiejącego wiatru.

Podchodząc do szczytu wzniesienia, zdali sobie sprawę, że jest ono okrągłe — coś w rodzaju krateru o średnicy mniej więcej stu pięćdziesięciu jardów. Wokół zewnętrznej, opadającej w dół krawędzi krateru ziemia pokryta była czerwono-czarnymi strzępami. Zatrzymali się, aby spojrzeć na jeden z nich. Był mokry i gumowaty.

Z nagłym przerażeniem zdali sobie sprawę, że jest to świeże mięso wieloryba!

Na szczycie krawędzi spotkali Zaphoda.

— Spójrzcie — wskazał im wnętrze krateru. Leżały tam roztrzaskane szczątki samotnego kaszalota, który nie żył wystarczająco długo, aby rozczarować się do słęgo losu.

Ciszę zakłóciły jedynie niezbyt głośne, mimowolne spazmy wydobywające się z gardła Trillian.

— Przypuszczam, że nie ma sensu próbować go pogrzebać? — mruknął Artur i natychmiast pożałował, że to powiedział.

— Chodźcie — rzekł Zaphod i zaczął schodzić w głąb krateru.

— Co, na dół? — zapytała Trillian z gwałtowną odrazą.

— Tak — odrzekł Zaphod. — Chodźcie, chcę wam coś pokazać.

— Widzimy to — stwierdziła Trillian.

— Nie to — powiedział Zaphod niecierpliwie. Coś innego. No, chodźcie!

Zawahali się wszyscy.

— No, zejździe tu — nalegał Zaphod. — Znalazłem drogę do środka.

— Do środka? — zapytał ze zgrozą Artur.

— Do wnętrza planety! Podziemny korytarz. Odkryła go siła upadku wieloryba i właśnie tam musimy zejść. Tam, gdzie noga człowieka nie powstała przez pięć milionów lat, w samą otchłań czasu...

Marvin znów zaczął nucić ironicznie. Zaphod uderzył go, więc przestał.

Z lekkim dreszczem wstrętu zeszli za Zaphodem po nachyleniu do wnętrza krateru, usilnie starając się nie patrzeć na jego nieszczęsnego twórcę.

— Życie... — stwierdził Marvin smętnie. — Możesz na nie pluć, możesz je ignorować, ale nie możesz go polubić!

W miejscu upadku wieloryba ziemia zapadła się, odsłaniając sieć przejść i korytarzy, teraz zawalonych głównie odłamkami szklanymi i wnętrznościami zwierzęcia. Zaphod zaczął torować drogę do jednego z korytarzy, ale Marvin był w stanie zrobić to nieco szybciej. Poczuli podmuch przejmująco zimnego powietrza ciemnych czeluści, a Zaphod skierował do środka światło latarki. Niewiele jednak mogli zobaczyć.

— Według legendy — rzekł — Magratheanie większość życia spędzali pod ziemią.

— Dlaczego? — spytał Artur. — Powierzchnia była zbyt zanieczyszczona czy przeludniona?

— Nie, chyba nie — odpowiedział Zaphod. — Myślę, że po prostu nie podobała im się specjalnie.

— Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? — spytała Trillian, zaglądając nerwowo w ciemność. — Wiesz, że już raz zostaliśmy zaatakowani.

— Kochanie, masz moje słowo, że żyjąca populacja tej planety równa się zero plus nasza czwórka. Wejźmy więc do środka. Ee, hej, Ziemianinie...

— Artur — powiedział Artur.

— Tak, no więc, czy mógłbyś zatrzymać tego robota przy sobie i, no wiesz, pilnować tego końca korytarza, dobra?

— Pilnować? — spytał Artur. — Przed czym? Sam powiedziałeś przed chwilą, że nikogo tu nie ma.

— No, tak, po prostu dla bezpieczeństwa, dobrze? — rzekł Zaphod.

— Czyjego? Twojego czy mojego?

— Dobry chłopak! Okay, schodzimy.

Zaphod zszedł z trudem do wnętrza, a za nim Trillian i Ford.

— Mam nadzieję, że spędzicie tam czas naprawdę nieprzyjemnie! — zawołał z rozzaleniem Artur.

— Nie przejmuj się — pocieszył go Marvin. — Na pewno bardzo nieprzyjemnie.

Po kilku sekundach zniknęli z pola widzenia. Rozdrażniony Artur zatupał kilka razy, lecz po chwili doszedł do wniosku, że grób wieloryba nie jest w gruncie rzeczy najodpowiedniejszym miejscem do tupania.

Marvin przyglądał mu się przez moment z niechęcią, a potem wyłączył się.

Zaphod schodził szybko w głąb korytarza. Był zdenerwowany jak diabli, ale próbował to ukryć, krocząc zdecydowanie. Omiatał wnętrza światłem latarki. Ściany pokryte były ciemnymi, zimnymi w dotyku kafłami, a powietrze czuć było stęchlizną.

— A nie mówiłem? — stwierdził. — Zamieszкана planeta. Magrathea.

— I pomaszzerował dalej przez śmieci i rumowisko zaścielające kafłowy chodnik.

Trillian nasunęło się nieodparte skojarzenie z londyńskim metrem, chociaż nie było ono aż tak zrujnowane i brudne.

Od czasu do czasu kafle na ścianach ustępowały miejsca dużym mozaikom — były to proste, geometryczne wzory w jaskrawych kolorach. Trillian zatrzymała się i przyjrzała uważnie jednemu z nich, ale nie mogła dopatrzeć się żadnego znaczenia.

— Hej, wiesz może, co to za dziwne symbole? — zawołała do Zaphoda.

— Myślę, że to po prostu jakieś dziwne symbole — odpowiedział, prawie nie odwracając się.

Trillian wzruszyła ramionami i poszła za nim.

Co jakiś czas z prawej lub lewej strony mijali niewielkie pomieszczenia wypełnione, jak

odkrył Ford, porzuconym sprzętem komputerowym. Zaciągnął do jednego z nich Zaphoda, aby rzucił na nie okiem. Trillian weszła za nimi.

— Spójrz — rzekł Ford. — Uważasz, że to jest Magrathea...

— Tak — zgodził się Zaphod. — I słyszeliśmy wszyscy głos, no nie?

— Okay, na moment przekonałeś mnie, że to jest Magrathea. Ale jak na razie nie powiedziałeś ani słowa o tym, jak u diabła ją znalazłeś. Nie zajrzałeś po prostu do atlasu gwiazd, to pewne.

— Badania. Archiwa rządowe. Praca detektywistyczna. Trochę szczęścia. Trochę domysłów. Drobiazg.

— I wtedy ukradłeś „Złote Serce”, żeby jej szukać?

— Ukradłem „Złote Serce”, żeby szukać mnóstwa rzeczy.

— Mnóstwa rzeczy? — zapytał zaskoczony Ford. Na przykład jakich?

— Nie wiem.

— Co takiego?

— Nie wiem, czego szukam.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ... ponieważ... wydaje mi się, że to może dlatego, że gdybym wiedział, nie mógłbym ich szukać.

— Zwariowałaś!?

— To możliwość, której nie udało mi się jeszcze wyeliminować — powiedział cicho Zaphod. — Wiem o sobie tylko tyle, ile pozwala obecny stan mojego umysłu. A jego obecny stan nie jest dobry.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, a Ford wpatrywał się w Zaphoda z nagłym niepokojem.

— Posłuchaj, przyjacielu — zaczął w końcu — jeśli chcesz...

— Nie, poczekaj... Coś ci powiem — rzekł Zaphod. — Wiele rzeczy robię na żywioł.

Wpada mi do głowy jakiś pomysł, hej, dlaczego by nie, no i robię to. Postanowiłem, że zostanę prezydentem Galaktyki i po prostu tak się stało, żadnych problemów. Wpadłem na pomysł, żeby ukraść ten statek. Wpadłem na pomysł, żeby poszukać Magrathei i to wszystko po prostu się staje. Tak, zastanawiam się, w jaki sposób można to najlepiej zrobić, owszem, ale zawsze mi się udaje. To jakby mieć galaktyczną kartę kredytową, która ciągle działa, chociaż nigdy nie wysyłasz czeków. A za każdym razem, kiedy chcę się zastanowić, dlaczego chcę coś zrobić, jak wpadłem na to, jak to załatwić, zaczynam odczuwać przemożne pragnienie, żeby przestać o tym myśleć! Tak jak czuję to teraz. Mówić o tym to naprawdę spory wysiłek. — Zaphod przerwał. Przez chwilę panowała cisza, a potem zmarszczył brwi i ciągnął dalej: — Wczoraj w nocy znowu się tym martwiłem.

Tym, że część mojego umysłu najwyraźniej nie pracuje tak jak powinna. I przyszło mi do głowy, że wygląda to tak, jak gdyby ktoś inny używał mojego umysłu do wpadania na dobre pomysły, bez mojego udziału. Połączyłem te dwie rzeczy i doszedłem do wniosku, że być może ktoś odłączył do tego celu część mojego umysłu, i właśnie dlatego nie mogę jej używać. Zastanawiałem się, czy jest jakiś sposób, w który mógłbym to sprawdzić... Poszedłem więc do części medycznej statku i podłączyłem się do ekranu encefalograficznego. Zrobiłem sobie wszystkie główne testy sprawdzające na obu głowach.

Wszystkie testy, którym musiałem się poddać pod kontrolą rządowych oficerów medycznych, zanim moja nominacja na prezydenta mogła być zatwierdzona. Nie wykazały niczego, a przynajmniej niczego nowego. Wykazały, że jestem inteligentny, pomysłowy, nieodpowiedzialny, nie zasługujący na zaufanie, ekstrawertyczny, nic, czego byś się sam nie

domyślał. Żadnych innych anomalii. Zacząłem więc wymyślać inne testy, zupełnie na ślepo. Nic. Potem próbowałem nałożyć wyniki z jednej głowy na wyniki z drugiej. Ciągłe nic. W końcu zacząłem lekko wariować, bo uznałem to wszystko za nic innego jak atak paranoi. Ostatnia rzecz, jaką zrobiłem przed spakowaniem wszystkiego, to wziąłem ten nałożony obraz z obu głów i popatrzyłem na niego przez zielony filtr.

Pamiętasz, że zawsze byłem przesądny na punkcie zielonego koloru, kiedy byłem smarkaczem? Zawsze chciałem być pilotem jednego z tych statków handlowych, pamiętasz?

— Ford skinął głową. — I wtedy zobaczyłem — stwierdził Zaphod. — Jasne jak słońce. Całe zespoły w środku obu mózgów, powiązane wyłącznie ze sobą na wzajem i z niczym innym, co je otaczało. Jakiś sukinsyn wypalił wszystkie synapsy i spowodował uraz elektroniczny w tych dwóch bryłach mózdku.

Ford gapił się na niego osłupiały i przerażony. Trillian pobladła.

— Ktoś ci to zrobił? — wyszeptał Ford.

— Zgadza się.

— Ale domyślasz się, kto to mógł być?! I dlaczego?!

— Dlaczego? Tego mogę się tylko domyślać. Ale wiem, kto to był ten sukinsyn.

— Wiesz? Jakim cudem?

— Bo wypalił swoje inicjały w skanteryzowanych synapsach. Żebym mógł je sobie zobaczyć.

Ford gapił się na niego ze zgrozą, czując przebiegające mu po plecach ciarki.

— Inicjały? Wypalone w twoim mózgu?!

— Zgadza się.

— Na litość boską, jakie?!

Zaphod popatrzył na niego przez chwilę w milczeniu, a potem odwrócił wzrok.

— Z. B. — powiedział cicho.

W tym momencie zatrasnęła się za nimi stalowa przegroda i pomieszczenie zaczął wypełniać gaz.

— Opowiem wam o tym później — rzekł krztusząc się Zaphod i cała trójka straciła przytomność.

ROZDZIAŁ 21

Na powierzchni Magrathei przechadzał się Artur. Był w bardzo ponurym nastroju.

Ford przezornie zostawił mu dla zabicia czasu swój egzemplarz przewodnika „Autostopem przez Galaktykę”. Artur na chybił trafił nacisnął kilka guzików.

Przewodnik „Autostopem przez Galaktykę” jest książką szalenie nierówną i zawiera wiele fragmentów, które po prostu w danej chwili wydawały się wydawcom niezłym pomysłem.

Jeden z nich (ten właśnie, na który natknął się Artur) relacjonuje przypuszczalne doświadczenia pewnego Veeta Voojagiga, spokojnego studenta Uniwersytetu w Maximegalon. Był on na najlepszej drodze do błyskotliwej kariery naukowej, zgłębiając starożytną filologię, etykę transformacyjną i falowoharmoniczną teorię percepcji historycznej, gdy nagle, po nocy spędzonej na piciu Pangalaktycznego Dynamitu Pitnego z Zaphodem Beeblebroxem, popadł w nasilającą się depresję na punkcie problemu, co stało się ze wszystkimi długopisami, które kupił w ciągu ostatnich kilku lat.

Potem nastąpił długi okres dociekliwych badań, podczas którego odwiedził wszystkie główne centra utraty długopisów w całej Galaktyce. Ostatecznie stworzył osobliwą teorię,

która nawet podziałała na wyobraźnię opinii publicznej w onym czasie. Gdzieś w kosmosie, głosiła owa teoria, obok wszystkich planet zamieszkałych przez humanoidy, gadoidy, ryboidy, wędrowne drzewoidy i superinteligentne odcienie błękitu, istniała także planeta całkowicie oddana we władanie długopisoidalnym formom życia. I na tę właśnie planetę udawały się nie pilnowane długopisy, prześlizgując się cicho przez wydrążone przez robaki dziury w przestrzeni do świata, gdzie — jak wiedziały — czeka je jedyny w swoim rodzaju długopisoidalny tryb życia, dostarczający potrzebnych długopisom bodźców i ogólnie zapewniający długopisoidalny odpowiednik godziwego życia.

I, jak to bywa z teoriami, wszystko szło miło i gładko do momentu, w którym Veet Voojagig obwieścił znieścacka, że znalazł tę planetę i że pracował tam przez jakiś czas jako kierowca limuzyny tanich, zielonych jednorazówek. Został wtedy osadzony w zakładzie zamkniętym, gdzie napisał książkę, a następnie wysłany na zesłanie podatkowe, co stanowi zazwyczaj przeznaczenie tych, którzy koniecznie chcą publicznie robić z siebie idiotów.

Gdy pewnego dnia wysłano ekspedycję w koordynaty przestrzenne, które podał Voojagig, odkryto jedynie mały asteroid zamieszkały przez samotnego starego mężczyznę. Twierdził on uparcie, że wszystko jest nieprawdą, chociaż później odkryto, iż kłamał.

Pozostaje jednakże kwestia zarówno tajemniczych sześćdziesięciu tysięcy altairiańskich dolarów, które wpływają co roku na jego brantisvogońskie konto bankowe, jak i oczywiście bardzo dochodowego handlu używanymi długopisami Zaphoda Beeblebroxa...

Artur przeczytał to i odłożył książkę.

Robot ciągle siedział w tym samym miejscu, kompletnie bezwładny.

Artur wstał i wspiał się na szczyt krateru. Przespacerował się po jego obwodzie, oglądając olśniewający zachód dwóch słońc nad Magrathea.

Zszedł z powrotem do krateru i obudził robota, bo nawet robot w stanie maniakalnej depresji to lepszy rozmówca niż żaden.

— Zapada noc — zagadnął go. — Zobacz, pokazują się gwiazdy.

Z serca czarnej mgławicy można zobaczyć bardzo niewiele gwiazd, a i to bardzo słabo, niemniej jednak trochę gwiazd jest widocznych.

Robot spojrzał na nie posłusznie, a potem skierował wzrok na Artura.

— Widzę — stwierdził. — Ohydne, prawda?

— Ale ten zachód słońca! Nie widziałem czegoś takiego w moich najśmielszych marzeniach... Dwa słońca! Jak góry ognia płonące na niebie!

— Widziałem to już — mruknął Marvin. — Nic nie warto.

— Tam, skąd pochodzę, było tylko jedno słońce — nie ustępował Artur. — Wiesz, jestem z planety, która nazywała się Ziemia.

— Wiem — odpowiedział Marvin.

— Ciągle o tym mówisz. Brzmi to okropnie.

— Wcale nie, to było piękne miejsce.

— Były tam oceany?

— Oczywiście — westchnął Artur. — Wielkie, bezkresne, falujące, błękitne oceany...

— Nie cierpię oceanów — stwierdził Marvin.

— Powiedz mi — zainteresował się Artur. — Dobrze żyjesz z innymi robotami?

— Nienawidzę ich — odpowiedział Marvin. — Dokąd się wybierasz?

Artur nie mógł tego dłużej wytrzymać. Znowu wstał.

— Chyba pójde trochę się przejść — rzekł.

— Nie mam do ciebie żalu — powiedział Marvin i doliczył do pięciuset dziewięćdziesięciu siedmiu miliardów owiec, zanim zasnął sekundę później.

Artur zrobił kilka wymachów ramionami, aby pobudzić krążenie. Powłókł się znowu w górę krateru. Ponieważ atmosfera była bardzo rzadka, a na niebie nie świecił księżyc, noc zapadła bardzo szybko i zapanowała kompletna ciemność. Z tego powodu Artur praktycznie nadepnął na starego człowieka, zanim go zauważył.

ROZDZIAŁ 22

Stał zwrócony plecami do Artura, przyglądając się ostatnim promieniom światła niknącego za horyzontem. Był dość wysoki, stary i ubrany w długą, szarą togę. Kiedy odwrócił się, Artur zobaczył jego twarz, szczupłą i pełną godności, zatroskaną, lecz nie nieuprzejmą; ten rodzaj twarzy, który jest skarbem budzącego zaufanie urzędnika bankowego. Ale nie odwrócił się jeszcze, nawet po to, żeby zareagować na okrzyk zaskoczenia Artura.

W końcu ostatnie promienie słońca zniknęły całkowicie i wtedy się odwrócił. Jego twarz wciąż była oświetlona i kiedy Artur rozejrzał się, żeby znaleźć źródło światła, zobaczył, że kilka jardów dalej stał jakiś niewielki pojazd — domyślił się, że był to mały poduszkowiec. Pojazd rozsiewał wokół siebie lekką poświatę.

Człowiek spojrzał na Artura jak gdyby ze smutkiem.

— Wybrałeś zimną noc na odwiedzin na naszej martwej planecie — przemówił.

— Kim... kim jesteś? — wyjąkał Artur.

Człowiek odwrócił wzrok, a na jego twarzy znów pojawiło się coś w rodzaju smutku.

— Moje imię jest nieważne — rzekł.

Wyglądało na to, że jego umysł jest zajęty czymś innym i nie spieszyło mu się najwyraźniej do nawiązywania rozmowy. Artur poczuł się niezręcznie.

— Ja... eee... przestraszyłeś mnie — powiedział w końcu nieprzekonująco.

Człowiek znowu się rozejrzał i lekko uniósł brwi.

— Hmmm? — zapytał.

— Powiedziałem, że mnie przestraszyłeś.

— Nie obawiaj się niczego, nie zrobię ci krzywdy.

Artur ściągnął brwi.

— Ale strzelałeś do nas! Wysłałeś przeciwko nam rakiety...

Człowiek spojrzał w głąb krateru. Lekki blask z oczu Marvinina rzucał bardzo słabe, czerwone cienie na szczątki wieloryba.

Człowiek zachichotał cicho.

— Automatyczny system — stwierdził z lekkim westchnieniem. — Starożytne komputery, które zajmują wnętrza planety, zabijają czas długich, ciemnych milionów lat, a wieki wydają się tysiącleciami ich zakurzonym bankom pamięci. Myślę, że chcą sobie czasem postrzelać dla ożywienia monotonii. Spojrzał poważnie na Artura i dodał: — Wiesz, jestem wielkim entuzjastą nauki.

— O... naprawdę? — odezwał się Artur, któremu dziwny i łagodny sposób bycia tego człowieka zaczął wydawać się niepokojący.

— Tak — potwierdził stary i po prostu znowu przestał się odzywać.

— Aaa... — powiedział Artur — eee...

Miał dziwne uczucie, jak ktoś przyłapan na cudzołóstwie, kto jest zdumiony, gdy mąż kobiety wchodzi do sypialni, zmienia spodnie, rzuca kilka zdawkowych uwag na temat pogody i wychodzi.

— Wydajesz się niespokojny — zauważył stary człowiek z uprzejmym zatroskaniem.

— Nie, skądże... To znaczy, owszem. W gruncie rzeczy, widzisz, nie byliśmy przygotowani, że naprawdę kogoś tu zastaniemy. Wydawało się, że wy wszyscy nie żyjecie czy coś w tym rodzaju...

— Nie żyjemy? — zdziwił się stary człowiek. — Wielkie nieba, nie! Po prostu spaliśmy.

— Spaliście? — powtórzył Artur z niedowierzaniem.

— Tak, chcieliśmy przespać recesję ekonomiczną rzekł stary, któremu było najwyraźniej wszystko jedno, czy Artur zrozumiał choć jedno słowo, czy nie.

Artur znowu musiał go zagadnąć.

— Eee, recesję ekonomiczną?

— No cóż, widzisz, pięć milionów lat temu gospodarka Galaktyki załamała się, i widząc, że budowane na zamówienie planety są raczej artykułem luksusowym... — przerwał i spojrzał na Artura. — Wiesz, że budowaliśmy planety, prawda? — zapytał uroczyście.

— No, owszem — odpowiedział Artur. — Domyśliłem się...

— Fascynujący przemysł — rzekł starzec i w jego oczach pojawił się wyraz tęsknoty.

— Najbardziej lubiłem rzeźbienie wybrzeży. Mogłem bez końca bawić się szlifowaniem fiordów... Tak czy inaczej — rzekł, wracając do przerwanego wątku — nadeszła recesja ekonomiczna i doszliśmy do wniosku, że zaoszczędzimy sobie mnóstwa kłopotów, jeżeli po prostu ją prześpimy. Zaprogramowaliśmy więc nasze komputery, aby zbudziły nas, kiedy recesja się skończy. — Stłumił lekkie ziewnięcie i mówił dalej: — Komputery zostały podłączone do Galaktycznej Giełdy Papierów Wartościowych, aby obudzić nas wtedy, gdy wszyscy odbudują swoją gospodarkę na tyle, by mogli pozwolić sobie na nasze dosyć drogie usługi...

Artur, który regularnie czytywał „Gwardiana”, był tym głęboko wstrząśnięty.

— To dosyć nieuczciwy sposób, nie sądzisz?

— Naprawdę? — spytał tamten łagodnie. — Przykro mi, ale widocznie nie jestem na bieżąco. — Wskazał wewnątrz krateru: — Czy ten robot jest twój?

— Nie — odpowiedział cienki, metaliczny głos z głębi krateru. — Jestem swój.

— Jeśli można to nazwać robotem — mruknął Artur. — To raczej coś w rodzaju elektronicznej maszyny narzekającej.

— Przywołaj go — rzekł stary człowiek.

Artura zaskoczyła nuta stanowczości, która nagle pojawiła się w jego głosie. Zawołał Marvina, który powłókł się w górę stoku, udając, że jest bardzo kulawy, choć oczywiście nie był.

— Zmieniłem zdanie, zostaw go tutaj. Musisz pójść ze mną. Zanosi się na wielkie wydarzenia — powiedział stary.

Odwrócił się w kierunku swojego pojazdu, który zaczął bezszelestnie przybliżać się do nich, chociaż nie otrzymał żadnego sygnału.

Artur popatrzył na Marvina, który znowu odegrał wielką scenę pełnego wysiłku odwracania się i mozolnego schodzenia z powrotem do krateru, mamrocząc do siebie jakieś cierpkie komentarze.

— Chodź! — zawołał człowiek. — Chodź, jest już późno.

— Późno? — spytał Artur.

— Jak się nazywasz, ludzka istoto?

— Dent. Artur Dent — rzekł Artur.

— A więc chodź, zanim będzie za późno, Dentarturdent — powiedział surowo stary człowiek. — To coś w rodzaju groźby, jak widzisz. — W jego oczach znowu pojawił się wyraz zadumy. — Ja osobiście nigdy nie byłem w nich zbyt dobry, ale powiedziano mi, że są bardzo skuteczne.

Artur zamrugał gwałtownie.

— Co za niezwykły człowiek — mruknął do siebie.
— Słucham?
— Nic, bardzo przepraszam — rzekł Artur z zakłopotaniem. — Dokąd jedziemy?
— Wsiądź do mojego samochodu — odpowiedział stary, wskazując gestem miejsce w pojeździe, który zatrzymał się cicho obok nich. — Jedziemy głęboko do wnętrza planety, gdzie nasza rasa powraca do życia po trwającym pięć milionów lat śnie. Magrathea budzi się.
Artur zadrżał mimowolnie, zajmując miejsce obok starego człowieka. Obcość tego wszystkiego i lekkie kołysanie pojazdu, który wzbił się w nocne niebo, całkowicie wytrąciły go z równowagi.
Popatrzył na twarz starego człowieka oświetloną nikłym blaskiem małych światełek na tablicy rozdzielczej.
— Przepraszam bardzo — odezwał się. — Jak ty się właściwie nazywasz?
— Jak się nazywam? — powtórzył człowiek i ten sam odległy smutek znów pojawił się na jego twarzy. Milczał przez chwilę. — Nazywam się — powiedział — Slartibartfost.
Artur prawie się zakrztusił.
— Przepraszam bardzo? — wybełkotał.
— Slartibartfost — powtórzył spokojnie stary człowiek.
— Slartibartfost?
Stary człowiek spojrzał na niego z powagą.
— Mówiłem, że to nieważne — stwierdził.
Pojazd mknął przez noc.

ROZDZIAŁ 23

Rzeczą ważną i powszechnie znaną jest, że nie zawsze wszystko jest tak, jak się wydaje. Na przykład na planecie Ziemia ludzie zawsze uważali, że są bardziej inteligentni od delfinów, ponieważ tyle udało im się osiągnąć — koło, Nowy Jork, wojny i tak dalej a wszystko, co kiedykolwiek osiągnęły delfiny, to beztrudne moczenie się w wodzie. I na odwrót, delfiny zawsze uważały, że są znacznie bardziej inteligentne niż ludzie — z dokładnie tych samych powodów.

Ciekawy jest fakt, iż delfiny od dawna wiedziały o nadciągającej zagładzie planety Ziemia i próbowały różnymi sposobami ostrzec ludzkość o grożącym jej niebezpieczeństwie. Jednakże większość ich prób porozumienia została błędnie zinterpretowana jako zabawne usiłowanie podrzucania piłek futbolowych czy gwizdania, żeby dostać jakiś smaczny kąsek, więc ostatecznie poddały się i opuściły Ziemię sobie tylko znanym sposobem na krótko przed przybyciem Vogonów.

Ostatnia wiadomość delfinów została zinterpretowana jako zadziwiająco wyrafinowana próba wykonania podwójnego salta do tyłu poprzez obręcz podczas gwizdania „Gwiazdzistego Sztandaru”, podczas gdy prawdziwa wiadomość brzmiała: Na razie i dzięki za wszystkie ryby.

W rzeczywistości na całej planecie żył tylko jeden gatunek bardziej inteligentny niż delfiny, a jego przedstawiciele spędzali wiele czasu w laboratoriach behawiorystów, biegając po labiryntach i przeprowadzając przerażająco eleganckie i subtelne eksperymenty na ludziach. Fakt, iż również tym razem ludzie całkowicie błędnie zinterpretowali ich wzajemny stosunek, był całkowicie po myśli owych stworzeń.

ROZDZIAŁ 24

Pojazd mknął cicho poprzez zimną ciemność pojedyncze, słabe światelko, zupełnie samotne pośród głębokiej, magratheańskiej nocy. Towarzysz Artura wydawał się całkowicie zatopiony we własnych myślach, a gdy Artur próbował kilkakrotnie nawiązać z nim rozmowę, tamten pytał po prostu, czy jest mu wystarczająco wygodnie i milkł znowu.

Artur próbował ocenić prędkość, z jaką się poruszali, ale ciemność była absolutna i nie było żadnych punktów orientacyjnych. Wrażenie ruchu było tak nieznaczne i delikatne, iż byłby w stanie uwierzyć, że nie poruszają się prawie wcale.

Nagle daleko przed nimi pojawił się mały punkcik światła i w przeciągu kilku sekund powiększył się tak znacznie, że Artur zdał sobie sprawę, iż zbliżają się do niego z ogromną prędkością. Próbował rozpoznać, jaki to może być pojazd. Wpatrywał się w niego, ale nie mógł dostrzec żadnego wyraźnego kształtu, toteż aż podskoczył ze strachu, gdy nagle ich pojazd obniżył ostro lot i wziął kurs dokładnie na zderzenie.

Względna prędkość pojazdów wydawała się niewiarygodna i Artur zaledwie zdążył wciągnąć powietrze, gdy było już po wszystkim. Następną rzeczą, która do niego dotarła, był widok wścieklej, rozmazanej, srebrzystej poświaty, która zdawała się go otaczać.

Gwałtownie odwrócił głowę do tyłu i ujrzał mały, czarny, szybko kurczący się punkt. Potrwało kilka sekund, zanim zrozumiał, co się stało.

Zanurkowali w podziemny tunel. Prerażająca prędkość była ich własną prędkością w stosunku do światła, które było nieruchomą dziurą w ziemi, wylotem tunelu.

Wściekła, srebrzysta poświata była kolistą ścianą tunelu, w którym pędzili z prędkością najprawdopodobniej kilkuset mil na godzinę.

Artur przerażony zamknął oczy.

Po upływie czasu, którego nawet nie próbował oceniać, wyczuł że ich prędkość odrobinę zmalała. Kilka chwil później zdał sobie sprawę, że stopniowo wytracają prędkość, aby za moment łagodnie się zatrzymać.

Znowu otworzył oczy. Wciąż znajdowali się w srebrnym tunelu, klucząc i lawirując w czymś, co wydawało się chaotyczną płataniną zbiegających się korytarzy. Ostatecznie zatrzymali się w niedużej stalowej sali, która była punktem końcowym także kilku innych tuneli. Na drugim końcu sali Artur zobaczył duży krąg przyćmionego, denerwującego światła. Było ono denerwujące, ponieważ płatało figle oczom — nie można było skoncentrować na nim wzroku ani ocenić, jak daleko czy jak blisko się znajduje. Artur domyślił się (całkowicie błędnie), że jest to ultrafiolet.

Slartibartfost odwrócił się i spojrzał na niego swoimi poważnymi, starymi oczami.

— Ziemianinie — powiedział. — Jesteśmy teraz głęboko w sercu Magrathei.

— Skąd wiesz, że jestem Ziemianinem? — zapytał zaskoczony Artur.

— Wkrótce wszystko stanie się dla ciebie jasne — odpowiedział łagodnie stary człowiek. — A przynajmniej — dorzucił z lekkim powątpiewaniem w głosie — jaśniejsze niż w tej chwili. Powinienem cię ostrzec — ciągnął dalej — że sala, w której za chwilę się znajdziemy, nie istnieje dosłownie we wnętrzu naszej planety. Jest na to odrobinę za... duża. Za chwilę przejdziemy przez bramę do ogromnego obszaru hiperprzestrzeni.

Może to być dosyć nieprzyjemne.

Artur wydał z siebie dźwięki pełne niepokoju. Slartibartfost dotknął guzika i dodał nie całkiem uspokajająco: — Na samą myśl o tym włosy stają mi dęba. Trzymaj się mocno!

Pojazd wystrzelił naprzód, prosto w krąg światła, i Artur zyskał zniecierpliwienie całkiem jasne wyobrażenie tego, jak wygląda nieskończoność.

W rzeczywistości nie była to nieskończoność. Nieskończoność wygląda płasko i nieciekawie. Patrzenie nocą na niebo to patrzenie w nieskończoność — odległość jest niepojęta i dlatego nie ma znaczenia. Sala, w której znalazł się pojazd, w żadnym razie nie była nieskończona, była jedynie bardzo, bardzo, bardzo duża — tak duża, że dawała wrażenie nieskończoności znacznie lepiej niż sama nieskończoność.

Zmysły Artura podskoczyły i zawirowały, gdy poruszając się z ogromną prędkością, jaką rozwijał pojazd, wspinali się powoli przez otwartą przestrzeń, pozostawiając za sobą bramę, przez którą przeszli, jako niewidoczny łebek od szpilki na lśniącej ścianie za nimi.

Ściana. Ściana przerastała wyobraźnię — uwodziła ją i pokonywała. Ściana była tak paralizująco olbrzymia i pionowa, że jej szczyt, dół i boki umykały poza zasięg wzroku.

Sam szok spowodowany zawrotem głowy wystarczał, żeby zabić.

Ściana wydawała się idealnie płaska. Jedynie najbardziej czułe laserowe przyrządy pomiarowe mogłyby wykryć, że nie tylko wspinała się najwyraźniej w nieskończoność, nie tylko zawrotnie opadała w dół, nie tylko rozpościerała się w obie strony — ale także się zakrzywiała. Jej boki zbiegały się znów o trzynaście sekund świetlnych dalej. Innymi słowy, ściana była krawędzią pustej sfery — sfery o średnicy ponad trzech milionów mil, zalanej niewyobrażalnym światłem.

— Witaj — powiedział Slartibartfost, gdy maleńki pyłek, którym był pojazd, poruszający się teraz z trzykrotną prędkością dźwięku, niedostrzegalnie pełznął naprzód w przestrzeń, przy której umysł odmawiał posłuszeństwa. — Witaj — powiedział — w naszej hali fabrycznej!

Artur rozejrzał się wokół z czymś w rodzaju pełnego zgrozy podziwu. Przed nimi — w odległości, której nie mógł ani ocenić, ani nawet odgadnąć — znajdował się szereg dziwacznych konstrukcji, misternych koronek z metalu i światła, zawieszonych w powietrzu obok niewyraźnych, sferycznych kształtów.

— Właśnie tutaj — rzekł Slartibartfost — budujemy większość naszych planet.

— Chcesz powiedzieć — odezwał się Artur, z trudem wymawiając słowa — że znowu zaczynacie to robić?

— Nie, nie! Wielkie nieba, nie! — wykrzyknął stary człowiek. — Galaktyka nie jest jeszcze wystarczająco bogata, żeby nas utrzymać. Zostaliśmy obudzeni, aby wykonać tylko jedno niezwykle zamówienie dla szczególnie... wyjątkowych klientów z innego wymiaru. Może cię to zainteresować... O, tam, daleko przed nami!

Artur powiódł wzrokiem w kierunku wskazywanym przez starego człowieka i dostrzegł po chwili unoszącą się w powietrzu konstrukcję. Była to rzeczywiście jedyna z wielu konstrukcji wykazująca jakieś oznaki aktywności wokół siebie, chociaż było to bardziej podświadome wrażenie niż coś bardziej uchwytne.

Jednakże w tej chwili po konstrukcji przebiegł błysk światła i ukazał na moment wzory, które powstawały właśnie na ciemnej sferze wewnątrz niej. Wzory znane Arturowi, nieregularne wybrzuszone kształty, które były dla niego tak znajome jak kształty słów — część umeblowania jego umysłu. Przez kilka sekund siedział w osłupiałym milczeniu, a obrazy gnały tam i z powrotem po jego umyśle, usiłując znaleźć miejsce, w którym mogłyby osiąść i nabrać sensu.

Część jego mózgu mówiła mu, że doskonale wie, na co patrzy i co przedstawiają kształty, podczas gdy pozostała część całkiem rozsądnie odmawiała zaakceptowania tego pomysłu i zrzekała się odpowiedzialności za jakiegokolwiek dalsze myślenie w tym kierunku.

Błysk pojawił się znowu i tym razem nie mogło być wątpliwości.

— Ziemia... — wyszeptał Artur.

— Cóż, dokładnie mówiąc, Ziemia Numer Dwa skorygował pogodnie Slartibartfost.

— Wykonujemy kopię naszych oryginalnych projektów.

Zapadła cisza.

— Czy chcesz powiedzieć — rzekł Artur wolno i z opanowaniem — że to wy pierwotnie... zrobiliście Ziemię?

— Oczywiście — potwierdził Slartibartfost. — Czy byłeś kiedykolwiek w miejscu... wydaje mi się, że nazywało się Norwegia?

— Nie — odpowiedział Artur. — Nie, nie byłem.

— Szkoda — odrzekł Slartibartfost. — Ja to zrobiłem. Zostało nagrodzone. Wiesz, ślicznie sfalowane brzegi. Byłem naprawdę zmartwiony, kiedy usłyszałem o jej zniszczeniu.

— Ty byłeś zmartwiony!

— Tak. Pięć minut później i nie miałoby to już tak wielkiego znaczenia. To był naprawdę szokujący pech.

— Co? — spytał Artur.

— Myszy były wściekle.

— Myszy były wściekle?!

— Tak — potwierdził łagodnie stary człowiek.

— Tak, i pewnie tak samo psy i koty, i dziobaki brunatne, ale...

— Ale widzisz, one zapłaciły za to, prawda?

— Posłuchaj — odezwał się zdecydowanie Artur. — Czy zaoszczędziłoby ci to dużo czasu, gdybym poddał się i zwariował od razu?

Przez chwilę w mknącym pojeździe panowało dość niezręczne milczenie, a potem stary człowiek zaczął cierpliwie wyjaśniać: — Ziemianinie, planeta, na której mieszkałeś, była zamówiona, opłacona i kierowana przez myszy. Uległa zniszczeniu na pięć minut przed osiągnięciem celu, dla którego ją zbudowano, i dlatego musimy zbudować jeszcze jedną.

Tylko jedno słowo dotarło do świadomości Artura.

— Myszy? — jęknął.

— Dokładnie, Ziemianinie.

— Przepraszam, ale czy na pewno mówimy o małych, futrzanych, zwariowanych na punkcie sera stworzeniach, na których widok kobiety z krzykiem wskakiwały na stoły w komediach z wczesnych lat sześćdziesiątych?

Slartibartfost zakaszał uprzejmie.

— Ziemianinie — stwierdził. — Chwilami trudno mi zrozumieć twój sposób wyrażania się. Pamiętaj, że przespaliśmy we wnętrzu tej planety pięć milionów lat i nic nie wiem o tych komediach z wczesnych lat sześćdziesiątych, o których mówisz. Widzisz, te stworzenia, które nazywam myszami, nie są dokładnie takie, jakie ci się wydają. Są jedynie projekcją w nasz wymiar ogromnych, hiperinteligentnych, wielowymiarowych istot.

Całe to zamieszanie z serem i piszczeniem to tylko zasłona dymna. — Stary człowiek przerwał i podjął znów po chwili ze współczującym wyrazem twarzy: — Obawiam się, że robiły na was eksperymenty.

Artur myślał o tym przez sekundę i jego twarz rozjaśniła się.

— Nie, nie — powiedział. — Teraz już widzę źródło nieporozumienia. Nie, widzisz, chodzi o to, że to my robiliśmy na nich eksperymenty. Były często używane w badaniach behawiorystów, Pawłowa i tym podobnych. Naukowcy przeprowadzali na nich różne testy, myszy uczyły się włączać dzwonki, biegać po labiryntach i inne takie rzeczy i w ten sposób badano całą istotę procesu uczenia się. Z obserwacji ich zachowania mogliśmy dowiedzieć się mnóstwa rzeczy o naszym własnym...

Głos Artura ucichł.

— Co za subtelność... — rzekł Slartibartfost. Naprawdę godna podziwu.

— Co? — spytał Artur.

— Jak mogłyby lepiej ukryć swoją prawdziwą naturę i pokierować waszym myśleniem? Nagle pobiec w złą drogę w labiryncie, zjeść zły kawałek sera, niespodziewanie paść trupem z powodu przedawkowania preparatu? Jeśli wszystko jest precyzyjnie wykalkulowane, łączny efekt jest olbrzymi. — Zrobił pauzę dla zwiększenia efektu.

— Widzisz, Ziemianinie, one są naprawdę wybitnie bystrymi, hiperinteligentnymi, wielowymiarowymi istotami. Twoja planeta i mieszkający na niej ludzie tworzyli matrycę organicznego komputera przeprowadzającego program badawczy trwający dziesięć milionów lat... Pozwól, że opowiem ci całą historię. Nie zajmie to zbyt wiele czasu.

— Czas — powiedział słabo Artur — nie należy ostatnio do moich największych problemów.

ROZDZIAŁ 25

Jest oczywiście wiele problemów związanych z życiem, z których kilka najbardziej popularnych to: Dlaczego ludzie się rodzą? Dlaczego umierają? Dlaczego między jednym a drugim chcą spędzać tak wiele czasu, nosząc zegarki elektroniczne?

Wiele milionów lat temu rasa hiperinteligentnych wielowymiarowych istot (których fizyczna manifestacja w ich własnym wielowymiarowym wszechświecie nie jest niepodobna do naszej) miała tak bardzo dosyć ciągłego wyklócania się na temat sensu życia, które nieustannie przerywało ich ulubioną rozrywkę — brockiańskiego altrakrykieta (osobliwa gra, która polegała między innymi na nagłym uderzaniu ludzi bez żadnej widocznej przyczyny i natychmiastowej ucieczce), że postanowiła usiąść i rozwiązać swoje problemy raz na zawsze.

W tym celu zbudowała zdumiewający superkomputer. Był on tak niesłychanie inteligentny, że jeszcze przed podłączeniem swoich banków danych zaczął od „Myślę, więc jestem” i drogą dedukcji doszedł aż do istnienia puddingu ryżowego oraz podatku dochodowego, zanim ktokolwiek zdołał go wyłączyć.

Był rozmiarów sporego miasta. Jego główny pulpit zainstalowany był w specjalnie zaprojektowanym dyrektorskim gabinecie i wmontowany w olbrzymie dyrektorskie biurko z najbardziej szlachetnego ultramahoni wykończonego kosztowną, ultraczerwoną skórą. Poza tym w gabinecie znajdowały się liczne egzotyczne rośliny doniczkowe i gustownie wygrawerowane portrety głównych programistów i ich rodzin. Podłogę pokrywał ciemny, dyskretnie elegancki dywan, a wielkie, okazałe okna wychodziły na okolony drzewami miejski plac.

W dniu Wielkiego Włączenia przybyło dwóch uroczyście ubranych programistów z aktówkami w rękach. Wprowadzono ich do gabinetu. Byli świadomi tego, że reprezentują właśnie całą swoją rasę w jej najważniejszym momencie, ale zachowywali się cicho i dyskretnie. Z szacunkiem usiedli przed biurkiem, utworzyli swoje aktówki i wyjęli oprawne w skórę notesy.

Nazywali się Lunkwill i Fook.

Przez kilka chwil siedzieli w pełnym czci milczeniu, a potem, wymieniwszy bez słowa spojrzenia z Fookiem, Lunkwill pochylił się do przodu i dotknął małej, czarnej tablicy.

Najsubtelniejszy z szumów oznajmił im, że olbrzymi komputer jest włączony. Po krótkiej przerwie przemówił do nich głębokim, czystym i dźwięcznym głosem: — Jakie jest to wielkie zadanie, dla którego ja, Głęboka Myśl, drugi największy komputer wszechświata czasu i przestrzeni, zostałem powołany do istnienia?

Lunkwill i Fook spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— Twoje zadanie, o komputerze... — zaczął Fook. — Nie, poczekaj chwilę, coś tu się nie

zgadza przerwał mu zaniepokojony Lunkwill. — Zaprojektowaliśmy ten komputer właśnie po to, żeby był największym komputerem wszechczasów i nie urządza nas drugi. Głęboka Myśl — zwrócił się do komputera — czy nie jesteś, tak jak miałeś być, największym i najpotężniejszym z komputerów, jakie kiedykolwiek istniały?

— Przedstawiłem siebie jako drugi — oświadczył Głęboka Myśl. — I jestem drugi.

Programiści znów wymienili pełne niepokoju spojrzenia. Lunkwill przełknął ślinę.

— Musi tu tkwić jakiś błąd — rzekł. — Czyż nie jesteś większym komputerem niż Miliardowy Gargantumózg z Maximegalona, który może policzyć wszystkie atomy gwiazdy w ciągu milisekundy?

— Miliardowy Gargantumózg? — zapytał Głęboka Myśl z nie skrywaną pogardą.

— Zwykle liczydło, nie mówmy o nim.

— I czyż nie jesteś — odezwał się Fook, niespokojnie wychylając się naprzód — większym analitykiem niż Googlepleksowy Gwiazdny Myśliciel z Siódmej Galaktyki Światła i Pomysłowości, który może obliczyć trajektorię każdej cząsteczki pyłu podczas pięcioletniej burzy piaskowej na Dangrabadzie Beta?

— Pięcioletnia burza piaskowa? — zapytał wyniośle Głęboka Myśl. — Pytacie o to tego, który rozważał wektory atomów samego Wielkiego Wybuchu? Nie naprzykrzajcie mi się z tymi bzdurami dobrymi dla kieszonkowych kalkulatorów.

Dwóch programistów siedziało przez chwilę w nieprzyjemnej ciszy. Wtem Lunkwill wychylił się znów.

— Lecz czyż nie jesteś — powiedział — bardziej przewrotnym dyskutantem niż Wielki Hiperlobiczny Wszystkowiedzący Awanturk Neutronowy z Ciceronicusa dwanaście, czarodziejski i niezmordowany?

— Wielki Hiperlobiczny Wszystkowiedzący Awanturk Neutronowy — rzekł Głęboka Myśl starannie wymawiając wszystkie „r” — może trzy razy zagadać na śmierć arktuńskiego megaosła, ale tylko ja mogę go potem namówić, żeby poszedł na spacer.

— No to na czym polega problem? — zapytał Fook.

— Nie ma żadnego problemu — stwierdził Głęboka Myśl wspaniale dźwięcznym głosem.

— Po prostu jestem drugim największym komputerem wszechświata czasu i przestrzeni.

— Ale drugim?! — nie ustępował Lunkwill. Dlaczego ciągle powtarzasz, że drugim?

Na pewno nie myślisz o Multicorticoidalnym Perspicutronowym Tytanowym Mędracu, prawda? Ani o Pondermatycznym? Ani o...

Pogardliwe światła rozblęły na konsoli komputera.

— Nie poświęcę nawet jednej jednostki myślowej na tych cybernetycznych prostaków! — zagrmiał. Nie mówię o żadnym z nich, lecz o komputerze, który nadejdzie po mnie!

Fook zaczynał tracić cierpliwość. Odsunął swój notes i mruknął: — Wydaje mi się, że popada niepotrzebnie w mesjanistyczny nastrój.

— Nie wiecie nic o przyszłości — oświadczył Głęboka Myśl. — A mimo to mogę przeprowadzić w moich obwodach nieskończone strumienie delta prawdopodobieństwa przyszłości, aby ujrzeć, że pewnego dnia musi pojawić się komputer, któremu nawet parametrów operacyjnych nie jestem w stanie obliczyć, lecz moim ostatecznym przeznaczeniem jest zaprojektować go.

Fook westchnął ciężko i rzucił spojrzenie Lunkwillowi.

— Możemy wreszcie zadać mu pytanie? — spytał.

Lunkwill powstrzymał go gestem.

— O jakim komputerze mówisz? — zwrócił się do maszyny.

— Teraz nie powiem już nic więcej na ten temat — odrzekł Głęboka Myśl z godnością.

— A więc zapytajcie mnie o coś innego, abym mógł wam odpowiedzieć. Pytajcie.

Programiści wzruszyli ramionami. Fook opanował się.

— O komputerze Głęboka Myśl! — zaczął. Zadanie, do wykonania którego zostałeś zaprojektowany, jest następujące. Chcemy, abyś podał nam... przerwał na moment — ... odpowiedź!

— Odpowiedź!?! — spytał Głęboka Myśl. — Odpowiedź? Na co?

— Życie! — zażądał Fook.

— Wszechświat! — dorzucił Lunkwill.

— Wszystko inne! — powiedzieli chórem.

Głęboka Myśl rozważał to przez chwilę.

— Podchwytliwe — orzekł w końcu.

— Ale możesz to zrobić?

Następna chwila namysłu.

— Tak — powiedział Głęboka Myśl. — Mogę to zrobić.

— A więc odpowiedź istnieje?! — zapytał bez tchu Fook.

— Prosta odpowiedź?! — dodał podekscytowany Lunkwill.

— Owszem — potwierdził Głęboka Myśl. — Życie, wszechświat i wszystko inne.

Owszem, odpowiedź istnieje. Ale — dodał — muszę nad tym pomyśleć.

Nagle zamieszanie zakłóciło uroczysty moment: gwałtownie otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadło dwóch mężczyzn, odpychając bezradnych lokajów, którzy próbowali zastąpić im drogę. Mieli na sobie szorstkie, wyblakłe, błękitne togi i pasy Uniwersytetu Cruxwan.

— Żądamy wpuszczenia! — krzyknął młodszy z nich, ściskając dłonią gardło ślicznej, młodej sekretarki. — Nie macie prawa trzymać nas za drzwiami! — zawołał starszy i wypchnął z powrotem za drzwi jednego z młodszych programistów.

— Żądamy, abyście nie mieli prawa trzymać nas za drzwiami! — wrzeszczał młodszy, chociaż znajdował się bez wątpienia w gabinecie i nikt już nie próbował go wyrzucić.

— Kim jesteście? — zapytał Lunkwill, wstając ze złością. — Czego chcecie?

— Jestem Majikthise! — oznajmił starszy.

— A ja żądam, że jestem Vroomfondel! — wykrzyknął młodszy.

Majikthise odwrócił się do Vroomfondela.

— Zgadza się! — wyjaśnił mu ze złością. — Nie musisz tego żądać.

— W porządku! — wrzasnął Vroomfondel, waląc pięścią w stojące obok biurko.

— Jestem Vroomfondel, i to nie jest żądanie, to jest niepodważalny fakt! Żądamy niepodważalnych faktów!

— Nie! — wykrzyknął Majikthise z irytacją. — To jest właśnie dokładnie to, czego nie żądamy!

Prawie nie robiąc przerwy na oddech, Vroomfondel krzyknął: — Nie żądamy niepodważalnych faktów! To, czego żądamy, to całkowita nieobecność niepodważalnych faktów! Żądam, że mogę być lub mogę nie być Vroomfondelem!

— Ale kim u diabła jesteście?! — zawołał kompletnie zdezorientowany Fook.

— My — wyjaśnił Majikthise — jesteśmy filozofami!

— Chociaż możemy nimi nie być! — dodał Vroomfondel, grożąc palcem programistom.

— Owszem, jesteśmy — powiedział z naciskiem Majikthise. — Jesteśmy tu bez najmniejszych wątpliwości jako przedstawiciele Połączonej Unii Filozofów, Mędrców i Luminarzy oraz innych myślących osób i żądamy wyłączenia tej maszyny. Natychmiast!

— Ale na czym polega problem? — spytał Lunkwill.

— Ja ci powiem, na czym polega problem, bracie — stwierdził Majikthise.

— Rozgraniczenie, to jest problem!

— Żądamy — krzyknął Vroomfondel — aby rozgraniczenie mogło być lub mogło nie być problemem! — Maszyny niech lepiej sobie dodają — powiedział ostrzegawczo Majikthise.

— A my już zajmujemy się prawdami ostatecznymi, wielkie dzięki!

Lepiej sprawdźmy swoją sytuację prawną, bracie! Prawo gwarantuje, że poszukiwanie prawdy ostatecznej jest niezbywalnym przywilejem waszych etatowych myślicieli!

A jeżeli jakaś cholerna maszyna rzeczywiście ją znajdzie, to my natychmiast lądujemy na bruku, tak? Jaki jest pożytek z naszego przesiadywania po nocach i dyskutowania, czy Bóg istnieje, czy nie, jeżeli ta cholerna maszyna po prostu włącza się i następnego dnia podaje ci jego numer telefonu?

— Słusznie! — zawołał Vroomfondel. — Żądamy precyzyjnie zdefiniowanych obszarów wątpliwości i niepewności!

Nagle w gabinecie rozległ się tubalny głos.

— Czy mógłbym w tym punkcie zrobić pewną uwagę? — zapytał Głęboka Myśl.

— Zastrakujemy! — wrzasnął Vroomfondel.

— Zgadza się — potwierdził Majikthise. — Macie jak w banku ogólnokrajowy strajk filozofów!

Poziom szumu w gabinecie nagle wzrósł, gdy kilka pomocniczych wzmacniaczy basów, zamontowanych w dyskretnie rzeźbionych i politurowanych głośnikach gabinetowych, włączyło się, aby dodać mocy głosowi komputera.

— Chciałem jedynie powiedzieć — zagrmiał Głęboka Myśl — że moje obwody są już nieodwołalnie zaangażowane w poszukiwanie odpowiedzi na ostateczne pytanie o życie, wszechświat i wszystko inne. Zrobił pauzę, aby poczuć satysfakcję, że zawładnął uwagą wszystkich, a potem dokończył trochę ciszej: — Ale ten program odrobinę potrwa.

Fook niecierpliwie rzucił okiem na zegarek.

— Jak długo? — spytał.

— Siedem i pół miliona lat — odpowiedział Głęboka Myśl.

Lunkwill i Fook zamrugali zdezorientowani.

— Siedem i pół miliona lat! — krzyknęły z niedowierzaniem.

— Tak — potwierdził Głęboka Myśl. — Przecież powiedziałem wam, że muszę nad tym pomyśleć, prawda? I wydaje mi się, że przeprowadzenie takiego programu z pewnością wywoła ogromne zainteresowanie opinii publicznej całą filozofią. Każdy będzie miał swoją własną teorię, jakiej odpowiedzi ostatecznie udzieli, a kto może bardziej na tym skorzystać niż właśnie wy? Jeśli tylko będziecie nie zgadzać się ze sobą wystarczająco gwałtownie i obrzucać błotem w popularnej prasie, jeśli tylko będziecie mieli sprytnych agentów, możecie urządzić się świetnie na całe życie. Jak wam się to podoba?

Obaj filozofowie gapili się na niego.

— Jasny gwint — odezwał się Majikthise. — To jest właśnie to, co nazywam myśleniem. Cholera, dlaczego nam nigdy nie udaje się wymyślić nic takiego?

— Nie wiem — odszepnął Vroomfondel z mieszaniną lęku i podziwu w głosie.

— Chyba jesteśmy na to zbyt wysoko wyspecjalizowani, Majikthise.

Powiedziawszy to, odwrócili się na pięcie i przekroczyli próg, wchodząc w życie, o jakim nie śniło się im w najśmielszych marzeniach.

— Owszem, bardzo pouczające — powiedział Artur, gdy Slartibartfost przedstawił mu najważniejsze punkty tej opowieści. — Ale nie rozumiem, jaki to ma związek z Ziemią, myszami i całą resztą.

— To dopiero połowa tej historii, Ziemianinie — odrzekł stary człowiek. — Jeżeli pragnąbyś dowiedzieć się, co stało się siedem i pół miliona lat później, w wielkim Dniu Odpowiedzi, pozwól, że zaproszę cię do mojej pracowni, gdzie możesz osobiście przeżyć te wydarzenia, zarejestrowane na taśmie sensomatycznej. To znaczy, jeżeli nie masz ochoty przespacerować się po powierzchni nowej Ziemi. Obawiam się, że nie jest jeszcze wykończona, nie skończyliśmy nawet grzebania w jej skorupie sztucznych szkieletów dinozaurów, no a potem mamy jeszcze do położenia warstwy trzecio — i czwartorzędu, ery kenozoicznej i...

— Nie, dziękuję — przerwał mu Artur. — To nie byłoby to samo.

— Nie — zgodził się Slartibartfost. — Z pewnością nie — i odwrócił swój pojazd z powrotem w kierunku obezwładniającej umysł ściany.

ROZDZIAŁ 27

W pracowni Slartibartfosta panował totalny chaos przypominała ona bibliotekę publiczną w chwilę po wybuchu bomby. Stary człowiek zmarszczył bawi, gdy przekraczali próg.

— Nieszczęśliwy wypadek — wyjaśnił. — W jednym z podtrzymujących życie komputerów wybuchła dioda. Gdy próbowaliśmy przywrócić do życia nasz personel do sprzątnięcia, odkryliśmy, że nie żyją od prawie trzydziestu tysięcy lat. Ciekaw jestem, kto teraz uprzątnie ciała. Usiądź tam, dobrze? Zaraz cię podłączę.

Wskazał gestem krzesło, które wyglądało, jak gdyby było zrobione z kości klatki piersiowej stegozaura.

— Zostało zrobione z kości klatki piersiowej stegozaura — wyjaśnił stary człowiek, grzebiąc pod stertami papieru i przyrządów kreślarskich w poszukiwaniu kawałków przewodów.

— O, mam — powiedział. — Trzymaj je — i podał Arturowi dwie obnażone końcówki przewodów.

W chwili gdy Artur brał je do rąk, poczuł, jak przeleciał przez niego ptak.

Był teraz zawieszony w powietrzu i zupełnie niewidzialny dla samego siebie. Pod nim znajdował się ładny, okolony drzewami miejski plac, wokół którego, jak daleko sięgał wzrok, ciągnęły się białe betonowe budynki o lekkich, przestrzennych kształtach, lecz cokolwiek zniszczone — ściany wielu z nich były popękane i miały zacieki od deszczu. Tego dnia jednak świeciło słońce. Lekki wiaterek delikatnie muskał gałęzie drzew, a osobliwe wrażenie, że wszystkie budynki wydawały z siebie lekki pomruk, było zapewne spowodowane tym, że cały plac i wszystkie ulice wokół niego były szczelnie wypełnione pełnymi radosnego podniecenia ludźmi. Gdzieś niedaleko grał jakiś zespół, jaskrawe flagi łopotały na wietrze i wszędzie panował nastrój karnawału.

Artur czuł się niezwykle samotny, wisząc tak w powietrzu ponad wszystkimi i nie mając nawet ciała, ale zanim zdążył zastanowić się nad tym, ponad placem rozległ się głos proszący wszystkich o uwagę.

Człowiek stojący na jaskrawo udekorowanym podium przed budynkiem, który wyraźnie dominował nad całym placem, zwracał się do tłumu przez Tannoy: — O ludzie, czekający w cieniu komputera Głęboka Myśl! — zawołał. — Czcigodni Potomkowie Vroomfondela i Majikthisea, największych i najbardziej interesujących mędrców, jakich kiedykolwiek znał wszechświat... czas oczekiwania dobiegł końca!

Szaleńcze wiwaty rozległy się wśród tłumu, a w powietrzu pojawiły się flagi i serpentyny. Węższe uliczki wyglądały z góry jak przewrócone na grzbiet stonogi, obłąkańczo wymachujące w powietrzu nogami.

— Siedem i pół miliona lat czekała nasza rasa na ten wielki dzień, miejmy nadzieję, dzień oświecenia! — wykrzyknął mówca. — Dzień Odpowiedzi!

Ekstatyczny tłum znów wybuchnął wiwatami.

— Już nigdy więcej! — wołał mężczyzna. — Nigdy więcej nie obudzimy się rano, zastanawiając się: Kim jestem? Jaki jest mój cel w życiu? Czy naprawdę, kosmicznie biorąc, będzie miało to jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli nie wstanę dziś i nie pójdę do pracy?

Ponieważ dzisiaj poznamy raz na zawsze jasną i prostą odpowiedź na wszystkie te małe, dokuczliwe problemy życia, wszechświata i wszystkiego innego!

Gdy tłum po raz kolejny wybuchnął entuzjazmem, Artur poczuł, że prześlizguje się w powietrzu w kierunku jednego z dużych, okazałych okien na pierwszym piętrze budynku znajdującego się za podium, z którego mówca zwracał się do zebranych.

Płynąc prosto w okno, przerzył moment paniki, który minął, gdy jakąś sekundę później uświadomił sobie, że przepłynął prosto przez lite szkło, najwyraźniej w ogóle go nie dotykając.

Nikt w pokoju nie skomentował jego dziwaczного pojawienia się, co nie wydaje się zaskakujące, jako że Artura tam nie było. Zaczął uświadamiać sobie, że całe to przeżycie jest jedynie nagraniem projekcją.

Pokój był prawie dokładnie taki, jak opisał go Slartibartfost. W ciągu siedmiu i pół miliona lat dobrze o niego dbano i regularnie, co jakieś sto lat, sprzątano. Ultramahoniowe biurko miało starte krawędzie, dywan nieco wyblakł, ale duży terminal komputerowy ciągle rozpierał się w pełnej chwale na pokrytym skórą — W porządku — rzekł komputer i znowu zamilkł.

Obaj mężczyźni zadygotali. Napięcie stawało się nie do zniesienia.

— Naprawdę nie spodoba się wam — powtórnie zauważył Głęboka Myśl.

— Powiedz nam!

— W porządku — ustąpił komputer. — Odpowiedź na wielkie pytanie...

— Tak...!

— O Życie, wszechświat i wszystko inne... — powiedział Głęboka Myśl.

— Tak...!

— Brzmi... — zaczął Głęboka Myśl i urwał.

— Tak...!

— Brzmi...

— Tak...!

— Czterdzieści dwa — powiedział Głęboka Myśl z nieskończonym spokojem i majestatem.

ROZDZIAŁ 28

Minęło bardzo wiele czasu, zanim ktokolwiek się odezwał.

Kątem oka Phouchg widział morze napiętych i wyczekujących twarzy na placu przed budynkiem.

— Zlinczuje nas, prawda? — wyszeptał.

— To było trudne zadanie — powiedział łagodnie Głęboka Myśl.

— Czterdzieści dwa! — wrzasnął Loonquawl. To wszystko, co masz do powiedzenia po siedmiu i pół miliona lat?!

— Sprawdziłem to bardzo dokładnie — odrzekł komputer — i bez wątpienia to właśnie jest odpowiedź. Wydaje mi się, szczerze mówiąc, że problem polega na tym, iż wy nigdy nie znaliście naprawdę pytania.

— Ale to jest wielkie pytanie! Ostateczne pytanie o życie, wszechświat i wszystko inne! — jęknął Loonquawl.

— Owszem — zgodził się Głęboka Myśl tonem kogoś, kto pogodnie znosi głupców — ale jak ono dokładnie brzmi?

Dwaj mężczyźni gapili się na komputer, a potem na siebie w pełnym osłupienia milczeniu.

— No, wiesz, to po prostu wszystko... wszystko... — rzekł słabym głosem Phouchg.

— No właśnie! — stwierdził Głęboka Myśl. — A więc gdy dowiecie się, jakie jest właściwe pytanie, będziecie wiedzieli, co oznacza odpowiedź.

— Fantastycznie — mruknął Phouchg, odrzucając swój notes i ocierając łzę.

— No dobrze, ale posłuchaj — odezwał się Loonquawl. — A czy ty mógłbyś podać nam pytanie?

— Ostateczne pytanie?

— Tak!

— O życie, wszechświat i wszystko inne?

— Tak!

Głęboka Myśl zastanowił się.

— Podchwytliwe — stwierdził po chwili.

— Ale czy możesz to zrobić?! — krzyknął Loonquawl.

Głęboka Myśl zastanawiał się nad tym przez następną długą chwilę.

— Nie — powiedział w końcu stanowczo.

Obaj mężczyźni z rozpaczą opadli na krzesła.

— Ale powiem wam, kto może — dodał Głęboka Myśl.

Loonquawl i Phouchg poderwali głowy: — Kto?!

— Powiedz nam!

Artur poczuł nagle, jak cierpie skóra na jego najwyraźniej nie istniejącej głowie, gdy zdał sobie sprawę, że powoli, lecz nieubłaganie zbliża się do konsoli komputera.

Po chwili doszedł jednak do wniosku, że jest to tylko dramatyczne zbliżenie wykonane przez rejestrującego zdarzenie na taśmie.

— Mówię o komputerze, który nadejdzie po mnie! — oświadczył Głęboka Myśl, a jego głos odzyskał swoje zwykłe, deklamatorskie brzmienie. — O komputerze, któremu nawet parametrów operacyjnych nie jestem godzien obliczyć, a mimo to zaprojektuję go dla was. Będzie to komputer, który odkryje pytanie do ostatecznej odpowiedzi, komputer o tak nieskończonym stopniu subtelnej komplikacji, że częścią jego matrycy operacyjnej będzie życie organiczne. A wy sami przyjmiecie nowe formy i zstąpicie na komputer, aby kierować jego trwającym dziesięć milionów lat programem.

Tak! Zaprojektuję dla was ten komputer! Nadam mu także imię. Będzie nazywał się... Ziemia.

Phouchg gapił się na komputer.

— Co za nieciekawa nazwa — stwierdził i nagle na jego ciele pojawiły się głębokie nacięcia.

Loonquawl również otrzymał potworne cięcia znikąd. Konsola komputera pokryła się plamami i popękała, ściany zaczęły drżeć i runęły, a cały pokój rozbił się z hukiem o swój własny sufit...

Slartibartfost stał przed Arturem, trzymając w rękach dwa przewody.
— Koniec taśmy — wyjaśnił.

ROZDZIAŁ 29

— Zaphod! Obudź się!

— Mmmwwrrr?

— Hej, no już, wstawaj.

— Po prostu pozwólcie mi zostać przy tym, w czym jestem dobry, okay? — wymamrotał Zaphod i przewrócił się na drugi bok.

— Chcesz, żebym cię kopnął? — zapytał Ford.

— Sprawiloby ci to wiele radości? — spytał Zaphod niewyraźnie.

— Nie.

— Mnie też nie. Więc po co? Daj mi spokój.

Zaphod zwinął się w kłębek.

— Dostał podwójną dawkę gazu — stwierdziła patrząc na niego Trillian. — Dwie tchawice.

— I przestańcie gadać — dodał Zaphod. — Bez tego już jest wystarczająco trudno zasnąć... Co się stało z ziemią? Jest strasznie zimna i twarda.

— To złoto — rzekł Ford.

Jednym zadziwiająco płynnym ruchem primabaleriny Zaphod zerwał się na nogi i wpatrzył się w horyzont, ponieważ aż tam sięgała złota ziemia, rozciągając się we wszystkich kierunkach, idealnie gładka i twarda. Lśniła jak... Niemożliwością jest opowiedzieć, jak lśniła, ponieważ nic we wszechświecie nie lśni tak samo jak planeta ze szczerego złota.

— Kto to tutaj położył? — wrzasnął Zaphod z wybaluszonymi oczami.

— Spokojnie — rzekł Ford. — To tylko katalog.

— Kto?!

— Katalog — powiedziała Trillian. — Złudzenie.

— Jak możesz tak mówić? — krzyknął Zaphod, padając na kolana i wpatrując się w ziemię.

Popukał w nią i ukłuł kilka razy. Była bardzo masywna i odrobinę miękka — mógł zarysować ją paznokciem — bardzo żółta i bardzo lśniąca. Kiedy oddychał nad nią, ulatniała się z jego oddechu w ten bardzo szczególny i wyjątkowy sposób, w jaki zwykle złoto ulatnia się z oddechu.

— Trillian i ja przyszliśmy tu przed chwilą — wyjaśnił Ford. — Krzyczeliśmy i wrzeszczeliśmy, aż ktoś wreszcie się zjawił, a potem krzyczeliśmy i wrzeszczeliśmy, aż mieli dosyć i dali nam do oglądania swój katalog planet, żebyśmy mieli coś do roboty do czasu, gdy będą gotowi, żeby się nami zająć. To tylko taśma sensomatyczna.

Zaphod spojrział na niego z goryczą.

— Cholera — powiedział. — Obudziliście mnie z mojego własnego zupełnie dobrego snu, żeby pokazać mi czyjś. — Usiadł rozdrażniony. — Co to za łańcuch dolin?

— zapytał po chwili.

— Próba złota — odpowiedział Ford. — Już tam byliśmy.

— Nie budziliście cię wcześniej — rzekła Trillian. — Na ostatniej planecie były ryby po kolana.

— Ryby?

— Niektórzy ludzie lubią dosyć dziwne rzeczy.

— A przedtem — dodał Ford — była platyna. Trochę nudna. Ale myśleliśmy, że tę będziesz chciał zobaczyć.

Gdziekolwiek spojrzeli, widzieli wokół siebie to samo morze ostrego, złotego blasku.

— Bardzo ładne — stwierdził Zaphod zirytowanym tonem.

Na niebie pojawił się olbrzymi, zielony numer katalogowy. Zamrugał i zmienił się, a kiedy się rozejrzeli, zauważyli, że zmienił się także widok wokół nich.

— O rany! — powiedzieli jednym głosem.

Morze było purpurowe. Plaża, na której stali, składała się z drobnych, żółtych kamyczków — prawdopodobnie niezwykle cennych. Odległe góry o czerwonych szczytach wydawały się miękkie i falujące.

W pobliżu stał stolik plażowy z czystego srebra z falbaniastym, purpurowym parasolem słonecznym ze srebrnymi frędzlami.

Numer katalogowy na niebie zniknął, a na jego miejscu pojawił się ogromny napis: „Jakiegokolwiek są wasze pragnienia, Magrathea może je zaspokoić. Nie chwalimy się”.

Równocześnie pięćset zupełnie nagich kobiet spadło z nieba na spadochronach.

Po chwili cała scena zniknęła, pozostawiając ich na wiosennej łące pełnej krów.

— O! — przypomniał sobie Zaphod. — Moje mózgi!

— Chcesz o tym porozmawiać!? — spytał Ford.

— Dobra — stwierdził Zaphod i cała trójka usiadła, nie zwracając już uwagi na zmieniające się krajobrazy. — A więc odkryłem to — zaczął Zaphod. — Cokolwiek stało się z moim mózgiem, ja sam to zrobiłem. I zrobiłem to w taki sposób, aby nie wykryły tego rządowe testy sprawdzające. I nawet sam musiałem nic o tym nie wiedzieć. Całkiem zwariowane, nie uważacie? — Ford i Trillian skinęli głowami. — Zastanawiam się więc, co jest tak wielką tajemnicą, że nikt nie może się dowiedzieć, że ja to wiem, nawet Rząd Galaktyczny, nawet ja sam? Odpowiedź brzmi: nie wiem. To jasne. Ale zaczynam łączyć ze sobą różne fakty i próbuję zgadywać. Kiedy postanowiłem ubiegać się o urząd prezydenta? Wkrótce po śmierci prezydenta Yoodena Vrauxa. Pamiętasz Yoodena, Ford?

— No pewnie — rzekł Ford. — To był ten facet, którego spotkaliśmy, kiedy byliśmy smarkaczami, arkturiański kapitan. To był gość! Dał nam kasztany jadalne, kiedy wdarłeś się na jego megafrachtowiec. Powiedział, że jesteś najbardziej zadziwiającym bachorem, jakiego kiedykolwiek spotkał.

— Co to za historia? — spytała Trillian.

— Dawne dzieje — odpowiedział Ford — z czasów, gdy obaj byliśmy smarkaczami na Betelgeuzie. Arkturiańskie megafrachtowce przewoziły większość towarów pomiędzy centrum Galaktyki a pozostałymi rejonami. Agenci handlowi z Betelgeuzy zdobywali rynki, a Arkturianie zaopatrywali je. Była masa problemów z piratami kosmicznymi, zanim wyginęli w wojnach Dordellis, i megafrachtowce musiały być wyposażone w najbardziej fantastyczne tarcze ochronne, jakie znała galaktyczna nauka. To były naprawdę olbrzymie bydlaki, te statki. Na orbicie okołoplanetarnej mogły zaćmić słońce. No i pewnego dnia — kontynuował Ford — młody Zaphod postanowił napaść na jeden z nich. Na trzysilnikowym skuterze do robót w stratosferze. Kompletnie szaleństwo. Zabrałem się razem z nim, bo postawiłem na pewniaka przeciwko niemu sporo forsy i nie chciałem, żeby sfabrykował fałszywe dowody. I co się dzieje? Wsiadamy na jego skuter, który jak się okazuje, ma całkowicie zmienione silniki: zrobienie trzech parseków staje się kwestią paru tygodni, wdzieramy się na megafrachtowiec, do dziś nie wiem jakim sposobem, maszerujemy na mostek, wymachując pistoletami na kapiszony i żądamy kasztanów jadalnych. O bardziej wariackim numerze nigdy nie słyszałem!

Kosztowało mnie to kieszonkowe z całego następnego roku. I za co? Kasztany jadalne!
— Kapitanem był ten naprawdę zadziwiający gość, Yooden Vraux — dodał Zaphod.
— Dał nam jedzenie, alkohol, rzeczy z naprawdę nieziemskich zakątków Galaktyki, i oczywiście masę kasztanów. Spędziliśmy tam czas po prostu niesamowicie, a potem Yooden teleportował nas z powrotem. Do najbardziej strzeżonego skrzydła więzienia stanowego na Betelgeuzie. To był świetny facet! Został prezydentem Galaktyki.

Zaphod umilkł.

Sceneria wokół nich pogrążyła się w ciemności.

Otoczyły ich mroczne opary, a w cieniach przyciały się niewyraźne, słoniowate kształty. Powietrze rozdzierały od czasu do czasu odgłosy mordowania jednych widziadeł przez inne widziadła. Najwyraźniej lubiło te rzeczy wystarczająco wielu ludzi, aby ta oferta była opłacalna.

— Ford — odezwał się cicho Zaphod.

— Tak?

— Na krótko przed swoją śmiercią Yooden odwiedził mnie.

— Co? Nigdy mi nie mówiłeś.

— Nie.

— I co powiedział? Czego od ciebie chciał?

— Opowiedział mi o „Złotym Sercu”. To był jego pomysł, żeby ukraść statek.

— Jego?!

— Zgadza się — stwierdził Zaphod. — A jedyny sposób, żeby to zrobić, to być na ceremonii odsłonięcia.

Przez chwilę Ford gapił się na niego ze zdumieniem, a potem wybuchnął dzikim śmiechem.

— Chcesz powiedzieć — zapytał, ocierając łzy ze kandydowałeś na urząd prezydenta Galaktyki tylko po to, żeby ukraść ten statek?!

— Dokładnie — potwierdził Zaphod z wariackim uśmiechem.

— Ale dlaczego?! — spytał Ford. — Dlaczego to takie ważne?

— Nie wiem — odpowiedział Zaphod. — Myślę, że gdybym wiedział, dlaczego to jest takie ważne i po co potrzebuję tego statku, wyszłoby to na rządowych testach sprawdzających mózg i nigdy bym nie przeszedł. Wydaje mi się, że Yooden powiedział mi mnóstwo rzeczy, które ciągle są zablokowane.

— Więc myślisz, że poszedłeś i narobiłeś bałaganu we własnym mózgu tylko dlatego, że Yooden coś ci powiedział?!

— To był diabelnie wygadany facet.

— No dobra, ale Zaphod, stary druhu, powinieneś uważać na siebie!

Zaphod wzruszył ramionami.

— To znaczy naprawdę ani trochę nie domyślasz się, jaka może być przyczyna tego wszystkiego?

Zaphod zastanowił się dobrze i zdawało się, że przez jego umysł przebiegły wątpliwości.

— Nie — rzekł w końcu. — Najwyraźniej nie dopuszczam sobie do moich własnych tajemnic. No i — dodał po dalszym namyśle — mogę to zrozumieć. Nie ufałbym sobie ani za grosz.

Chwilę później znikła ostatnia planeta katalogu i byli znów w solidnym, rzeczywistym świecie. Siedzieli w pluszowej poczekalni pełnej stolików ze szklanymi blatami i nagród za projekty.

Przed nimi stał wysoki człowiek z Magrathei.

— Myszy zaraz was przyjmą — oznajmił.

ROZDZIAŁ 30

— No i tak to właśnie wyglądało — podsumował Slartibartfost, podejmując słabą i pobieżną próbę uprzątnięcia części koszmarnego bałaganu w swojej pracowni. Wziął kartkę papieru ze szczytu stosu, ale nie mógł wymyślić żadnego miejsca, gdzie mógłby ją położyć, więc odłożył ją z powrotem na szczyt tego samego stosu, który natychmiast się przewrócił. Głęboka Myśl zaprojektował Ziemię, my zbudowaliśmy ją, a ty mieszkałeś na niej — powiedział.

— A Vagonowie przylecieli i zniszczyli ją na pięć minut przed ukończeniem programu — dodał nie bez goryczy Artur.

— Tak — zgodził się stary człowiek i przerwał, żeby rozejrzeć się beznadziejnie po pracowni. — Dziesięć milionów lat planowania i pracy po prostu przepadło. Dziesięć milionów lat, Ziemianinie... Czy potrafisz w ogóle to pojąć? W tym czasie galaktyczna cywilizacja mogłaby pięć razy rozwinąć się z pojedynczego robaka. Przepadło!

— Zamilkł. — Cóż, dla ciebie to tylko biurokracja — dodał po chwili.

— Wiesz — powiedział Artur z namysłem — to wszystko wyjaśnia mnóstwo rzeczy.

Przez całe życie miałem dziwne, niewytłumaczalne uczucie, że coś się dzieje na świecie, coś wielkiego, być może nawet złowrogiego, i nikt nie chciał mi powiedzieć, co to jest.

— Nie — odrzekł Slartibartfost. — To tylko całkowicie normalna paranoja. Ma to każdy we wszechświecie.

— Każdy? — zdziwił się Artur. — Cóż, jeżeli każdy to ma, to może to coś oznaczać!

Być może, gdzieś poza znanym nam wszechświatem.

— Być może. I co z tego? — przerwał Slartibartfost, zanim Artur za bardzo się rozentuzjazmował. Może jestem stary i zmęczony — ciągnął — ale zawsze uważałem, że szanse, aby się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje, są tak absurdalnie małe, że jedyna rzecz, jaką możesz zrobić, to powiedzieć: do diabła z tym i zająć się czymś. Spójrz na mnie.

Projektuję linie brzegowe. Dostałem nagrodę za Norwegię. — Pogrzebał chwilę w stercie śmieci i wy dostał duży blok pleksiglasu z wtopionym modelem Norwegii. — Gdzie jest w tym jakiś sens? — zapytał. — Ja nie mogłem znaleźć żadnego. Przez całe życie robiłem fiordy. Na jeden przelotny moment stały się modne, i dostałem główną nagrodę.

Wzruszając ramionami, obrócił blok w rękach i odrzucił go niedbale, ale nie na tyle niedbale, aby nie spadł na coś miękkiego.

— W tej kopii Ziemi, którą teraz budujemy, przydzielili mi Afrykę i oczywiście, znowu robię wszędzie fiordy, bo tak się składa, że je lubię i jestem wystarczająco staromodny, żeby uważać, że nadają one kontynentowi uroczysty, barokowy wyraz. A oni mi mówią, że to nie jest wystarczająco równikowe... Równikowe! — zaśmiał się sarkastycznie. — No i co z tego? Nauka osiągnęła oczywiście parę wspaniałych rzeczy, ale ja ciągle o wiele bardziej wolę być szczęśliwy niż mieć rację.

— A jesteś?

— Nie. I oczywiście w tym punkcie wszystko upada.

— Szkoda — powiedział Artur ze współczuciem. Bo wyglądało to na całkiem niezły tryb życia.

Gdzieś na ścianie rozbłysło małe, białe światelko.

— Chodź — powiedział Slartibartfost. — Masz zobaczyć się z myszami. Twoje pojawienie się na planecie wywołało spore poruszenie. Zostało już obwołane, jak wnioskuję, trzecim co do nieprawdopodobieństwa wydarzeniem w historii wszechświata.

— Jakie były pierwsze dwa?

— Och, pewnie zwykle zbiegi okoliczności stwierdził Slartibartfost niedbale.

Otworzył drzwi i czekał na Artura.

Artur rozejrzał się raz jeszcze wokół, a potem spojrzał na siebie, na swoje przepocone, brudne ubranie, w którym leżał w błocie w czwartkowy poranek.

— Zdaje się, że mam potworne problemy ze swoim trybem życia — mruknął do siebie.

— Przepraszam bardzo? — zapytał stary człowiek łagodnie.

— Och, nic — powiedział Artur. — Żartowałem tylko.

ROZDZIAŁ 31

Oczywiście wiadomo powszechnie, że nieostrożna gadanina powoduje ofiary, lecz pełna skala problemu nie zawsze jest doceniana.

Na przykład dokładnie w momencie, gdy Artur powiedział: „Zdaje się, że mam potworne problemy z moim trybem życia”, w strukturze czasoprzestrzeni pojawiła się znienacka dziura i przeniosła jego słowa bardzo, bardzo głęboko w przeszłość, poprzez prawie nieskończone obszary przestrzeni do odległej galaktyki, gdzie wisiał właśnie na włosku wybuch krwawej, międzygwiazdnej bitwy pomiędzy dziwnymi i wojowniczymi istotami.

Wodzowie przeciwnych stron spotkali się właśnie po raz ostatni.

Nad stołem konferencyjnym zapadła straszna cisza, gdy dowódca Vlhurgów (wspaniale prezentujący się w swoich czarnych, wysadzanych klejnotami szortach bojowych) spojrzał na wodza Gugwnttów kucającego naprzeciwko niego w obłoku zielonej, słodko pachnącej pary. Dowódca Vlhurgów z milionem błyszczących, uzbrojonych po zęby gwiazdnych krążowników, gotowych spuścić ze smyczy elektryczną śmierć na jedno jego skinienie, wyzwał ową nikczemną kreaturę, aby odwołała to, co powiedziała o jego matce.

Kreatura zamieszała swoją przyprawiającą o mdłości piekącą parę i w tym właśnie momencie słowa: „Zdaje się, że mam potworne problemy z moim trybem życia” przepłynęły przez stół konferencyjny.

Niestety, w języku Vlhurgów jest to najstraszniejsza zniewaga, jaką można sobie w ogóle wyobrazić, i jedyne, co mogli zrobić, to toczyć przez stulecia bezlitosną wojnę.

Oczywiście w końcu, gdy po kilku tysiącach lat ich galaktyka została zdziesiątkowana, zdali sobie sprawę, że cała sprawa była okropną pomyłką. W rezultacie obie wrogie floty wojenne rozstrzygnęły pośpiesznie nieliczne pozostałe różnice zdań, aby rozpocząć połączony atak na naszą Galaktykę — prawidłowo zidentyfikowaną jako źródło obraźliwej uwagi.

Przez następne tysiące lat potężne krążowniki pruły niezmierzone pustki kosmosu, aby ostatecznie rzucić się z rykiem na pierwszą planetę, którą napotkały tak się złożyło, iż była nią Ziemia, gdzie z powodu straszliwej pomyłki w obliczeniu skali cała flota wojenna została przypadkowo połknięta przez małego psa.

Ci, którzy zgłębiają skomplikowane wzajemne oddziaływania przyczyn i skutków w historii wszechświata, mówią, iż tego rodzaju rzeczy zdarzają się cały czas, lecz nie jesteśmy w stanie im zapobiec.

Po prostu życie — stwierdzają...

Po krótkiej podróży pojazdem Artur i stary Magratheańczyk znaleźli się przy drzwiach. Opuścili pojazd i weszli do poczekalni pełnej stolików ze szklanymi blatami i pleksiglasowych nagród. Prawie natychmiast nad drzwiami po przeciwnej stronie pokoju rozbłysnął świetlny sygnał i przekroczyli próg.

— Artur! Jesteś bezpieczny! — krzyknął jakiś głos.

— Naprawdę? — spytał Artur zaskoczony. — To dobrze.

Światło było dość mocno przyćmione, dopiero po dłuższej chwili dojrzał Forda, Trillian i Zaphoda siedzących wokół dużego stołu pięknie zastawionego egzotycznymi daniami, dziwnymi słodyczami i osobliwymi owocami. Cała trójka opychała się.

— Co się z wami działo? — zażądał wyjaśnień Artur.

— No cóż — rzekł Zaphod, ogryzając kość. — Nasi goście puścili na nas gaz, szperali po naszych mózgach i ogólnie zachowywali się dosyć dziwnie, a teraz zaprosili nas na całkiem niezły obiad, żeby zatrzeć nie mile wrażenie. O — dodał, wyławiając z misy kawał obrzydliwie cuchnącego mięsa. — Poczęstuj się kotлетem z wegańskiego nosorożca. Jest wyśmienity, jeżeli lubisz akurat takie rzeczy.

— Gospodarze? — spytał Artur. — Jacy gospodarze? Nie widzę tu nikogo...

W tej chwili odezwał się cienki głosik: — Witaj na obiedzie, ziemską istotę.

Artur rozejrzał się i wzdrygnął gwałtownie.

— O! — zawołał — na stole są myszy!

Wszyscy utkwili w nim znaczące spojrzenia; zapadło niezręczne milczenie.

Artur był całkowicie zajęty gapieniem się na dwie białe myszy siedzące na stole w czymś, co wyglądało na szklaneczkę do whisky. Zaniepokojony nagłą ciszą, rozejrzał się wokół.

— Aha! — zreflektował się nagle. — Bardzo mi przykro, nie byłem całkiem przygotowany.

— Pozwól, że cię przedstawię — powiedziała Trillian. — Arturze, to jest mysz Benjy.

— Cześć — powiedziała jedna z myszy. Musnęła wąsami coś, co było zapewne reagującą na dotyk tablicą rozdzielczą i szklaneczka wysunęła się naprzód.

— A to jest mysz Frankie.

Druga mysz rzekła: — Miło cię poznać — i zrobiła to samo.

Artur gapił się z otwartymi ustami.

— Ale czy to nie są...

— Tak — potwierdziła Trillian. — To są myszy, które zabrałam ze sobą z Ziemi.

— Spojrzała mu w oczy i Arturowi wydawało się, że prawie niedostrzegalnie wzruszyła z rezygnacją ramionami. — Czy mógłbyś podać mi ten półmisek mielonego arkturiańskiego megaosła? — spytała po prostu.

Slartibartfost chrząknął uprzejmie.

— Przepraszam bardzo — rzekł.

— Tak, dziękuję ci, Slartibartfost — powiedziała oschle mysz Benjy. — Możesz odejść.

— Co? Ale... eee... bardzo dobrze — stwierdził stary człowiek, trochę urażony.

— A więc idę zająć się moimi fiordami.

— No cóż, w gruncie rzeczy nie jest to konieczne — rzekła mysz Frankie. — Wygląda na to, że druga Ziemia nie będzie nam już potrzebna. — Przewróciła swoimi różowymi oczkami. — Nie teraz, gdy znaleźliśmy rodowitego mieszkańca tej planety, który był tam na moment przed jej zniszczeniem.

— Co? — wykrzyknął osłupiały Slartibartfost. Nie możecie tego zrobić! Mam już tysiąc lodowców gotowych, żeby pokryć Afrykę!

— No cóż, może więc wybrałbyś się pojeździć na nartach, zanim je zdemontujesz — odezwał się cierpko Frankie.

— Pojeździć na nartach! — wykrzyknął stary człowiek. — Te lodowce są dziełami sztuki! Pięknie rzeźbione kontury, strzeliste lodowe iglice, głębokie majestatyczne wąwozy! Jeździć na nartach po unikatowych dziełach sztuki byłoby świętokradztwem!

— Dziękujemy ci, Slartibartfost — rzekł stanowczo Benjy. — To byłoby wszystko.

— Tak, sir — odparł zimno stary człowiek. — Dziękuję bardzo. No, to żegnaj,

Ziemianinie — zwrócił się do Artura. — Mam nadzieję, że twój tryb życia wróci do normy.

Skinął głową pozostałym, odwrócił się i wyszedł smutny z pokoju.

Artur patrzył za nim, nie wiedząc, co powiedzieć.

— A teraz — odezwała się mysz Benjy — za interesy!

Ford i Zaphod stuknęli się kieliszkami.

— Za interesy! — powiedzieli chórem.

— Przepraszam bardzo? — zapytał Benjy.

Ford rozejrzał się.

— Myślałem, że wznosisz toast — rzekł.

Myszy zadreptały niecierpliwie w swoich szklanych pojazdach. Po chwili uspokoiły się, a Benjy wysunął się naprzód.

— A więc, ziemska istoto — zwrócił się do Artura — w efekcie mamy następującą sytuację. Jak wiesz, przez ostatnie dziesięć milionów lat mniej więcej zarządzaliśmy Ziemią, żeby odnaleźć tę parszywą rzecz, nazywaną ostatecznym pytaniem.

— Dlaczego? — zapytał ostro Artur.

— Nie, już o tym myśleliśmy — przerwał mu Frankie. — Ale to nie pasuje do odpowiedzi. „Dlaczego?” „Czterdzieści dwa”. Widzisz, nie zgadza się.

— Nie — rzekł Artur. — Chodzi mi o to, po co to robicie?

— Aha — stwierdził Frankie. — No cóż, tak naprawdę to chyba z przyzwyczajenia, jeśli mam być brutalnie szczery! I o to właśnie mniej więcej chodzi. Mamy już tego wszystkiego po dziurki w nosie i na samą myśl o zaczynaniu wszystkiego od początku przez tych cholernych Vogonów dostaję po prostu szału, rozumiecie, prawda? Mieliliśmy naprawdę masę szczęścia, że Benjyemu i mnie udało się szybciej skończyć naszą pracę i wyjechaliśmy z Ziemi na krótkie wakacje, a potem wymanewrowaliśmy twoich przyjaciół, żeby zabrali nas z powrotem na Magratheę.

— Magrathea jest bramą do naszego własnego wymiaru — wtrącił Benjy.

— No i wtedy — ciągnął jego myśl towarzysz otrzymaliśmy naprawdę niesamowicie korzystną propozycję kontraktu na wywiad w 5D i cykl wykładów w naszych okolicach i mamy wielką ochotę ją przyjąć.

— Ja bym to zrobił, a ty, Ford? — powiedział zachęcająco Zaphod.

— No pewnie — zgodził się Ford. — Jak nic.

Artur spojrzał na nich uważnie, zastanawiając się, do czego to wszystko zmierza.

— Ale widzisz, do tego potrzebny jest nam produkt — stwierdził Frankie. — To znaczy, idealnie by było, żebyśmy jednak mieli ostateczne pytanie w takiej czy innej formie.

Zaphod nachylił się do Artura.

— Zobacz — wyjaśnił. — Jeżeli oni po prostu usiądą sobie w studio, wyglądając na bardzo zrelaksowanych i no wiesz, rzucą od niechcenia, iż tak się składa, że znają odpowiedź na życie, wszechświat i wszystko inne, a potem będą umieli w końcu przyznać, że tak naprawdę brzmi ona „czterdzieści dwa”, to cała zabawa potrwa przypuszczalnie dosyć krótko. Rozumiesz, nie będzie dalszego ciągu.

— Potrzebujemy czegoś, co dobrze brzmi — rzekł Benjy.

— Czegoś, co dobrze brzmi?! — wykrzyknął Artur. — Ostateczne pytanie, które dobrze brzmi?! Od pary myszy?

Myszy nastroszyły się.

— Owszem, zgadzam się, „tak” idealizmowi, „tak” godności czystej nauki, „tak”

poszukiwaniu prawdy we wszystkich jej przejawach, ale obawiam się, że zawsze nadchodzi moment, kiedy zaczynasz podejrzewać, że prawie na pewno całą wielowymiarową nieskończonością wszechświata rządzi banda szaleńców. I jeżeli masz do wyboru spędzić następne dziesięć milionów lat, żeby się tego dowiedzieć albo po prostu brać forsy i w nogi, to ja osobiście wolę zrobić ten numer — powiedział Frankie.

— Ale... — zaczął beznadziejnie Artur.

— Hej, kiedy to do ciebie dotrze, Ziemianinie przerwał mu Zaphod. — Jesteś produktem ostatniej generacji tej matrycy komputerowej i byłeś tam dokładnie do momentu, w którym Vagonowie nacisnęli spust, zgadza się?

— No...

— A więc twój mózg był organiczną częścią przedostatniej konfiguracji programu komputera — stwierdził Ford, przekonany, że wyraża się zupełnie jasno.

— Zgadza się? — spytał Zaphod.

— Cóż... — powiedział pełen wątpliwości Artur. Nigdy nie czuł się organiczną częścią niczego i uważał to zawsze za jeden ze swoich problemów.

— Inaczej mówiąc — rzekł Benjy, kierując swój mały, dziwaczny pojazd prosto na Artura. — Istnieje spora szansa, że struktura pytania jest zakodowana w strukturze twojego mózgu. Chcemy więc to odkupić.

— Co, pytanie? — zapytał Artur.

— Tak — powiedzieli Ford i Trillian. — Za mnóstwo forsy — dodał Zaphod.

— Nie, nie — rzekł Frankie. — Chcemy kupić mózg.

— Co?!

— A komu jest potrzebny? — spytał Benjy.

— Wydawało mi się, że mówiliście, że możecie zrobić po prostu elektroniczny odczyt jego mózgu zaprotestował Ford.

— Owszem — powiedział Frankie. — Ale przedtem musimy go wyjąć. Musi być przygotowany.

— Poddany obróbce — dorzucił Benjy. — Pokrojony.

— Dziękuję bardzo! — krzyknął Artur, przewracając krzesło i cofając się z przerażeniem od stołu.

— Zawsze będzie można wstawić nowy — rzekł rozsądnie Benjy. — Jeśli uważasz, że to ważne.

— Owszem, elektroniczny mózg — zgodził się Frankie. — Wystarczyłby prosty model.

— Prosty model! — jęknął Artur.

— Taaak — powiedział Zaphod z nagłym, nieprzyjemnym uśmiechem.

— Wystarczyłoby, że zaprogramowalibyście go, żeby mówił „Co?” i „Nie rozumiem” i „Gdzie jest herbata?” i kto by coś zauważył?

— Co?! — wrzasnął Artur, cofając się jeszcze bardziej.

— Widzicie, o co chodzi? — spytał Zaphod i zawył z bólu z powodu czegoś, co zrobiła w tym momencie Trillian.

— Ja bym zauważył! — krzyknął Artur.

— Nie, nie zauważyłbyś — odparł Frankie. — Byłbyś tak zaprogramowany. Ford skierował się do drzwi.

— Przykro mi, przyjaciele, ale chyba nie dobijemy targu — rzekł.

— A nam się zdaje, że musimy dobić targu — powiedziały chórem myszy.

Dwa szklane pojazdy uniosły się ze stołu z przeraźliwym piskiem i ruszyły w kierunku Artura, który wciąż cofał się w ślepy narożnik, całkowicie niezdolny do myślenia czy stawiania

oporu.

Trillian rozpaczliwie złapała go za ramię i usiłowała ciągnąć w stronę drzwi, które próbowali otworzyć Ford i Zaphod, ale Artur był całkowicie bezwładny — wydawał się zahipnotyzowany przez dwa nadlatujące w jego kierunku gryzonie.

Wrzasnęła na niego, ale on gapił się tylko przed siebie.

Kolejnym szarpnięciem Ford i Zaphod zdołali otworzyć drzwi. Po drugiej stronie stała nieduża grupa raczej nieprzyjemnych typów, którzy nasuwali nieodparte skojarzenia z miejscowymi bandytami. Nie tylko sami byli niezbyt przyjemni, ale i sprzęt medyczny, który mieli ze sobą, nie wyglądał szczególnie ujmująco. Ruszyli naprzód.

A więc głowa Artura miała właśnie zostać rozcięta; Trillian nie była w stanie mu pomóc, a Ford i Zaphod mieli akurat zostać zaatakowani przez kilku znacznie cięższych i groźniej od nich uzbrojonych bandytów.

Tak więc, wzięwszy wszystko pod uwagę, niezwykle szczęśliwą okolicznością był fakt, iż w tej właśnie chwili wszystkie dzwonki alarmowe na planecie wybuchnęły rozziewającym hałasem.

ROZDZIAŁ 32

— Alarm! Alarm! — trąbiły klaksony wzdłuż i wszerz Magrathei. — Na planecie wylądował wrogi statek! Uzbrojeni intruzi w sektorze osiem A! Stanowiska obronne, stanowiska obronne!

Dwie myszy węszyły z irytacją wokół roztrzaskanych na podłodze odłamków swoich szklanych pojazdów.

— Szlag by to trafił! — mamrotała mysz Frankie.

Całe to cholerne zamieszanie wokół dwóch funtów mózgu jakiejś ziemskiej kreatury!

Dreptał tam i z powrotem, jego różowe oczka miały błyskawice, a miękka, biała sierść zjeżyła się.

— Jedyne, co możemy teraz zrobić — odezwał się Benjy, kucając i głaszcząc w zamyśleniu swoje wąsiki — to spróbować wymyślić jakieś pytanie, które by brzmiało wiarygodnie.

— Trudne — stwierdził Frankie.

Myślał przez jakiś czas.

— Co powiesz na: Co jest złote i niebezpieczne? — zapytał wreszcie.

Benjy rozważał to przez chwilę.

— Nie, nie nadaje się — orzekł. — Nie pasuje do odpowiedzi.

Na kilka sekund pograżyli się w milczeniu.

— No dobra — powiedział Benjy. — Jaki jest wynik, jeżeli pomnożyć sześć przez siedem?

— Nie, nie, zbyt dosłowne, zbyt przyziemne stwierdził Frankie. — Nie podtrzymałoby zainteresowania myślicieli.

Zamyślili się znowu.

— Mam coś! — odezwał się nagle Frankie. — Jak wiele dróg musi przejść człowiek?

— A! — zawołał Benjy. — To naprawdę brzmi obiecująco! — Przyjrzał się uważniej tej myśli. — Tak — zdecydował. — Doskonale! Sprawia wrażenie bardzo doniosłego, a jednocześnie nie oznacza nic konkretnego. Jak wiele dróg musi przejść człowiek?

Czterdzieści dwie! Znakomite, znakomite! Frankie, udało nam się!

Wykonali w podskokach radosny taniec zwycięstwa. W pobliżu leżało na podłodze kilku nieprzyjemnych typów, którzy dostali w głowy paroma ciężkimi nagrodami za projekty.

Pół mili dalej cztery postacie biegły z trudem korytarzem, szukając drogi na zewnątrz. Wypadli na rozległą, otwartą wnękę z komputerami i rozejrzeli się dziko.

— Którą drogą, Zaphod? — zapytał Ford.

— Na chybił trafił powiedziałbym, że tą — rzekł Zaphod i pobiegł na prawo pomiędzy bankiem komputerowym a ścianą.

Inni podążyli za nim, lecz Zaphod zatrzymał się gwałtownie, gdy kilka cali przed jego nosem huknął piorun energii killozap, wysmażając spory kawałek ściany obok.

Przez megafon rozległ się głos: — W porządku Beeblebrox, ani kroku dalej! Mamy cię na muszce.

— Gliny! — syknął Zaphod i przylgnął do ściany. — Teraz twoja kolej, Ford!

— Dobra, idziemy tędy! — rzekł Ford i cała czwórka rzuciła się w kierunku pomostu pomiędzy dwoma bankami komputerowymi.

Na końcu pomostu pojawiła się uzbrojona po zęby postać w kombinezonie kosmicznym, wymachując ultrakalibrowym niezbyt sympatycznym karabinem killozap.

— Nie chcemy cię zastrzelić, Beeblebrox! — wykrzyknęła postać.

— Bardzo się cieszę! — odkrzyknął Zaphod i zanurkował w szeroką przerwę pomiędzy dwoma blokami przetwarzania danych.

Pozostali wskoczyli za nim.

— Ich jest dwóch — stwierdziła Trillian. — Jesteśmy otoczeni.

Wcisnęli się w kąt pomiędzy dużym komputerowym bankiem danych a ścianą.

Wstrzymali oddech i czekali.

Powietrze eksplodowało nagle piorunami energii, gdy obaj gliniarze jednocześnie otworzyli na nich ogień.

— Hej, oni do nas strzelają! — rzekł Artur, kuląc się w ciasny kłębek. — Wydawało mi się, że powiedzieli, że nie chcą tego robić.

— Tak, mnie się też wydawało, że tak mówili — zgodził się Ford.

Zaphod na jedną ryzykowną chwilę wystawił głowę.

— Hej! — zawołał. — Wydawało mi się, że mówiliście, że nie chcecie nas zastrzelić!

— I znowu się schował.

Czekali. Po chwili odpowiedział im głos: — Być gliną nie jest łatwo!

— Co on powiedział?! — zapytał ze zdumieniem Ford.

— Powiedział, że nie jest łatwo być gliną.

— Dobra, ale to jego problem, no nie?

— Też tak myślę.

Ford krzyknął: — Hej, słuchajcie! Mamy wystarczająco dużo własnych problemów z waszym strzelaniem do nas, więc jeżeli moglibyście uniknąć dokładania nam także swoich problemów, to wydaje mi się, że wszyscy moglibyśmy mieć o wiele łatwiejsze życie!

Jeszcze jedna przerwa i znów odezwał się megafon: — A teraz wy słuchajcie! — powiedział głos. — Nie macie do czynienia z tępymi kretynami, którzy walą w co popadnie, mają niskie czoła, świńskie oczka i nie potrafią o niczym porozmawiać! Jesteśmy dwoma inteligentnymi, wrażliwymi facetami, których pewnie polubilibyście, gdybyśmy się spotkali towarzysko! Nie włóżę się, strzelając dla zabawy do ludzi, żeby się potem przechwalać w podejrzanym spelunach dla kosmicznych włóczęgów jak niektórzy gliniarze, których mógłbym wymienić! Włóżę się, strzelając dla zabawy do ludzi, a potem wypłakuję się godzinami mojej dziewczynie!

— A ja piszę powieści! — dołączył się drugi. — Chociaż jak na razie żadnej nie wydano, więc lepiej się pilnujcie, bo mam dzisiaj paskudny humor.

Oczy Forda wyszły z orbit.

— Co to za faceci?!

— Nie wiem — odpowiedział Zaphod. — Chyba wołałem, kiedy strzelali.

— To jak, wyjdziecie grzecznie — krzyknął znów jeden z gliniarzy — czy mamy was wykurzyć?

— A co byście woleli? — odkrzyknął Ford.

Milisekundę później powietrze wokół nich znowu zaczęło się smażyć, a piorun za piorunem walił w bank komputerowy przed nimi.

Strzelanina o trudnej do wytrzymania intensywności trwała kilka sekund. Kiedy umilkła, następne kilka sekund powtarzało ją echo i dopiero potem zapanowała cisza.

— Ciągłe tam jesteście? — zawołał jeden z gliniarzy.

— Tak — odkrzyknęli.

— Nie sprawiło nam to przyjemności! — krzyknął drugi.

— Było widać! — odpowiedział Ford.

— A teraz słuchaj, Beeblebrox, i radzę ci słuchać uważnie!

— Dlaczego? — odkrzyknął Zaphod.

— Ponieważ to będzie bardzo inteligentne, dosyć interesujące, a przy tym humanitarne!

Więc tak, albo natychmiast się poddacie i pozwolicie, że trochę was pobijemy, chociaż nie za mocno, oczywiście, bo jesteśmy zdecydowanie przeciwko nieuzasadnionemu stosowaniu przemocy, albo wysadzimy w powietrze całą tę planetę i być może jeszcze jedną czy dwie inne, które zauważyliśmy po drodze!

— Ale to szaleństwo! — wykrzyknęła Trillian. Nie zrobilibyście tego!

— Owszem, zrobilibyśmy! — odrzekł gliniarz. — No nie? — zapytał drugiego.

— No pewnie, musielibyśmy to zrobić! — odwrzasnął mu drugi.

— Ale dlaczego?! — nalegała Trillian.

— Bo są pewne rzeczy, które musi się robić, nawet jeżeli jest się oświeconym, liberalnym gliniarzem, który wie wszystko o wrażliwości i całej reszcie!

— Po prostu nie wierzę tym facetom — mruknął Ford, potrząsając głową.

— Postrzelamy trochę do nich? — krzyknął jeden gliniarz do drugiego.

— Pewnie, czemu nie?

Wypuścili następną elektryczną serię.

Hałas i gorąco były naprawdę imponujące. Bank komputerowy zaczynał się powoli rozpadać. Prawie cały przód stopił się, a strumienie płynnego metalu spływały wolno do tyłu, w kierunku skulonej czwórki.

Ford, Zaphod, Trillian i Artur stłoczyli się jeszcze bardziej i czekali na koniec.

ROZDZIAŁ 33

Ale koniec nie nadszedł, w każdym razie nie wtedy. Całkiem znienacka strzelanina umilkła, a nagłą ciszę zmąciło parę gulgotów i głuchych odgłosów jak gdyby duszenia się.

Cała czwórka spojrzała po sobie.

— Co się stało? — spytał Artur.

— Przestali — odpowiedział Zaphod, wzruszając ramionami.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Chcesz pójść ich zapytać?
— Nie.
Czekali.
— Jest tam kto?! — zawołał Ford.
Żadnej odpowiedzi.
— To dziwne.
— Może to pomyłka.
— Byli na to za głupi.
— Co to były za odgłosy?
— Nie wiem.
Czekali następne kilka sekund.
— Dobra — odezwał się Ford. — Idę się rozejrzeć.
Spojrzał na pozostałych.
— Czy nikt nie ma zamiaru powiedzieć: „Nie, nigdy w życiu, ja pójdę zamiast ciebie?”
Cała trójka potrząsnęła głowami.
— No cóż — mruknął Ford i wstał.
Przez chwilę nic się nie działo.
Potem — po jakiejś sekundzie — nadal nic się nie działo. Ford wyrzwał zza grubej zasłony dymu, który wydobywał się z płonącego komputera.
Ostrożnie wyszedł na otwartą przestrzeń. Ciągle nic się nie działo.
Dwadzieścia jardów dalej zobaczył poprzez dym niewyraźną postać jednego z gliniarzy, który leżał skurczony na podłodze. Dwadzieścia jardów dalej leżał drugi. Poza tym nie było nikogo więcej.
Fordowi wydało się to niezwykle dziwne.
Powoli i z namysłem ruszył w kierunku pierwszego. Ciało leżało uspokajająco nieruchomo, kiedy podchodził, nie przestało też leżeć uspokajająco nieruchomo, gdy stanął nad nim i postawił stopę na karabinie killozap, który ciągle trzymały zwiotczale palce.
Sięgnął w dół i podniósł karabin, nie spotykając się z najmniejszym oporem.
Gliniarz był niewątpliwie martwy.
Pobieżne badanie ujawniło, że pochodził on z Blagulona Kappa i należał do form życia oddychających metanem. Aby przeżyć w rzadkiej tlenowej atmosferze Magrathei, był mu niezbędny kombinezon kosmiczny.
Na ramionach miał plecak z malutkim komputerem systemu podtrzymującego życie i okazało się, że komputer ten całkiem niespodziewanie wybuchł.
Ford zajrzał do niego ze zdumieniem. Miniaturowe komputery miały zwykle pełne zabezpieczenie z głównego komputera statku, z którym były połączone bezpośrednio przez subetha. System ten był niezawodny we wszystkich sytuacjach z wyjątkiem całkowitego braku reakcji ze strony głównego komputera, co było nie do pomyślenia.
Podbiegł do drugiego martwego ciała i odkrył, że jemu również zdarzyła się dokładnie ta sama nieprawdopodobna rzecz, przypuszczalnie w tym samym momencie.
Zawołał resztę, żeby przyszli zobaczyć. Byli zaskoczeni, ale nie dzielili ciekawości Forda.
— Zabierajmy się stąd — powiedział Zaphod. — Wszystko mi jedno, co miałem tutaj znaleźć. Cokolwiek to było, nie chcę tego!
Złapał drugi karabin killozap, władował wściekłą serię w całkowicie nieszkodliwy komputer obliczeniowy i wybiegł na korytarz, a za nim pozostali. Bardzo mało brakowało, aby następną wściekłą serią rozwalić pojazd czekający na nich parę jardów dalej.

Pojazd był pusty, lecz Artur rozpoznał go: była to maszyna Slartibartfosta. Do tablicy rozdzielczej przyczepiona była kartka. Narysowana na niej strzałka wskazywała jeden z przycisków.

Znajdowały się na niej słowa: „Jest to prawdopodobnie najlepszy guzik, jaki możecie nacisnąć”.

ROZDZIAŁ 34

Pojazd pomknął przez stalowe tunele prowadzące na odrażającą powierzchnię planety, z prędkością znacznie przekraczającą R siedemnaście. Magrathea znajdowała się właśnie w szponach kolejnego posępnego świtu i upiorne szare światło krzepło na jej powierzchni.

R jest miarą prędkości zdefiniowaną jako rozsądna prędkość podróżowania, która jest zgodna ze zdrowiem, dobrym samopoczuciem psychicznym i gwarantuje spóźnienie nie większe niż, powiedzmy, pięć minut. Jest to więc wartość prawie nieskończenie zmienna w zależności od okoliczności, pierwsze dwa czynniki bowiem różnią się w stosunku nie tylko do prędkości traktowanej jako wartość absolutna, ale i do świadomości trzeciego czynnika. Jeżeli nie podchodzi się do niego ze spokojem, równanie to może spowodować silne stresy, wrzody, a nawet śmierć.

R siedemnaście nie jest wyznaczoną prędkością, ale jest na pewno o wiele za duża.

Pojazd pędząc z prędkością R siedemnaście wysadził całą czwórkę obok „Złotego Serca”, które stało na zamrożonej ziemi jak zbielala kość, a potem rzucił się pospiesznie w kierunku, z którego przybyli, przypuszczalnie w swoich własnych, nie cierpiących zwłoki sprawach.

Cała czwórka stała drżąc i patrzyła na statek. Obok niego stał jeszcze jeden.

Był to policyjny statek patrolowy Blagulona Kappa, pękaty i podobny do rekina, a jego burty w kolorze zgniłej zieleni pokryte były czarnymi literami o różnej wielkości i stopniu antypatyczności. Informowały one każdego, komu chciało się je czytać, o tym skąd pochodzi statek, do której sekcji policji należy i gdzie należy włożyć wtyczki do poboru mocy.

Wydawał się jakoś nienaturalnie ciemny i cichy, nawet jak na statek, którego dwuosobowa załoga leżała właśnie martwa w wypełnionym dymem pomieszczeniu kilka mil pod powierzchnią planety. Jest to jedna z tych dziwacznych rzeczy, których nie można wytłumaczyć czy zdefiniować, lecz można wyczuć, kiedy statek jest zupełnie martwy.

Ford wyczuł to i właśnie to odczucie było najbardziej tajemnicze — wydawało się, jak gdyby statek i dwóch policjantów spontanicznie przestało żyć. Jego doświadczenie mówiło mu, że wszechświat po prostu nie funkcjonuje w ten sposób.

Pozostała trójka również wyczuwała to, ale jeszcze intensywniej wyczuwała przejmujące zimno i szybko schroniła się we wnętrzu „Złotego Serca”, cierpiąc na atak braku ciekawości.

Ford został i poszedł obejrzeć statek policyjny. Idąc omal nie przewrócił się o nieruchomą, stalową postać leżącą twarzą do ziemi w zimnym pyłe.

— Marvin! — wykrzyknął. — Co ty tu robisz?!

— Proszę cię, nie czuj się zobowiązany do zwracania na mnie uwagi — odpowiedział mu stłumiony, metalowy głos.

— A jak się czujesz, metalmanie? — zapytał Ford.

— Kompletnie załamany.

— Ale co masz na wątrobie?

— Nie wiem — odpowiedział Mamin.

— Nie zaglądałem.

— Dlaczego leżysz twarzą do ziemi w tym pyłe? — spytał Ford, kucając obok niego i drżąc z zimna.

— To bardzo skuteczny sposób, żeby czuć się parszywie — rzekł Marvin. — Nie udawaj, że chcesz ze mną rozmawiać, i tak wiem, że mnie nienawidzisz.

— Wcale nie.

— Właśnie że tak. Wszyscy mnie nienawidzą. To część wszechświata. Wystarczy, że porozmawiam z kimś, i natychmiast zaczynają mnie nienawidzić. Nawet roboty mnie nienawidzą. Jeśli po prostu mnie zignorujesz, to myślę, że odejdę.

Podniósł się na nogi i zwrócił zdecydowanie twarz w przeciwnym kierunku.

— Ten statek nienawidził mnie — rzekł z przygnębieniem, wskazując statek policyjny.

— Ten statek? — spytał Ford z nagłym ożywieniem. — I co się z nim stało? Wiesz coś o tym?

— Nienawidził mnie, ponieważ mówiłem do niego.

— Mówiłeś do niego?! — krzyknął Ford. — Co to znaczy mówiłeś do niego?

— Po prostu. Czułem się bardzo znudzony i załamany, więc poszedłem i podłączyłem się do zewnętrznego wejścia komputera. Wy tłumaczyłem mu bardzo szczegółowo moje poglądy na wszechświat.

— I co dalej? — naciskał Ford.

— Popełnił samobójstwo — odrzekł Marvin i odszedł majestatycznie w kierunku „Złotego Serca”.

ROZDZIAŁ 35

Tej nocy „Złote Serce” pochłonięte było pozostawieniem w tyle mgławicy Koński Łeb. Zaphod rozwalił się pod niedużą palmą, przywracając swój umysł do stanu używalności za pomocą kuracji wstrząsowej składającej się z kilku wielkich szklanek Pangalaktycznego Dynamitu Pitnego; Ford i Trillian siedzieli w kącie, dyskutując o życiu i wynikających z niego problemach, a Artur wziął ze sobą do łóżka przewodnik „Autostopem przez Galaktykę”. Doszedł do wniosku, że skoro ma tu żyć, lepiej zacząć dowiadywać się czegoś na jej temat.

Napotkał następujące hasło: „Historia każdej głównej Cywilizacji Galaktycznej zwykle przechodzi przez trzy oddzielne i łatwe do rozpoznania fazy: przetrwanie, pytania i wyrafinowanie, znane także jako fazy: jak, dlaczego i gdzie.

Na przykład faza pierwsza charakteryzuje się pytaniem: Jak możemy jeść? druga — Dlaczego jemy? a trzecia — Gdzie pójdziemy na lunch?”

Nie przeczytał nic więcej, ponieważ zabrzęczał interkom statku.

— Hej, Ziemianinie! Jesteś głodny? — zabrzmiał głos Zaphoda.

— No, owszem, chyba coś bym przegryzł — odpowiedział Artur.

— W porządku, chłopcze. Trzymaj się mocno — rzekł Zaphod. — Lecimy na małe co nieco do restauracji „Na Końcu Wszechświata”!

KONIEC